

JERRY AHERN

# KRUGJATA

2. DESTRUKCJA

walka wywiadów, rządzą władzy,  
wola przetrwania...



**Jerry Ahern**

# **Destrukcja**

**Krucjata 2.**

*Przełożył: Mariusz Seweryński*

*Dla Jacka Aherna – mego ojca, niech Bóg błogosławi jego duszę – mam nadzieję, że spodobały się mu. Jeśli istnieje niebo, to jest to jego adres...*

# ROZDZIAŁ I

Generał Ismail Warakow zapiął kołnierz palta i głębiej wcisnął na łysą czaszkę czapkę z foczej skóry. Wzdrygnął się.

– Chicago! Druga Moskwa – mruknął do siebie, stojąc w drzwiach swego helikoptera. Patrzył na morze błota i szargane wiatrem wody Jeziora Michigan. Zakasłał i zaczął schodzić na wilgotną ziemię po wyłożonych gumą schodkach. Przypatrywał się masywnej budowli, oddalonej nie więcej niż dwadzieścia pięć jardów. Nawet nie próbował przypomnieć sobie jej nazwy. Było to Muzeum Przyrodnicze, подарowane miastu Chicago przez jakiegoś kapitalistę – którego imię nadal nosiło – kilkadziesiąt lat temu z okazji światowych targów. „Trzeba mu nadać nową nazwę” – pomyślał Warakow.

– Nadać nowe imię – powiedział odwracając się do młodej kobiety, swojej adiutantki, i zerknął na jej nogi, wokół których wiatr owijał spódnicę. – Marzniesz. Chodźmy do środka. Chcę, by nowe imię świadczyło o tym, że jest to kwatera Północnoamerykańskiej Okupacyjnej Armii Sowieckiej. Zanotuj to, gdy twoje ręce przestaną dygotać z zimna.

Poszedł omijając przygotowany dla niego, poplamiony, czerwony dywan, rozłożony pomiędzy dwoma szeregami żołnierzy o zawadiackich twarzach, uzbrojonych w kałasznikowy. Przemaszerował po błocie. Pod ciężarem jego 285 funtów wyczyszczone do połysku buty zanurzały się chwilami na kilka cali.

Zatrzymał się u podstawy szerokich schodów, łagodnie pnących się do góry. Otrzepując zelówki z błota, patrzył na budynek.

– Towarzyszu generale!

Warakow odwrócił się i spojrzał na mężczyznę stojącego na bacność po jego lewej stronie. Niedbale odsalutował i mruknął:

– Co takiego, majorze?

– Generale! Mam tutaj siedemnastu partyzantów. Warakow spoglądał z roztargnieniem na majora i nagle przypomniała mu się depeza radiowa, którą otrzymał podczas lądowania na lotnisku międzynarodowym w północno-zachodniej części miasta, tuż przed przesiadką do helikoptera: Schwymano siedemnastu uzbrojonych partyzantów, gdy zaatakowali jeden z pierwszych patroli zwiadowczych wysłanych do miasta. Siedemnaścioro – były wśród nich trzy kobiety – zabiło dwunastu żołnierzy sowieckich. Partyzanci przetrwali promieniowanie neutronowe, jakie powstało po zbombardowaniu Chicago, ukrywając się w jakimś podziemnym schronie. Byli uzbrojeni w amerykańskie karabinki sportowe.

– Przyjdą niebawem. – Warakow skinął głową, po czym przestał otrzepywać buty. Patrząc

wskazany przez majora kierunku zobaczył jeszcze większe błoto. Oficer szedł obok niego, a młoda adiutantka tuż za nimi. Gdy generał ponownie wszedł w kałużę, zaczął się w duchu zastanawiać, co też mogło się tu zdarzyć, że wody tak nagle wezbrały. Planetarium, mniej niż ćwierć mili od tego miejsca, zostało poważnie uszkodzone, muzeum – obecnie kwatera – ledwo tknięta. Impet uderzenia spowodował zatopienie dużej części miasta, niszcząc na swej drodze wszystko jak fala przypływu. Domy i apartamenty bogatych kapitalistów, które tam stały, obróciły się w ruinę. Warakow nie uśmiechnął się do tej myśli. „Bogaci także mają prawo do życia” – przyznał w duchu.

Podniósł wzrok znad błota, widząc, że major się zatrzymał. Zobaczył przed sobą tę siedemnastkę. „Niektórzy z nich to dzieci. Nikt nie ma powyżej dwudziestu lat” – osądził. Przeniósł spojrzenie z tych, którzy stali pod ścianą ze związanymi rękoma i oczyma zasłoniętymi opaskami, na oddział sześciu ludzi i lekkie półautomatyczne karabiny w ich dłoniach okrytych rękawiczkami.

– Czy zechciałby pan wydać rozkaz otwarcia ognia, towarzyszu generale? – spytał major.

– Nie, nie. To pańscy więźniowie. Po czym dławiając emocje dodał:

– To pański zaszczyt.

Major uśmiechnął się promiennie i zasalutował. Również i ten salut spotkał się z niezbyt przepisowym odzewem Warakowa.

Major zrobił w tył zwrot i przemaszerował na pozycję przy plutonie egzekucyjnym.

– Gotów! Cel! Pal!

Generał nie odwrócił się, gdy sześciuosobowy oddział otworzył ciągły ogień, a siedemnastu Amerykanów pod ścianą zaczęło upadać. Jeden z nich próbował biec, jego oczy były zasłonięte, ręce wciąż związane. Upadł twarzą w błoto, a dwóch żołnierzy w końcu strzeliło do niego. Warakow przyjrzał się lepiej. To była młoda dziewczyna. Gdy upadło ostatnie z ciał, spojrzał na ścianę. Była usiana dziurami po pociskach, a gdzieś tam widniały ciemne plamy krwi i błota, które bryzgało, gdy padali martwi. Wciąż drżąc, generał mruknął:

– Bardzo dobrze, towarzyszu majorze. Tym razem nie zasalutował w ogóle.

## ROZDZIAŁ II

Warakow przebierał palcami stóp w białych skarpetkach pod masywnym biurkiem z blatem obitym skórą, umieszczonym w końcu hallu. Patrzył, jak mu się zdawało, setny raz na egipskie malowidła pod sufitem.

– Katarzyno – mruknął spoglądając z oddali na młodą adiutantkę wstającą za biurka i idącą ku niemu po lazurowo-błękitnym dywanie. – Niech ci nigdy nie przychodzi do głowy podchodzić tutaj. Każ zapalić światła. Jest tu za ciemno. Idź.

Odprawiona machnięciem ręki, wykonała przepisowy w tył zwrot, a generał powrócił do przeglądania sterty raportów na biurku. Rzucił okiem na szwajcarski zegarek i ponownie zagłębił się w skórzanym fotelu. Zostało dziesięć minut do spotkania z wywiadem. Przetarł mocno powieki i wstał. Nie znosił tych spotkań, miał uraz na ich punkcie. Nie ufał mu, bał go i jednocześnie gardził tą olbrzymią siłą. Przypomniał sobie „tajemniczą” katastrofę samolotu, tuż przed rozpoczęciem wojny. Na pokładzie znajdowali się oficerowie najwyższego szczebla Marynarki Sowieckiej. Było to coś więcej niż zwykła katastrofa.

Warakow przyglądał się rozpiętej bluzie munduru i stopom w skarpetkach. Wzruszył ramionami. Doszedł do wniosku, że ma pewne przywileje jako głównodowodzący. Zostawił bluzę nie zapiętą i odszedł od biurka. Z tyłu sali znajdowały się strome i kręte schodki prowadzące na półpiętro, z którego rozciągał się widok na cały hall. Poszedł tam, czepiając się poręczy. Wchodził wolno i niezgrabnie z powodu nadwagi. Kilka stóp od barierki półpiętra stały niskie ławeczki. Usiadł na najbliższej z nich i patrzył w dół. Środek sali zajmowała masywna rzeźba naturalnych rozmiarów, przedstawiająca dwa mastodonty walczące na śmierć i życie. Wargi Warakowa złożyły się w uśmiechu. Jeden z mastodontów zdawał się zyskiwać przewagę w walce. Tylko po co? Skoro gatunek już wyginął, zniknął na zawsze z powierzchni ziemi.

# ROZDZIAŁ III

– Miałem zamiar cię zapytać – zaczął Rubenstein ocierając wysokie, zroszone potem czoło chusteczką w czerwone kropki – dlaczego z tych wszystkich motorów na pobojowisku wybrałeś właśnie ten?

Rourke pochylił się nad kierownicą swego motocykla; mrużąc oczy patrzył na drogę w dole. Pustynne powietrze drżało nagrzane w słońcu. Blask raził oczy, mimo przydymionych szkieł gogli lotniczych.

– Z kilku powodów – odpowiedział niskim głosem. – Lubię Harleya Davidsona, miałem już lowridera jak ten – niemal z uczuciem poklepał bak – kiedyś, w moim schronie. To chyba najlepsza maszyna do jazdy zarówno po drogach, jak i bezdrożach: nie pali dużo, jest szybka, łatwa do prowadzenia, wygodna. Myślę, że po prostu lubię go – podsumował.

– Lubisz też mieć na wszystko wytłumaczenie, prawda?

– No cóż – rzekł John w zamyśleniu. – Prawdopodobnie tak. Mam dobre wytłumaczenie, dlaczego powinniśmy sprawdzić tę przyczepę ciężarówki – tam, w dole. Widzisz? – Wskazał podnóże zbocza.

– Gdzie? – zapytał Paul pochylając się do przodu na swym motorze.

– Ten ciemny punkt na poboczu drogi. Pokażę ci, gdy tam będziemy – powiedział John spokojnie, popychając harleya, i zaczął zjeżdżać ze stoku. Rubenstein ruszył za nim.

Z twarzy Rourke'a spływał pot, zupełnie jak wtedy, gdy wciągał harleya na szczyt wzgórza, u podstawy którego czekał teraz na kompana. Tu, niżej, powietrze było jeszcze bardziej rozgrzane. Zerknął na wskaźnik paliwa – tylko nieco ponad połowa. Paul zatrzymał się obok niego.

– Obserwuj te wzgórza, kolego – rzekł Rourke

– Dobra, dobra. Wiem, co do mnie należy.

– W porządku, bez urazy – odparł John. Zapalił motor i ruszył przez wąski pas ziemi, ciągle oddzielający ich od drogi. Zatrzymał się na chwilę, gdy dotarli do autostrady, spojrzął wzdłuż drogi na zachód i ruszył. Słońce dopiero co minęło zenit i na ile był w stanie się zorientować, znajdowali się już w Teksasie, około siedemdziesiąt pięć mil lub nieco mniej od El Paso. Pędził autostradą, wiatr smagał jego twarz i ciało, rozwiewał włosy. Czuł, jak lepiąca się do pleców przepocona koszula zaczyna wysychać. Zerknął w lusterko wsteczne, na usiłującego dogonić go Paula Rubensteina.

Uśmiechnął się.

Powrócił myślami do zdarzeń, które zetknęły ich ze sobą. Choć był z wykształcenia lekarzem, Rourke nigdy nie praktykował. Po kilku latach służby w CIA, udziale w tajnych operacjach

w Ameryce Łacińskiej, jego wiedza o broni i sposobach przetrwania uczyniła zeń „eksperta” w tych dziedzinach – napisał na ten temat książkę i miał serię wykładów. Natomiast Rubenstein pracował jako młodszy redaktor dla wydawcy jakiegoś czasopisma handlowego z Nowego Jorku – był „ekspertem” w dziedzinie instalacji rurociągowych i znaków interpunkcyjnych. Ich drogi zbiegły się podczas katastrofy Boeinga 747, którym John leciał z Atlanty, chcąc dołączyć do żony i dzieci w północno-wschodniej Georgii. Tej nocy, gdy wybuchła nuklearna wojna z Rosją, stracił ich prawdopodobnie na zawsze. A teraz na pustyni, w zachodnim Teksasie, Rourke i Rubenstein byli związani jednym pragnieniem. Obaj mężczyźni chcieli dotrzeć do południowo-wschodniego wybrzeża Atlantyku. Dla Paula oznaczało to szansę spotkania się z rodzicami. Mogli wciąż żyć. St. Petersburg na Florydzie nie był celem sowieckiego ataku, powojenna przemoc mogła ich tam nie dosięgnąć. Dla Rourke’a – wciąż miał przed oczyma te trzy twarze – oznaczało to nadzieję, że żona i dwoje dzieci nadal żyją. Farma w północno-wschodniej Georgii, gdzie mieszkali, mogła przetrwać bombardowania Atlanty. Ale istniało promieniowanie, kłopoty zaopatrzeniowe, bandy morderców – z którymi trzeba było walczyć. Z trudem przełknął ślinę na myśl, że powinien był przekonać żonę, Sarah, by zechciała nauczyć się kilku sztuczek, które teraz mogłyby pomóc jej zachować życie.

Skreślił w lewo, zorientowawszy się, że pogrążony w myślach omal nie minął opuszczonej ciężarówki. Gdy wykonywał mały objazd wokół niej, zdążył nadjechać Rubenstein. Rourke zatoczył pełne koło i stanął tuż obok maszyny Paula.

– Publiczne przedsiębiorstwo przewozowe – powiedział. – Porzucona. Przelecimy ją licznikiem Geigera i możemy sprawdzić, co jest w środku. Może coś nam się przyda. Zgaś motor. Nie sądzę, byśmy znaleźli tu choć odrobinę paliwa.

Podał Rubensteinowi licznik Geigera, który przymocowany był do bagażnika jego harleya, i przyglądał się, jak drobny mężczyzna pieczołowicie sprawdza ciężarówkę. Poziom promieniowania okazał się dopuszczalny. John przeszedł do podwójnych drzwi z tyłu ciężarówki i obejrzał zamek.

– Zamierzasz go odstrzelić? – zapytał Paul, który nagle znalazł się obok.

John odwrócił się i spojrzał na niego.

– Chyba istnieją mniej drastyczne sposoby, prawda? Mamy jakiś łom?

– Raczej nie.

– No cóż – rzekł dobywając z kabury na prawym biodrze pythona – w takim razie chyba go odstrzele. Stań tam – wskazał gestem na motocykle. Gdy Rubenstein był bezpieczny, Rourke odstąpił kilka kroków, ustawił się pod odpowiednim kątem, uniósł rewolwer i odciągnął kurek. Wskazującym palcem prawej dłoni nacisnął spust, trzymając Colt Medallion Pachmayr nieruchomo w mocnym uścisku. Sekundę później bluznął ogniem w kierunku zamka i wyraźnie zniszczył jego mechanizm. Następnie schował broń do kabury. Gdy jego kompan ruszył w kierunku zamka, ostrzegł:

– Może być gorący.

Ale Paul dotarł już do niego i gwałtownie cofnął rękę, gdy jego palce weszły w kontakt z metalem.

– Mówiłem, że może być gorący – wyszeptał Rourke. – Tarcie. Po czym poszedł na brzeg jezdni, schylił się i podniósł średniej wielkości kamień. Wrócił do drzwi przyczepy i wybił zamek.

– Otwórz teraz – rzekł.

Rubenstein grzebał przez chwilę przy drzwiach, oczyścił je i pociągnął z wysiłkiem.

– Musisz użyć tego rygla w zamku – poradził.

Paul spróbował odblokować rygiel. John stanął przy nim.



– Tutaj, spójrz – Rourke uwolnił rygiel, potem otworzył prawą część drzwi. Sięgnął do środka i usunął zasuwa lewą część, po czym otworzył drzwi także z tej strony.

– Tylko pudełka – rzekł Rubenstein zaglądając do wnętrza przyczepy.

– To, co się liczy, jest w ich wnętrzu. Odnowimy swoje zapasy.

– Ale czy to nie kradzież, John?

– Kilka dni temu, przed wojną, byłaby to kradzież. Teraz to aprowizacja. A to różnica – odpowiedział spokojnie, wspinając się na tył ciężarówki.

– W co chcesz się zaopatrzyć? – zapytał Paul wskazując do ciężarówki i idąc za nim.

Rourke posługując się stingiem wyjętym z wewnętrznej kieszeni spodni, rozciął taśmę na jakiejś małej skrzynce i powiedział:

– Cóż... w co chcą się zaopatrzyć? O, to może być w sam raz. Sięgając do skrzynki wydobyl podłużne pudełko, grubości paczki papierosów.

– Pestki do „czterdziestki piątki”, nawet tej samej marki i masy co moje.

– Amunicja?

– A jakże. Hurtownicy i pośrednicy korzystają czasem z usług publicznych przedsiębiorstw przewozowych przy transporcie broni amunicji do sprzedawców. Mam nadzieję, że trafiliśmy na jeden z takich. Znajdź sobie naboje do Parabellum 9 mm. Równie dobrze pasują do MP-40, jak i do wielkokalibrowego browninga, których używasz. I daj znać, jeśli natkniesz się na jakąś broń.

John zaczął swoim sposobem pracować nad towarem, otwierając każdą skrzynkę, mimo naklejek wskazujących na bezużyteczną dla niego zawartość. Nie było broni, ale znalazł jeszcze paczkę z amunicją – 125 gramowe, drażone pociski do magnum. Odłożył na bok kilka pudełek, na wypadek gdyby nie znalazł pocisków o pożądanej masie.

– Hej, John? Dlaczego nie zgarniemy całego towaru, to znaczy, wszystkich tych pestek?

Rourke spojrzał przelotnie na Rubensteina.

Jak mielibyśmy to zrobić? Mógłbym wziąć 308-ki, 223-ki, 45-ki ACP i 357-ki, i to już byłoby za dużo. Mam wystarczający zapas z poprzedniego zaopatrzenia.

– Przed nami wciąż jeszcze 1500 mil, tak? – głos Paula nie wyrażał entuzjazmu. Doktor przyglądał mu się milcząco.

– Hej, John. Chcesz zapasowe ładunki, to znaczy, magazynki do twojej strzelby?

Rourke podniósł wzrok. Jego kompan trzymał w dłoni magazynki AR-15.

– Pasują do colta?

Rubenstein przyglądał się chwilę magazynkom. John powiedział:

– Zajrzyj pod spód, na płytkę fabryczną.

– Tak, pasują.

– Więc bierz je jak leci.

– Jesteś pewien, że to nie jest nieuczciwe? To znaczy, że nie kradniemy?

Otwierając pudełko z pokarmem dla dzieci, John powiedział:

– To wojna, Paul. Kilka nocy temu USA i Związek Sowiecki stoczyły wielką, nuklearną bitwę. Wydaje się, że Stany Zjednoczone nie wyszły na tym dobrze. Każde miejsce, które odwiedziliśmy, zanim ten samolot się rozbił, wyglądało na porażone. Zdawało się, że wyparował cały obszar dorzecza Missisipi. Zgodnie z tym, co mówił przez radio ten chłopak, osunął się uskoki San Andreas i cały obszar na północ od San Diego pochłonęło morze, a fala przyływu dotarła aż do Arizony. No i jeszcze trzęsienie ziemi. Albuquerque opuszczono po ogromnym pożarze – zostali tylko ranni,

umierający i dzikie psy. Pamiętasz? I tę strzelaninę z gangiem renegatów na motorach, którzy wyróżnili ludzi, gdy jechaliśmy po pomoc dla nich... Jak ocenilibyś to wszystko?

– Ruina, anarchia, sobiepaństwo. Kompletne bezprawie.

– I tu się mylisz – powiedział spokojnie doktor. – Jest prawo. Zawsze jest prawo moralne. Zwróć uwagę, że nikt nie dozna krzywdy, kiedy weźmiemy stąd kilka drobiazgów, które pozwolą nam przeżyć tam, na zewnątrz. Naszym obowiązkiem jest żyć – ty chcesz zobaczyć, czy udało się to twoim rodzicom, ja chcę odnaleźć Sarah i dzieci. Więc jesteśmy to winni im i sobie teraz poszukaj czegoś, co można by użyć jako torby na rupiecie. Mam zamiar zabrać trochę tego pokarmu dla dzieci. Obfituje w proteiny, cukier i witaminy.

– Mam małego, to znaczy, miałem małego siostrzeńca w Nowym Jorku. To... – w głosie Paula dało się wyczuć napięcie – to smakuje obrzydliwie.

– Ale utrzyma nas przy życiu – rzekł John zamykając dyskusję.

Rubenstein odwrócił się do wyjścia, potem spojrzął przez ramię na swego towarzysza i powiedział:

– John, Nowy Jork przepadł, prawda? Mój siostrzeniec, jego rodzice... Miałem dziewczynę. Nie było to nic poważnego, ale kiedyś mogłoby być. Lecz to przepadło, prawda?

Rourke oparł się o ścianę przyczepy, przyłożył dłonie do drewnianych obić i przymknął na chwilę powieki.

– Nie wiem. Jeśli chcesz, bym podzielił się z tobą domysłami, wtedy powiem: Tak, Nowy Jork przepadł. Przykro mi, Paul, ale prawdopodobnie stało się to szybko, nie mieli nawet czasu na ewakuację.

– Wiem, myślałem o tym... Kupowałem kiedyś gazetę od takiego facecika na rogu. Był rosyjskim emigrantem. Przybył tu uciekając przed rewolucyjnym zamętem – jako mały chłopiec. Zawsze dbał o maniery. Pamiętam, zimą nigdy nie naciągał kapelusza na uszy, przez co stawały się czerwone i łuszczyły się. Podobnie wyglądały jego policzki. Mówiłem do niego: „Max, dlaczego nie chronisz swojej twarzy i uszu? Nabawisz się odmrożeń!”. Lecz on uśmiechał się tylko, nic nie mówiąc, chociaż angielski znał. Sądzę, że on też nie żyje, co?

Rourke westchnął głęboko, skierował wzrok na otwartą przed nim skrzynkę. Wiedział dokładnie, co jest w środku, ale zajrzał tam i tak.

– Myślę, że tak, Paul.

– Taak – rzekł Rubenstein wtórując mu. – Myślę... – i zaczął wychodzić z przyczepy. Doktor podniósł wzrok, po czym przeszukał szybko pozostałe skrzynki. Znalazł jakieś baterie do latarki, krem do golenia w tubkach i ostrza. Potarł szczecinę na brodzie, zabrał maszynkę do golenia i tyle pudełek ostrzy, ile mógł pomieścić w kieszonce na piersi swej błękitnej, przepoconej koszuli. Wziął też jedną tubkę kremu i kilka kostek mydła. Znalazł jeszcze jedną paczkę amunicji – 158 gramowe pociski w koszulkach, do 357-ek i wziął osiem pudełek z czterdziestu. Były tam też pełne pociski do 223-ki. Zgarnął ich kilka setek. Wszystko, co chciał zabrać, wrzucił do dwóch skrzynek i podciągnął je na tył przyczepy. Pomógł Rubensteinowi wspiąć się do środka i spakować wszystko do torby. Gdy była pełna, zeskoczył na jezdnię, zarzucił torbę na lewe ramię i zaniósł w stronę motocykli.

– Powinniśmy rozdzielić ładunek – powiedział widząc skaczącego za nim Paula. Odwrócił się do swego motoru, lecz nagle dobiegł go głos przyjaciela zmieszany ze świstem kul ponad głową. Bez ruchu popatrzył na Rubensteina powtarzającego ciągle:

– John! John! John!

Rourke wyprostował się powoli, mrużąc oczy za ciemnymi okularami. Grupa mężczyzn w nieokreślonych mundurach, biegła za jego przyjacielem. Niespiesznie odwrócił się. Za plecami, obok porzuconej przyczepy, było ich przynajmniej drugie tyle. Wszyscy dzierżyli strzelby najróżniejszego pochodzenia – wszystkie skierowane na Rourke'a i Rubensteina.

– Przyłapaliśmy was na gorącym uczynku, co? – krzyknął któryś z facetów stojących z tyłu.

– Cholernie dowcipne – rzekł Rourke bez żenady.

– Jesteście aresztowani – oznajmił głos i tym razem John połączył go z twarzą w środku grupy przy przyczepie. Grubszy od innych, nosił mundur bardziej kompletny i wyglądający na wojskowy. Na ramieniu mężczyzny tkwiła opaska i John usiłował odcyfrować, co jest tam napisane. Zauważył, że na uniformach pozostałych mężczyzn tkwią takie same opaski.

– Kto nas aresztuje? – zapytał ostrożnie.

– Jestem kapitan Nelson Pincham z Teksańskiego Niezależnego Oddziału Paramilitarnego. – odpowiedział grubas.

– Ho, ho – Rourke zrobił pauzę. – Rozumiem. Teksański Niezależny Oddział Paramilitarny, T...N...O...P...Tnop. Brzmi głupio.

Samozwańczy kapitan postąpił krok do przodu:

– Zobaczmy, jak głupio to zabrzmie, kiedy za minutkę będziecie gryźć glebę. Oficjalna polityka jest taka, by grabieżców rozwalać na miejscu.

– Doprawdy? – skomentował John. – Czyjaż to oficjalna polityka? Twoja?

– To oficjalna polityka Paramilitarnego Tymczasowego Rządu Teksasu.

– Spróbuj powiedzieć mi to kiedyś po kilku piwach – rzekł Rourke patrząc na Pinchama.

– Rzuć broń – odezwał się grubas. – Ten wielki nagan przy pasie na biodrach. Ruszaj się, chłopcze! – zarządził.

Doktor widział kątem oka, ale wyraźnie, jak jakieś ręce obszukiwały Rubensteina, odbierając mu jego „sprzęt”. „Schmeisser” – jak wciąż go nazywał – oraz jego CAR-15 i steyr-mannlicher nadal były na motorach. John sięgnął wolno do pasa Ranger Leather i rozpiął go. Trzymając za sprzączkę, wyciągnął prawą rękę. Jeden z milicjantów wystąpił do przodu, chwycił pas i cofnął się.

– Teraz pistolety z kabur pod ramionami. Szybko! – W głosie Pinchama pobrzmiwała rosnąca pewność siebie.

Rourke ostrożnie sięgnął ku uprząży, gdy tłuszcioch krzyknął:

– Stój!

Kapitan obrócił się do najbliższego milicjanta i warknął:

– Idź po te pistolety, ruszaj się!

Jeden z mężczyzn ruszył w kierunku Johna.

– Jesteś pewien, że nie chcesz pogadać? Tak po prostu nas zastrzelisz?

– Jestem pewien – odrzekł Pincham i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

John tylko skinął głową i odsunął rękę od bliźniaczych detoników, tkwiących w podwójnej uprząży pod ramieniem. Milicjant znalazł się pomiędzy nim a Pinchamem oraz resztą ludzi od strony ciężarówki i przemówił chrapliwym głosem:

– Teraz wyjmiesz te świece. Sięgniesz pod pachy powoli i grzecznie, prawa dłoń chwyci ten pod prawym ramieniem, lewa ten pod lewym. Grzecznie i spokojnie. Potem wystawisz je przed siebie kolbami w moją stronę.

– W porządku – rzekł doktor. Gdy sięgnął po pistolety dodał:

– Aby je wydobyć muszę lekko szarpnąć...

– Wszyscy przyglądają się, jak to robisz. Żadnych sztuczek albo rozwalę cię na miejscu.

Rourke zerknął na strzelbę w jego rękach. Chwycił swoje pistolety. Trzema palcami każdej dłoni uwolnił je ze skórzanych kabur. Utkwił wzrok w mężczyźnie, który wyraźnie sprężył się na widok broni. Ostrożnie wyciągnął przed siebie ręce z pistoletami odwróconymi kolbami tak, jak mu kazano.

– Dobry chłopiec – rzekł mężczyzna uśmiechając się, po czym zdjął lewą rękę ze strzelby i wyciągnął ją w kierunku pistoletu w jego prawej dłoni.

John uśmiechnął się nieznacznie. Jego ręce opadły błyskawicznie, bliźniacze „czterdziestki piątki” zawirowały na wskazujących palcach, kolby legły w dłoniach, kciuki odwiodły kurki i obydwie pistolety wypaliły równocześnie. Pierwsza kula przebiła gardło mężczyzny, druga przeszła jego bark, odrzucając do tyłu, i ugodziła w pierś żołnierza stojącego przy Rubensteinie. Rourke oddał dwa kolejne strzały w grupę ludzi z drugiej strony drogi i zanurkował pod przyczepę, przetoczył się pod nią, strzelając z obydwu pistoletów do facetów osłaniających kapitana Pinchama. Kątem oka – jak na zwolnionym filmie – widział Paula, który zrobił właśnie to, czego się po nim spodziewał: porwał strzelbę zabitego strażnika i skierował wylot lufy wprost w prawy policzek Pinchama. Rourke przestał strzelać, gdy jego kompan krzyknął:

– Wstrzymać ogień albo Pincham dostanie za swoje! John przeczołgał się pod przyczepą i stanął na nogi. Obie „czterdziestki piątki” wymierzył w tych po drugiej stronie drogi.

– Niezłe przedstawienie, Paul – powiedział niemal szeptem, puszczając oko do Rubensteina. Tamten skinął głową i krzyknął:

– Wszyscy wychodzą z ukrycia i rzucają strzelby na ziemię! Szybko albo kapitan oberwie! Ruszać się!

Rourke przyglądał się, jak Rubenstein wciska lufę w policzek Pinchama. Grubas wrzasnął:

– Róbcie, co każą! Pośpieszcie się!

Ludzie, którzy skoczyli do przydrożnego rowu, gdy otworzono do nich ogień, wypętlali powoli na drogę. John patrzył, jak jeden po drugim rzucają strzelby wydające brzęk przy zetknięciu z jezdnią.

– Pistolety też! – krzyknął Paul.

Wśród pistoletów, które znalazły się na ziemi, Rourke zobaczył swój własny. Podeszedł do niego, schylił się i podniósł go. Włożył detonika za pasek spodni. W prawej dłoni trzymał teraz pythona o długiej lufie. Odbezpieczając go przeszedł wolno przez jezdnię. Idąc zamasyście dotarł do mężczyzny stojącego w środku dziesięcioosobowej grupy. Kierując wylot lufy w jego skroń, powiedział cicho:

– W porządku... Chcecie, chłopcy, być wojskiem... W szeregu zbiórka! Będziecie robić coś w rodzaju pompek, tylko bez opadania w dół. Dalej!

Doktor odsunął się, nakazując najbliższemu z mężczyzn paść na ziemię. Za jego przykładem cała dziesiątka znalazła się na kolanach, wyciągnęła ręce, potem nogi. Wszyscy balansowali teraz na palcach stóp, opierając się na ramionach.

– Pierwszy, który się ruszy – umrze! – ostrzegł głośno. Słyszał, jak po drugiej stronie drogi Rubenstein wykrzykuje podobne rozkazy, podeszedł do niego. Paul zapytał:

– Co teraz robimy?

– Chcesz ich wszystkich zabić? – Co?

– Ja też nie. Możesz jednak sprowadzić tu motocykle. Zabierzemy tych koleżków na spacer, kilka mil szosą, a później puścimy wolno. Pozwól mi tylko przeładować broń. Uważaj na nich, stary –

rzekł Rourke.

Wyciągnął pythona z za paska, potem wymienił magazynki w obydwu „czterdziestkach piątkach” i na powrót schował je do kabur. Oczyszczył futerał z piachu i zarzucił na ramię, ściskając pythona w prawej dłoni. Kiedy był gotów, Rubenstein rozpoczął załadunek motorów.

– Macie gdzieś w pobliżu jakieś pojazdy? – John zapytał Pinchama. Kapitan nie odpowiedział. Rourke przytknął lufę pythona do jego nosa.

– Tak, po obydwu stronach drogi.

– Jakież zbiorniki paliwa?

– No, mamy – potwierdził nerwowo grubas.

– Wielkie dzięki – powiedział John i krzyknął: – Paul! Skocz tam i przywieź paliwo do motocykli. Weź ze sobą to coś, co nazywasz „schmeisser”, na wypadek gdyby zostawili kogoś na straży. Zostawiłeś kogoś na straży? – spytał zniżając głos i wpatrując się w Pinchama.

– Nie, nie. Nikogo.

– Dobra. Jeśli cokolwiek przytrafi się mojemu przyjacielowi, będziesz miał w nosie jedną dziurkę ekstra.

– Nikogo nie ma na straży! – powtórzył Pincham. Jego głos wznosił się za każdym razem coraz wyżej.

Chwilę później Rubenstein wrócił z kanistrami paliwa, izatankował oba motocykle i usadowił się na swoim. Rourke z Pinchamem na muszce również podszedł do motoru. Niektórzy z milicjantów byli już bliscy upadku, nie mogąc dłużej wspierać się na rękach.

– Barbarzyńca – warknął gruby.

Skądże znowu – odparł John spokojnie. – Chcę, by byli grzeczni i tak zmęczeni, aby nie zdążyli wrócić zbyt szybko, i nie śledzili nas. Albo zrobimy to, albo uszkodzimy wasze pojazdy. Nie wydaje mi się, żebyś chciał zostać na tej pustyni i polegać tylko na własnych nogach. Mam rację?

Pincham, przygryzając dolną wargę, przytaknął.

– W porządku, kapitanie – rzekł Rourke. – Rozkaż swym ludziom, by wstali i ruszyli przed nami. Będziesz zamykał pochód. Jeden niepożądany ruch, a ty będziesz miał kłopoty.

Uruchomili motory, zaś Pincham poderwał swych ludzi i uformował z nich nierówną kolumnę dwójkową. Ruszyli drogą na El Paso.

Rourke i Rubenstein jechali z tyłu.

John spoglądał właśnie na licznik wskazujący koniec drugiej mili, gdy Pincham – wlokący się mozolnie tuż przed nim – powiedział:

– Zabiłeś trzech moich ludzi.

– Czterech – sprostował doktor.

– Jeśli kiedyś nasuniesz mi się przed oczy, jesteś trupem.

– Tam z tyłu, w ciężarówce, jest sporo pokarmu dla dzieci. Na wypadek, gdybyście byli głodni – odrzekł poprawiając okulary i zwrócił się do Paula:

– Jedziemy.

Dodał gazu i wystrzelił na harleyu wzdłuż kolumny, Rubenstein tuż za nim, po drugiej stronie. Mijając tę paramilitarną jednostkę, Rourke spoglądał przez ramię na ludzi Pinchama. Niektórzy siedzieli już na poboczu. Kapitan stał i wygrażał pięścią...

Paul zrównał się z motocyklem Johna i przekrzykiwał świst powietrza:

– Widziałem kiedyś tę sztuczkę w westernie. Tę z pistoletami, znaczy.

Rourke skinął tylko głową.

– Jak się to nazywa, kiedy obracasz broń w taki sposób, gdy ktoś chce ci ją odebrać?

John przyjrzał się przyjacielowi, potem pochylił się nieco na motorze, szukając wygodniejszej pozycji.

– Korkociąg rozbójnika – rzekł.

– Korkociąg rozbójnika – zawtórował Rubenstein. – Hej!

# ROZDZIAŁ IV

Warakow był zadowolony, że zarządził konferencję z wywiadem we własnym biurze, w gabinecie obok centralnego hallu. Biurko było zabudowane z przodu i, przy ustawieniu krzeseł w półkolu, nikt nie mógł widzieć jego stóp. Wygodnie rozciągnięty w fotelu przebierał palcami w białych skarpetkach.

– Istnieje kilka innych zadań priorytetowych niż eliminacja politycznie niepożądanych – powiedział stanowczo.

– Moskwa chce... – zaczął człowiek KGB, major Władimir Karamazow.

– Moskwa chce – wpadł mu w słowo generał – żebym rozruszał ten kraj, bym dopilnował, aby zbrojna rebelia nie wymknęła się nam spod kontroli – pewien opór jest nie do uniknięcia w społeczeństwie, gdzie każdy posiada broń – oraz bym ponownie uruchomił przemysł ciężki. Oto, czego chce Moskwa. Jaki sposób realizacji wybiorę, to już moja sprawa. Ewentualnie, jeśli Moskwa zadecyduje, że nie wykonuję swej pracy właściwie, wtedy zostanę zastąpiony. Ale nie pozwolę tutaj – Warakow uderzył pięścią w stół – panoszyć się KGB. Wywiad ma służyć interesom ludu sowieckiego i rządu. Rząd i ludzie nie będą wstrzymywali oddechu, by oddać usługi wywiadowi. Związek Sowiecki stoi przed groźbą klęski głodu, odczuwa luki w zaopatrzeniu w cały szereg artykułów, a przeważająca część naszego przemysłu ciężkiego została zniszczona przez amerykańskie pociski. Jeśli nie pozyskamy potencjału produkcyjnego tego kraju, wszyscy możemy zacząć przymierać głodem, nie będziemy mieli amunicji do naszych karabinów, żadnych części zamiennych. Większość amerykańskiego przemysłu ciężkiego jest nietknięta. Większości naszego już nie ma. W pierwszym rządzie jesteśmy odpowiedzialni za wypełnienie fabryk batalionami pracy i rozwinięcie produkcji. W przeciwnym razie wszystko będzie stracone.

Warakow rozejrzał się po pokoju, jego spojrzenie zatrzymało się przez chwilę na kapitan Natalii Tiemerowej, także z KGB, do tego najbardziej zaufanej i poważnej agentce Karamazowa.

– Co pani o tym sądzi, kapitan Tiemierowna? – zapytał Warakow miękącym głosem.

Obserwował, jak niespokojnie poruszyła się na krześle. Spódnica munduru odsłoniła na moment jej kolana, a fala ciemnych włosów opadła na czoło, gdy poderwała głowę. Patrzył, jak odgarnęła włosy znad głęboko osadzonych, błękitnych oczu.

– Towarzyszu generale, zdaję sobie sprawę z wagi poruszonych przez pana spraw. Lecz jeśli mamy z sukcesem reaktywować przemysł, musimy też zabezpieczyć się przed sabotażem i zorganizowanym ruchem wywrotowym. Towarzysz major Karamazow, jestem tego pewna, chce jedynie rozpocząć pracę nad eliminacją potencjalnych rebeliantów z listy „Master” po to, by pan, towarzyszu generale, mógł łatwiej realizować swoje zadania.

– Powinnaś być dyplomatką, Natalio. Masz na imię Natalia, prawda?

– Tak, towarzyszu generale – odpowiedziała dziewczyna głębokim altem. Był to timbre głosu, jaki Warakow lubił najbardziej.

– Jest pewien drobiazg – podjął generał. – Zanim przejdziemy do waszej listy osób przeznaczonych do likwidacji. Nie jest to problem dla wywiadu, lecz życzę sobie waszego kolektywnego wkładu. Chodzi o zwłoki. Na obszarach dotkniętych uderzeniami bomb neutronowych, takich jak Chicago, wszędzie znajduje się pełno gnijących zwłok. Z terenów nie objętych bombardowaniami przybywają dzikie psy i koty. Prawdziwym utrapieniem stały się szczury. To bardzo istotny problem. Zdrowie publiczne, towarzysze. Czy macie jakieś sugestie? Sam przecież nie mogę wytepić szczurów, bakterii i wilkopodobnych psów.

– W nie zniszczonych częściach miasta, względnie na przedmieściach, egzystuje wielu krajowców – zaczął Karamazow. – I...

Warakow uciął:

– Z pewnych źródeł wiem, towarzyszu majorze, że ma pan już jakiś plan.

Karamazow przytaknął lekceważąco i podniósłszy się z krzesła kontynuował:

– Możemy wysłać do tych rejonów nasze jednostki celem uformowania z tych ludzi batalionów pracy, przeznaczając centralne place do kremacji ciał i wyposażać niektóre z tych batalionów w środki chemiczne do zwalczania szczurów i bakterii.

– Lecz, Władimir – zaczęła kapitan Tiemerowna, przerwała jednak i poprawiła się: – Lecz, towarzyszu majorze, takie chemikalia, aby były skuteczne, muszą być dostatecznie silne, a wtedy ich działalność obróci się także przeciw ludziom z batalionów pracy.

– Oczywiście podejmiemy odpowiednie środki ostrożności, ale znajdziemy też odpowiednich zastępców na miejsce tych, którzy będą nieostrożni, Natalio – rzekł Karamazow. Odwrócił się plecami do generała, a potem przeszedł na skraj półkola krzesła i raptownie obracając się na pięcie – dla dramatycznego efektu, jak przypuszczał Warakow – powiedział:

– Gdy raz już zostaną sformowane, bataliony te mogą zostać zorganizowane w załogi fabryczne. Jeśli pracowałyby na dwie zmiany po dwanaście godzin, także nocą – system elektryfikacyjny jest wciąż w dużej mierze sprawny – to miasto może zostać postawione na nogi w kilka dni. Najwyżej tydzień. Odpowiednie dane liczbowe mogę przedstawić za godzinę, towarzyszu generale. – I strzelił obcasami.

Warakow nie znosił tego. Karamazow za bardzo przypominał mu nazistów z czasów drugiej wojny światowej.

– Nie wydaje mi się, aby pańskie dane liczbowe były konieczne... Jakkolwiek pański plan sprawia wrażenie najbardziej sensownego.

– Dziękuję, towarzyszu generale. Przygotowanie danych liczbowych nie sprawi żadnych trudności. Założyłem, że problem pana zainteresuje i mam je już gotowe, choć – oczywiście – trzeba jeszcze uwzględnić aktualną liczbę ocalonych, którzy są użyteczni do pracy w batalionach oraz ilość chemicznego wyposażenia zabezpieczonego na użytek programu... Mogę łatwo obliczyć te dodatkowe dane, wedle pańskiego życzenia.

Warakow skinął głową, przygarbiając się nad biurkiem.

– Nie odchodzę jeszcze na emeryturę, mój ambitny młody przyjacielu.

– Ależ oczywiście, towarzyszu generale – zaczął major idąc w kierunku biurka generała.

– Nic nie jest oczywiste, Karamazow... Ale opowiedz mi teraz o waszej liście.



Karamazow usiadł, potem wstał ponownie i przeszedł na koniec rzędu krzeseł zajętych przez kagebistów i wojskowych. Gwałtownie obracając się na pięcie – dla jeszcze większego dramatyizmu, jak przypuszczał Warakow – wyrzucił z siebie:

– Musimy za wszelką cenę zapewnić bezpieczeństwo państwa, towarzysze. Oczywiście z tego powodu, wiele lat temu, przed końcem drugiej wojny światowej, moi poprzednicy rozpoczęli zestawianie listy – ustawicznie uzupełnianej – ludzi, którzy w przypadku wojny z kapitalistycznymi superpotęgami mogliby być potencjalnymi sprawcami kłopotów, organizując punkty oporu, etc. Lista „Master” – jak przyjęło się ją nazywać – była, jak już nadmieniałem, stale uzupełniana. Nie sposób było przewidzieć z jakąkolwiek możliwą do przyjęcia dokładnością, kto może taką wojnę przeżyć, a kto nie, i określić, które cele będą mogły być łatwo wyeliminowane w razie potrzeby. Było to już na samym początku przyczyną rozpadu listy na kategorie.

– Są tam nazwiska, które moglibyśmy rozpoznać? – wpadł mu w słowo Warakow.

– O tak, panie generale. Wiele z tych nazwisk to ważne osoby publiczne. Wiele innych nazwisk niełatwo dziś zidentyfikować, my jednak nie mamy z tym problemu!

– Proszę podać mi jakieś przykłady, majorze – znowu przerwał mu Warakow.

– Cóż... Są różnych profesji. Na przykład w sekcji Alfa jedną z najważniejszych figur jest Samuel Chambers – rzekł Karamazow. – Ten Chambers, na ile potrafilismy go ocenić, jest jedynym ocalałym członkiem czegoś, co nazywano gabinetem prezydenckim. Był ministrem komunikacji – odpowiednik sekretarza. Zgodnie z naszą interpretacją konstytucji Stanów Zjednoczonych, jest on w tej chwili, czy wie o tym czy nie, faktycznym prezydentem USA. Musi zostać zlikwidowany. Chambers jest znakomitym przykładem. Znajdował się w sekcji Beta, lecz jego awans do gabinetu doradczego prezydenta pociągnął za sobą przejście do sekcji Alfa. Zawsze był żarliwym przeciwnikiem naszej ojczyzny, sam nazywał siebie antykomunistą. Zdobył sobie dużą popularność dzięki takiej postawie. Był właścicielem kilku stacji radiowych i telewizyjnych, przez kilka lat miał własny program nadawany przez niezależne stacje w całym kraju. Jego nazwisko wyrażało się w języku potocznym postęp amerykańizmu.

– W języku potocznym... Jest teraz prezydentem? Czy więc nie życzymy sobie negocjować z nim celem podpisania formalnego aktu kapitulacji? – zapytał Warakow głosem wyrażającym cierpliwość i zainteresowanie.

– W normalnych warunkach – owszem, towarzyszu generale, zrobilibyśmy to. Lecz ten Chambers się nie zgodzi nigdy. A jeśli wymusilibyśmy jego podpis na układzie pojednawczym, tubylcy nigdy nie uznałyby jego autentyczności. Ma dla nas wartość jako trup. Ponieważ jest symbolem amerykańskich uczuć antykomunistycznych, jego śmierć może zatrzymać falę oporu Amerykanów, ukazując im, jak bezużyteczna jest taka aktywność... Jak bezproduktywna.

– Jeszcze jakiś przykład – powiedział Warakow chcąc zyskać na czasie, nim warunki zmuszą go do podpisania oficjalnego rozkazu rozpoczęcia pracy nad listą. Nie lubił skazywać ludzi na śmierć. Zbyt długo szkolony był na żołnierza, by cenić życie tak nisko, jak robiło to KGB.

– A... tak – rzekł Karamazow przechadzając się po pokoju pomiędzy rzędem krzeseł a biurkiem Warakowa. – Tak, mam jeszcze dobry przykład. Nie mam jednak przesłanek, by uważać, że ten człowiek jeszcze żyje. Był pisarzem zamieszkałym w południowo-wschodniej części USA. Pisał powieści przygodowe o amerykańskich terrorystach likwidujących agentów komunistycznych ze Związku Sowieckiego i innych krajów. Pisywał także do magazynów poświęconych broni sportowej. Kilkrotnie oficjalnie potępiał nasz system rządów i ogłaszał to drukiem w periodykach. W swych

artykułach i książkach usiłował gloryfikować indywidualizm i antyspołeczne dążenia jednostki... Nie mogę teraz przypomnieć sobie jego nazwiska. Nie należy on do kategorii priorytetowej, niemniej jego likwidacja będzie konieczna.

Jeszcze innym przykładem byłby emerytowany personel Centralnej Agencji Wywiadowczej, przejawiający resztki aktywności. Inną listę stanowiliby oficerowie rezerwy sił zbrojnych. Jest wiele tysięcy nazwisk, towarzyszu generale, i praca musi być rozpoczęta bezzwłocznie. Musimy zlokalizować i zlikwidować te osoby jako potencjalnych wywrotowców.

Wolno i dobitnie, a przy tym niemal łagodnie, Warakow powiedział:

– Czystka?

– Tak... Ale czystka dla ostatecznego postępu w kolektywnych planach bohaterskiego ludu sowieckiego, towarzyszu generale!

Warakow popatrzył na Karamazowa, potem przeniósł spojrzenie na Natalię Tiemerową. Wierciła się na niewygodnym składanym krześle. Ponownie skierował wzrok na majora i ich spojrzenia spotkały się.

– Podpiszę ten rozkaz – prawie szeptem powiedział generał. – Lecz od kiedy rozkazy pojedynczych egzekucji przestaną być konieczne, będę wprowadzał poprawki do listy tak, że bez wyraźnego rozkazu podpisanego przeze mnie będzie można eliminować tylko osoby aktualnie znajdujące się na liście „Master”.

Kaszłąc dodał:

– Nie chcę wszczynać krwawej jatki.

Potem patrząc na Karamazowa, prosto w jego czarne jak węgle oczy, wyciągnął w jego kierunku wskazujący palec prawej dłoni i powiedział:

– Nie popełnijcie błędu myśląc, że będę na tyle głupi, by podpisać blankiet, który pewnego dnia mógłby zadziałać na moją niekorzyść, towarzyszu.

# ROZDZIAŁ V

Amarantowa kula słońca znajdowała się nisko nad horyzontem, na odległym krańcu wstęgi autostrady biegnącej do El Paso. Rourke obliczył, że byli ciągle jeszcze około dziesięciu lub więcej mil od tego miasta. Skierował motocykl na skraj jezdni i zahamował na poboczu, patrząc na drogę przed sobą. Rubenstein przejechał obok niego i zahamował kilka stóp dalej. Cofnął się i stanął obok.

– Dlaczego się zatrzymujemy, John?

– Jesteśmy jakieś osiem czy dziewięć minut od El Paso. Nie wygląda na to, żeby zostało trafione. Ale jak dobrze pamiętam, nie było to miasto, które można by nazwać najmiłszym. Po drugiej stronie mostu na Rio Grande znajduje się Juarez.

– Wybieramy się do Meksyku?

– Nie... Przynajmniej, dopóki będę mógł tego uniknąć.

Ta paramilitarna jednostka, którą wystawiliśmy do wiatru może jeszcze sprawić nam kłopoty, być może już siedzą nam na ogonie. Prawdopodobnie mieli radiostację, jak sądzisz?

– Tak – rzekł Rubenstein. Wyglądał przez chwilę na zamyślonego. – Tak, myślę, że mieli.

– Cóż, możemy zatem spodziewać się komitetu powitalnego. Ale w Meksyku mogłyby wsiąść na nas jakieś federalne jednostki... Robią to, co do nich należy, cholernie dobrze. No i przy tej całej broni, motorach i różnego rodzaju innym wyposażeniu, którym dysponujemy wszyscy jak jeden mąż będą chcieli nas załatwić i z tego oskrobać. Nie wiem, czy Meksyk został wplątany w wojnę, czy też nie, ale mogą się tam dziać straszne rzeczy.

– W takim razie – rzekł Paul – może powinniśmy po prostu ominąć El Paso.

– Tak, myślałem o tym – powiedział wolno Rourke, wciąż patrząc wzdłuż autostrady. Zapalił jedno ze swych cygar i przesunął je językiem w lewy kącik ust. – Wiele o tym myślałem przez tych kilka ostatnich mil na autostradzie. Jakoś nie widzę dla nas innego wyjścia, skoro już w to wdepnęliśmy, a ty?

Rubenstein spojrzał na niego, potem szybko odpowiedział:

– Nie, ja też nie. Doktor przytaknął i rzekł:

– Ten pokarm dla dzieci, który zabrałem, wystarczy dla nas obydwu tylko na kilka dni. Poza tym miałeś rację, smakuje jak rzygowiny. Potrzebujemy żywności, prawie nie mamy już wody i przyda się nam więcej benzyny. Nie pogardziłbym też jakimiś instrumentami medycznymi, jeśli znalazłbym takowe. Miałem to wszystko w swojej kryjówce, ale przed nami daleka droga do ich odzyskania.

– Nigdy mi nie mówiłeś – zapytał Paul spoglądając na autostradę i usiłując dojrzeć, czego tak intensywnie wypatruje John – dlaczego przygotowałeś schron? To znaczy, wiedziałeś, że zacznie się wojna, czy jak?

– Nie... Nie wiedziałem – rzekł Rourke. – Widzisz, ukończyłem studia medyczne, potem miałem praktykę i takie tam. Zawsze interesowałem się historią, bieżącymi wydarzeniami, takimi rzeczami – wydmuchnął długą smużkę szarego dymu z cygara, która pochwycona przez światło słoneczne zawirowała przed nim przez chwilę, a potem rozwiała się w powietrzu. – Wyobraziłem sobie chyba, że oprócz umiejętności rozwiązywania ludzkich problemów, mógłbym zacząć chronić ich przed nimi. Nie osiągnąłem tego do końca. Wstąpiłem do CIA, spędziłem tam kilka lat, głównie w Ameryce Łacińskiej. Zawsze byłem dobry w posługiwaniu się bronią, lubiłem chodzić własnymi ścieżkami. Nabrałem doświadczenia w tym towarzystwie, przyswoiłem sobie kilka ostrych sztuczek.

Poślubiłem Sarah tuż przed zwolnieniem się. Miałem już wtedy publikacje dotyczące szkolenia w sztuce przetrwania i treningu z bronią. Siadłem do pisania i równocześnie zacząłem przygotowywać schron. Im więcej tarć powstało między nami z tego powodu, tym więcej czasu i energii mu poświęcałem. Miałem tam kilkuletnie zapasy żywności, możliwość własnej hodowli, produkcji własnych pestek. Obfite zaopatrzenie w wodę... Miałem nawet źródło elektryczności. Wszystkie wygody... – zawiesił głos.

– Wszystkie wygody domu – ochoczo dokończył za niego Rubenstein.

– Wcześniej muszę znaleźć Sarah, Michaela i Ann.

– Ile lat ma teraz Michael?

– Michael ma sześć – rzekł Rourke – a mała Annie dopiero co skończyła cztery. Sarah ma trzydzieści dwa. To zdjęcie jej i dzieciaków, które ci pokazałem, jest nie całkiem aktualne...

Jednak gdy je robiłem, były to szczęśliwe czasy, więc trzymam je.

– Ona jest artystką?

– Ilustrowała książki dla dzieci, potem zaczęła też pisać, kilka lat temu. Jest w tym naprawdę dobra.

– Zawsze chciałem się spróbować jako artysta – oznajmił niespodziewanie Paul.

John odwrócił się do niego i przyglądał w milczeniu.

– Więc wjedziemy do El Paso? – zapytał młody człowiek zmieniając temat.

– Nie będzie to przyjemne, to pewne – odrzekł doktor wypuszczając dym i żując końcówkę cygara. Zatrzasnął składaną kolbę CAR-15 i przewiesił go przez ramię, potem poprawił pistolety na biodrze, zabezpieczył je i uruchomił harleya.

– Lepiej zajmij się swoim – powiedział do Rubensteina wskazując na półautomatyczny niemiecki MP-40, umocowany przy bagażniku jego motocykla.

– Chyba tak – rzekł drobniejszy mężczyzna poprawiając okulary przeciwsłoneczne. – Hej, John?

– Tak?

– Dobrze się tam sprawiłem, czy nie? To znaczy, z tymi paramilitarnymi chłopakami?

– Byłeś w porządku.

– To znaczy, nie zostałem w tyle za tobą, prawda? Uśmiechając się Rourke odpowiedział:

– Gdyby tak było, Paul, powiedziałbym ci.

John dodał gazu i ruszył skrajem szosy. Rubenstein – gdy Rourke zerknął na siebie – właśnie przewieszał „schmeissera” przez prawe ramię i wskakiwał na siodełko.

# ROZDZIAŁ VI

Sarah Rourke ściągnęła cugle Tildie, swej kasztanki, zatrzymując się tuż za gniadoszem Carli Jenkins. Obserwowała z bliska kobietę i małą dziewczynkę, Millie, siedzącą za jej plecami. Dla żony Rourke'a, Carla obchodziła się równie dobrze z koniem, co z kartą kredytową – była niebezpieczna z jednym i drugim. Sarah uniosła się w siodle i spojrzała na męża Carli, Rona, emerytowanego sierżanta armii, któremu powierzyła czasowo los swój i swoich dzieci. Dzieci... Obejrzała się przez ramię na Michaela i Annie, siedzących na koniu jej męża. Była to mlecznobiała klacz z czarną grzywą, czarnymi pęciami i ogonem. Nazywała się Sam. Kobieta wyciągnęła rękę i poklepała ją po chrapach, mówiąc do dzieci:

– Jak wam leci? Czy to nie zabawne jechać na koniu tatusia?

– Siodło jest za duże, mamu – rzekł Michael. Annie dodała:

– Chcę jechać z tobą, mamusiu. Nie chcę jechać na Sam, jest twarda.

Annie wyglądała, jakby chciała się rozplakać, chyba setny już raz, pomyślała matka.

– Potem... Będiesz mogła jechać ze mną później, Annie. Bądź teraz grzeczna. Chcę się dowiedzieć, dlaczego pan Jenkins się zatrzymał.

Sarah odwróciła się w siodle, stanęła w strzemionach i spojrzała ponad Carla. Nie mogła zobaczyć twarzy Jenkinsa, tylko tył jego głowy, szczupłe barki i kark oraz zad wałacha, na którym jechał.

– W czym problem, Ron? – zapytała usiłując nie krzyczeć, na wypadek gdyby przed nimi czało się jakieś niebezpieczeństwo.

– Nie ma problemu, Sarah, przynajmniej na razie – odrzekł Jenkins nie odwracając ku niej twarzy. Własne imię w ustach Rona nadal brzmiało dla niej dziwnie. Przypomniała sobie, że nigdy nie zwracała się do niego „Ron”, dopóki kilka dni temu on, jego żona i córka, nie zjawili się na farmie z propozycją, by się do nich przyłączyła. Poruszali się wolno, bo rodzina Jenkinsów pedantycznie omijała każde najmniejsze miasteczko, jakie znajdowało się na drodze pomiędzy nimi a „górami”, gdzie się udawali. Lecz teraz byli już w górach, pomyślała Sarah. Była ciekawa, jakie to enigmatyczne powody zadecydowały o wyborze Gór Dymnych, zamiast gór w północno-zachodniej Georgii. Opadając z powrotem na siodło, by oprzeć kręgosłup o jego łąk i ulżyć obolałym plecom, zdała sobie sprawę, że jeśli Jenkins będzie chciał zabrać ich poza granice Georgii, ona nie pojedzie dalej. Jeśli istniała szansa, że jej mąż, John, wciąż żyje – a jak powtarzała dzieciom, coś podpowiadało jej, że tak jest – szansę odnalezienia ich przez niego będą mniejsze, jeśli opuszczą stan czy nawet obszar wokół farmy. Wiedziała, że gdzieś w tych górach znajdował się schron jej męża i jeśli tutaj zostaną, to prędzej czy później dojdzie do spotkania z nim. Ale im dalej Jenkins wywoził

ją od farmy, którą przed Nocą Wojny nazywała z dziećmi domem, tym bardziej nikła była na to szansa.

Obejrzeni z daleka kilka miast i wiele z nich wyglądało na złupione i spalone. Kilka godzin wcześniej musieli kryć się przed bandyckim gangiem na motocyklach i dopiero gdy tamci zniknęli, mogli przeciąć ich drogę.

Sarah powróciła myślami do Nocy Wojny i poranka, który po niej nastąpił, do strzelaniny, w której zabiła kilku mężczyzn i jedną kobietę chcących skrzywdzić ją i jej dzieci. Dreszcz przebiegł jej po kręgosłupie i wzdrygnęła się mimowolnie w siodle, powiódłszy wzrokiem po znacznie ulepszonej wersji karabinu AR-15, który zabrała jednemu z zabitych. Za paskiem Levisów wciąż tkwił męzowski colt, „czterdziestka piątka”. Poruszyła go – ocierał się o jej skórę raniąc ją.

Sprawdziła lejce Sam uwiązane do swego siodła, poluzowała je nieco i pociągnęła klacz za sobą. Mijając gniadosza Carli, podjechała do Jenkinsa.

– Co się stało, Ron? – zapytała znowu.

– Tam w dole... Jeszcze jedno miasto – odrzekł.

Sarah spojrzała tam, gdzie wskazywał, zbierając z czoła luźny kosmyk włosów i wpychając go pod białoniebieską chustkę oplatającą jej głowę. Czują, że włosy są brudne; nie myła ich od ranka poprzedzającego wojnę. Nie miała wystarczająco wiele czasu.

Już prawie zmierzchało i z początku nie mogła zobaczyć wyraźnie. Po chwili, gdy oczy przyzwyczyły się do szarówki, dojrzała dolinę rozpościerającą się przed nimi. Był tam gang bandytów, ten sam, który widzieli kilka godzin wcześniej. Ich twarze wyglądały obco, lecz nawet pomijając ten fakt wiedziała, że są skądś z zewnątrz. Ludzie w Georgii byli na ogół poczciwi i łagodni. Jako przyjezdna z północy, obca wśród nich, przekonała się o tym już parę lat temu. Ci ludzie w miasteczku poniżej nie byli przyjaźnie usposobieni.

Kilka starych domów po obu stronach głównej ulicy zostało podpalonych. Większość zbirów znajdowała się w centrum miasta. Patrząc w nieckę, Sarah była zbyt daleko, by rozróżnić poszczególne działania, lecz widziała, że zupełnie jak duże mrówki plądrują sklep po sklepie w małej dzielnicy handlowej. Górskie powietrze było tak czyste, iż słyszała nawet brzęk tłuczonych szyb wystawowych. Słyszała też strzały.

– Ci ludzie byli głupcami, że zostali w mieście – zauważył Ron.

– Czy nie możemy nic zrobić, panie Jenkins? – wstrząsnęła nią formalność tego zwrotu.

– Cóż, pani Rourke – położył nacisk na jej nazwisko. – Nie jestem takim ekspertem w dziedzinie uzbrojenia, jakim był pan mąż.

– Jakim jest, panie Jenkins.

– Wątpię. Myślę, że nie przetrwał tej wojny. Według mnie Atlanta jest teraz jednym wielkim kraterem, z sama pani mówiła, że prawdopodobnie tam wylądował. Nie polubię go bardziej, czy będzie żywy czy martwy – jestem tylko weteranem, który próbuje wyjść z tego cało. Posługuję się bronią jak każdy inny, ale ani mi w głowie urządzać rajd tam na dół, aby zostać bohaterem, czyli trupem, a panią i moją żonę, córkę i pani dzieci pozostawić zupełnie same. Dlatego tego nie zrobię. Jestem odpowiedzialny za moją rodzinę i za pani rodzinę. I traktuję to najzupełniej poważnie.

Niemal mimowolnie położyła rękę na dłoni Jenkinsa:

– Przepraszam – powiedziała czule. – Chyba na razie ma pan rację.

Obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że Carla Jenkins patrzy na nią. Zabrała rękę z dłoni mężczyzny.

– Co zamierzamy w takim razie? – spytała go.

– Myślę, że zatrzymamy się tutaj i zobaczymy, w którą stronę zdecydują się ruszyć ci ludzie, kiedy skończą swoje interesy w mieście. Potem ruszymy w przeciwnym kierunku. Carla ma siostrę w Smokies, gdzieś pod Mount Eagle i zdaje mi się, że będzie to dość bezpieczne miejsce.

– Ale to już w Tennessee, panie Jenkins... Nie mogę tam jechać!

– Pani Rourke. Niech pani posłucha. – Ron po raz pierwszy zwrócił ku niej twarz, obracając się w siodle i patrząc jej w oczy. – Nie wiem, co jest pod tą chustką i włosami, i tak dalej, nie wiem, co kryje się w zakamarkach tej ślicznej główki, moja miła, ale nie może pani tak po prostu zostać w tych górach i czekać na męża, aż pojawi się znikąd i uratuje ją. Ma pani dwójkę dzieciaków, na które musi pani uważać tak, jak ja na żonę i córkę. Kiedy nieco przycichnie lub może zupełnie się uspokoi, nikt pani nie zabroni szukać swego męża. Lecz jeśli zdecyduje się pani zostać w tych górach otoczona ludźmi jak ci, tam na dole – gestem wskazał grabieżców pod nimi – nie doczeka pani następnego dnia... Taka jest prawda.

– Ale mój mąż nigdy nie znajdzie nas w Tennessee.

– Pani mąż nie żyje, pani Rourke... I mam nadzieję, że ocknie się pani w porę, by to zrozumieć.

Sarah spojrzała nagle na niego. Zdarła chustkę, zdając sobie sprawę, że przyprawiała ją o ból głowy. Chłodnym, zrównoważonym tonem powiedziała:

– John żyje, panie Jenkins. Powtarzałam to moim dzieciom i sama w to uwierzyłam. Całe życie poświęcił na naukę technik przetrwania i wiem, że jakoś to zrobił. Wiem, że gdziekolwiek teraz jest, myśli o mnie, o Michaelu i Annie, że poświęca wszystko, by dostać się do nas. Nie zdradzę go ucieczką, o nie! On żyje. John żyje i nie wmówi mi pan nic innego, panie Jenkins. Nie pojedę z panem do Tennessee, czy gdziekolwiek indziej.

Zmięła w dłoniach chustkę i spojrzała w dolinę. W miarę jak słońce zachodziło, mogła dużo wyraźniej zobaczyć ogień na obu krańcach miasta.

# ROZDZIAŁ VII

Oto, co Ron Jenkins powiedział do niej i do swojej żony:

– Schodzę w dół do miasta. Nie będę potrzebował konia, trzymajcie go osiodłanego i gotowego w pobliżu. Liczę na to, że mają tam wodę i trochę innych rzeczy, które nam się przydadzą, a im są już zupełnie niepotrzebne.

Carla objęła go ramionami, próbowała powstrzymać, lecz Sarah poznała go już na tyle, by wiedzieć, że gdy raz podjął decyzję, już jej nie zmieni. Pamiętała, że jej mąż był taki sam. Teraz po doświadczeniach wojny i następnego ranka, czuła, że to być może ona będzie musiała się zmienić. Nienawidziła broni, którą trzymał, omal nie nazwała go głupcem z powodu budowy i wyposażenia schronu. A teraz? Jak dotychczas broń pozwoliła jej przeżyć, a schron wydawał się – gdy tak siedziała w ciemności, tuląc do siebie dzieci – być czymś w rodzaju nieba normalności.

Nie mogli rozpalić ognia, ponieważ banda opuściła miasto zaledwie kilka godzin wcześniej i wciąż mogła być na tyle blisko, by dojrzeć blask płomieni i zechcieć go sprawdzić. „Przekroczyłam barierę snu” – pomyślała Sarah. Obserwowała Carlę Jenkins. Kobieta zwykle gadatliwa, milczała teraz jak grób. Główna córeczki, Millie, wspierała się na jej biodrze. Carla po prostu siedziała mniej niż jard od Sarah i patrzyła w ciemność.

Znów rozbrzmiewał ten dźwięk, przyprawiający żonę Rourke’a o dreszcz w okolicach kręgosłupa. Był to krzyk dochodzący z miasta ukrytego w ciemnościach doliny. Znała go z czasów, gdy jako ochotniczka pracowała w szpitalu, gdzie po raz pierwszy spotkała swego przyszłego męża. Był to krzyk człowieka. Zbyt często słyszała ten dźwięk na szpitalnym oddziale nagłych wypadków. Na Johna zwróciła uwagę trochę z powodu pociągłej twarzy i wysokiego czoła, ale przede wszystkim dla jego tajemniczych oczu i jasnych włosów. Był atrakcyjnym mężczyzną. On też ją zauważył. Wiele lat później, gdy ich ścieżki znów się przecięły, umówili się na randkę i na koniec pobrali się. Obydwoje zastanawiali się czasem, jak niewielkie było prawdopodobieństwo ponownego spotkania. Śmiali się z tego.

Teraz jednak, gdy wrzask dał się słyszeć po raz trzeci, pamięć każdej chwili z mężem była jak kokon, w którym chciała się schronić, choćby na jedną chwilę.

W końcu, gdy wrzask powtórzył się po raz czwarty, zdjęła głowy dzieci z kolan, odgarnęła włosy z oczu Michaela i przysunęła się do Carli Jenkins.

– Myślę, że jedna z nas powinna tam pójść i rozejrzeć się – wyszeptła Sarah obawiając się, że nawet najśłabszy dźwięk mógłby przyciągnąć bandytów.

– Nie mogę – odrzekła Carla słyszalnym głosem.

– Ja pójdę – powiedziała zatem, dodając sobie odwagi i przeklinając siebie za te słowa.



- Nie... Nie możesz! Ron zaraz będzie z powrotem.
- Ale ktoś krzyczy tam na dole. Może coś się stało...
- Nie! Z nim jest wszystko w porządku. Nie wtrącaj się do tego.

Sarah Rourke przysiadła na piętach, patrząc na Carlę Jenkins, widząc jej twarz i poruszające się usta, mimo ciemności zalegającej między nimi. Nie mogła powiedzieć jej: „Jesteś głupia! Twój mąż ma kłopoty tam na dole. Bandyci musieli wrócić, mordują go”. Nie mogła tego powiedzieć, nie uznając jednocześnie, że myśl, iż John przyjdzie po nią, po Michaela i Annie, była tylko fantazją.

– Idę – powiedziała w końcu.

– Nie chcę, żebyś szła.

– Pilnuj Michaela i Annie... Muszę... – nie skończyła zdania. Krzyk rozległ się po raz piąty; był słabszy, lecz bardziej długotrwały. Wstała, sprawdziła colta i wróciła do dzieci. Potrząsnęła Michaeliem.

– Synku, obudź się.

– Nie... Nie śpię. Ja tylko...

– Michael, zachowujesz się jak twój ojciec! Najłżejszy szmer w środku nocy i jesteś zupełnie rozbudzony. Ale spróbować dobudzić cię rano, to jak wojna światowa... – zamarła z otwartymi ustami. „Mój Boże – pomyślała – ileż to razy żartowaliśmy sobie w taki sposób”. Spróbowała obudzić Michaela i tym razem skutecznie. Usiadł.

– Obudziłeś się już? – Tak.

Jej zdaniem głos chłopca wcale tego nie dowodził.

– Dobrze... Schodzę w dolinę zobaczyć, czy z panem Jenkinsem wszystko w porządku. Nie chcę wyrywać Annie ze snu, ale jeśli się obudzi, ucisz ją. Jeżeli narobi hałasu, ci źli ludzie, którzy spalili miasto, mogą nas odnaleźć. Rozumiesz, Michael?

– Tak, rozumiem. Ale dlaczego musisz iść, mamo?

– Ktoś musi. Pan Jenkins może mieć kłopoty tam na dole.

– Masz pistolet? Będiesz mogła ich zastrzelić, jeśli będzie trzeba?

Popatrzyła na syna gładząc jego włosy. Te włosy, twarz, nawet ciemne oczy, które nie powinny być widoczne w mroku nocy, były zupełnie takie same jak jej męża. Zaczynała rozumieć, że odziedziczył po nim także umiejętność logicznego myślenia.

– Tak, wezmę pistolet. Słuchaj się pani Jenkins, rób co ci każe, chyba że... – i spojrzała przez ramię na zapatrzoną w ciemność Carlę. – Chyba że wyda ci się to niesłuszne. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Uniósł twarz w przelotnym spojrzeniu i rzekł:

– Myślę, że tak. Jeśli każe mi robić coś głupiego, mam tego nie robić?

– Właśnie. Ale myśl, myśl, a wszystko inne rób, jak mówi.

Podniosła z ziemi AR-15, sprawdziła bezpiecznik i naciągnęła opaskę nieco głębiej na uszy. Przesłała pocałunek Michaelowi i zaczęła schodzić z obozowiska. Pomyślała o zabranii konia, by mieć szansę szybkiej ucieczki, lecz hałas wywoływany przez zwierzę odwiódł ją od tego. Nogi w dżinsach – rozszerzanych u dołu – nieustannie ocierały się o zarośla, podczas gdy najciszej jak potrafiła, opuszczała się do lasu na zboczu i dalej w dolinę. Zatrzymała się po kilkuset jardach i podwinęła nogawki spodni. Usłyszała kolejny krzyk, nie wiedziała już który – straciła rachubę. Przypomniała sobie western, kupiony przez męża, który kiedyś czytała. Było tam o tym, jak Indianie pojмали zwiadowcę i torturowali go przez całą noc, aż do białego rana, tylko po to, by zszargać

nerwy i wywabić kolonistów ukrywających się w okrażonym wagonie. Przywiązali mężczyznę do koła wagonu i upiekli go w ogniu. Myśl o tym ciągle jeszcze wywoływała u niej mrowienie.

Przerwała schodzenie i padła na ziemię, przyciskając AR-15 do piersi. Była teraz mniej niż sto jardów od głównej ulicy miasta i wyraźnie widziała jej środek. Widziała bandytów, a pośród nich Rona Jenkinsa. Przynajmniej wydawało się jej, że to on. Ponownie usłyszała wrzask i omal sama nie krzyknęła.

Jeden z mężczyzn – wysoki Murzyn w marynarce bez klap – trzymał w chronionej rękawiczką dłoni kabel prowadzący do ustawionego kilka cali od stóp Jenkinsa akumulatora. Kiedy końcem kabla dotykał ciała mężczyzny, ten skręcał się i wił pośród lin, którymi był przytroczony do przedniego zderzaka pickupa, trząsał się, potem dobywał z siebie kolejny krzyk.

Sarah rozejrzała się trwożnie po obu stronach ulicy. Nikogo nie zauważyła, poza tą czwórką mężczyzn i dwiema kobietami, którzy torturowali Rona. Jeden z facetów był czarny, podobnie i jedna z kobiet. Był też jeszcze jeden pickup, zaparkowany kilka jardów od tego, do którego przywiązany był Jenkins, lecz wydawał się pusty. Przystawiła selektor AR-15 w nieoznaczoną pozycję pełnej automatyki – pistolet był nielegalnie przebudowany przez mężczyznę, któremu go zabrała. Wsparła się na kolanach, a potem stanęła wyprostowana, unosząc karabin na wysokość barków.

– Nie ruszać się! Wszyscy! Mam was na muszce karabinu maszynowego – krzyknęła co sił w płucach. – Odsunąć się od niego!

– No proszę! – odkrzyknął Murzyn odwracając się ku niej twarzą. – Trafiliśmy na wasz ślad. Wiedzieliśmy, że gdy mamy w garści twego chłopca, zjawisz się za nim jak cień. Możesz go sobie zabrać, chcemy tylko waszych koni... I może czegoś jeszcze. On nie jest wart takiej dziewczyny jak ty! Założę się, że te cycuszki, które masz pod koszulą rozpaliby takiego gościa jak ja, słodziutka – czarnuch roześmiał się i ruszył w jej kierunku. – Oddaj mi ten szmelc, zanim nie podetrę nim twojej białej dupy za to, że byłaś dla mnie niegrzeczna, słyszysz?

Sarah położyła palec na cynglu AR-15 i wypaliła prosto w twarz Murzyna, zaraz potem przeniosła ogień na pozostałych trzech mężczyzn i dwie kobiety. Rzucili się do ucieczki, a tylko jeden z nich próbował się odgryźć. Strzeliła do niego i chwycił się obiema dłońmi za twarz.

Jedną z kobiet trafiła w plecy, gdy wspinała się do pickupa, któregoś z bandytów postrzeliła w głowę, gdy wskakiwał na bagażnik ciężarówki, której silnik już pracował. Murzynka była w szoferce. Ostatni mężczyzna chciał dopaść samochodu w biegu. Sarah nacisnęła na spust – poczuła trzy uderzenia. Była dumna z siebie, gdyż udało się jej kontrolować odrzut. Wyrysowała na jego plecach wzorek z trzech dziur po kulach. Zbir przewrócił się na twarz, gdy ciężarówka ruszyła nabierając prędkości.

Niemal automatycznie wymieniła magazynek, przestawiła selektor na zabezpieczenie. Podbiegła do Rona Jenkinsa, przypatrując się trupom i upewniając się, czy rzeczywiście nie żyją.

Przykłęka przy nim, kładąc AR-15 na ziemi i unosząc lewą ręką jego głowę.

– Ron! wszystko w porządku, wyciągnę cię z tego – powiedziała. Otwarte oczy patrzyły gdzieś poza nią, gdy szeptał:

– Nie dam... rady, pani Rourke. Niech pani zaopiekuje się Carlą i Millie... zabierze je na Mount Eagle. Niech panią Bóg błogosławi... bo ci mordercy wrócą tu, jakem...

Jego oczy patrzyły jeszcze, lecz z gardła dobył się charkot, a z ust odór. Zabrała dłoń z jego twarzy, wstała i zrobiła krok do tyłu. Przez chwilę obserwowała go.

– Jesteś trupem... panie Jenkins – powiedziała ochryple. – Jesteś trupem.



# ROZDZIAŁ VIII

Przy przejściu granicznym była strzelanina, więc Rourke zdecydował się zawrócić motocykl i wjechać w boczną ulicę. Zatrzymał się przy krawężniku.

– Co to za strzelanina? – zapytał Rubenstein.

– Albo niektórzy z Meksykanów próbują przedostać się tutaj przez granicę, co w tych warunkach wydaje się cholerną głupotą, albo mrowie Amerykanów próbuje dostać się do Meksyku, czyli odwrotnie niż zazwyczaj. Biali, anglosascy protestanci jako nielegalni imigranci. Ironia losu.

– Miałeś rację co do tego miejsca. Wszystko – Paul obrócił się na siodełku i powiódł wzrokiem po budynkach ciągnących się z obu stron ulicy – wygląda tak, jakby było plądrowane z pięćdziesiąt razy.

– Taka mała robótka, jak widać – skomentował John. Obejrzał się za siebie, tak jakby chciał dojrzeć strzelaninę za rogiem. Potem odwrócił się i przyglądał się ulicy przed nimi.

– Bądź przez chwilę cicho – wyszeptał.

Było to dudnienie, z sekundy na sekundę potężniejsze.

– Co to takiego? – spytał Rubenstein patrząc w pustkę.

– Coś! – wyszeptał Rourke. Po upływie kilkunastu sekund, zerkając za siebie, rzekł do Paula:

– To chyba odgłos zamieszek. Jakiś tłum nadciąga w naszą stronę. Wynośmy się stąd.

John zaczął zawracać, jego towarzysz tuż za nim. Zobaczyli wylęgający na ulicę tłum – mężczyzn, kobiet, nawet dzieci, z rękami wzniesionymi, taszczącymi pałki, strzelających w powietrze lub w okna nielicznych domów.

– Co oni? Oszaleli? – zająknął się Rubenstein, jego głos i spojrzenie wyrażały zdziwienie.

– Są zdesperowani – to brzmi lepiej.

Rourke pojechał w dół traktu. Zwolnił na zakręcie i balansując na motorze, zlustrował ulicę. Paul znowu znalazł się przy nim.

– Nie możemy wrócić drogą, którą przyjechaliśmy, patrz! – John wskazał kierunek wyjazdu z miasta. – Następny tłum lub część tego samego – zauważył.

– Ale na drodze do granicy trwa wymiana ognia!

– Może nas nie zauważą – powiedział z uśmiechem, po czym wjechał w ulicę. Rubenstein trzymał się blisko po jego lewej stronie. Rourke wjechał powoli na chodnik i lawirując między kawałkami cegieł, kamieni i odłamków szkła, podążył dalej, omijając bajoro stojącej wody, wypełniającej prawy rynsztok i przelewającej się na ulicę. Wyjechali za róg i doktor zatrzymał się na środku jezdni. Obejrzał się za siebie. Tumult wzniesiony przez tłum był teraz prawie niesłyszalny z powodu hałasu wywołanego przez bliską kanonadę, lecz zdołał dojrzeć pierwsze falangi ludzi wdzierające się na

ulicę, którą przed chwilą opuścili. Przed nimi było główne przejście graniczne do Juarez. Słyszał niosący się zza rzeki huk wystrzałów, widział dym z podpalonych budynków.

– Tylko tyle zostało ze świata? Mój Boże! – wykrzyknął Paul.

– Może zabrzmiało to nieco pesymistycznie – rzekł John cedząc słowa – ale spodziewam się, że jest jeszcze gorzej. I nie przejmuj się, do kogo strzelasz. Oni wszyscy będą kropić do nas bez wahania. Potraktuj to jak osobliwą zabawę. Jedziemy!

Dodał gazu oddalając się od Rubensteina. Jego dłoń już zaciskała się na kolbie zwisającego z ramienia CAR-15.

# ROZDZIAŁ IX

Rubenstein szarpnął rygiel „schmeissera”, karabinu maszynowego, sprawdził bezpiecznik i dodał gazu. Rourke na wielkim harleyu wyprzedził go o dobre kilka jardów. Paul kantem dłoni poprawił na nosie druciane oprawki okularów przeciwsłonecznych i pochylił się nad kierownicą. Jego rzadkie czarne włosy smagały opalone czoło. Powtarzał sobie to, co powiedział mu John:

– Nie strzelaj z niego, jakbyś używał ogrodowego węża do polewania, kontroluj spust.

Zapytał wówczas, od czego są w końcu zapasowe magazynki. John kazał mu tylko sięgnąć na motocyklu, jedną ręką trzymać kierownicę, drugą karabin MP-40. Potem sięgnął i wyjął magazynek. Włożył go za siodełko po prawej stronie maszyny i powiedział:

– Okay, przeładuj bez zdejmowania ręki z kierownicy i nie wypuszczając karabinu.

Rubenstein próbował przez kilka chwil, po czym rozgoryczony popatrzył na Rourke’a.

– Oto dlaczego – rzekł tamten – potrzebujesz więcej niż jednego karabinu. I pamiętaj, masz walić z tych wszystkich pukawek do celu, a nie po to, by narobić dużo hałasu. Przy całkowicie automatycznej broni jak ta, musisz ograniczać się do trzystrzałowych serii.

Paul, przedrzeźniając przyjaciela, powiedział:

– Wiem, wiem: Kontroluj spust. Tak?

I teraz, gdy wyjechał z zakrętu i zobaczył uzbrojonych ludzi kryjących się za dźwigarami mostu prowadzącego do Meksyku oraz innych w drzwiach i otworach okiennych budynku przy odkrytym placu, powtórzył sobie:

– Kontroluj spust... Kontroluj spust...

Zauważył, że szybkościomierz jego motoru waha się między 30 a 35 mil na godzinę, ale gdy spojrzął na jezdnię pod kołami, asfalt zdawał się uciekać w tył, zupełnie jakby robił setkę albo więcej. Rourke strzelał już ze swego CAR-15. Dla Rubensteina wyglądał on jak długofalowy pistolet kosmiczny o zwiększonym zasięgu dzięki lekkiej budowie i składanej kolbie – zupełnie jak promiennik z jakiegoś filmu fantastycznego.

Gdy osiągnął środek placu posypał się na niego grad kul. Skierował lufę „schmeissera” na najbliższą grupę strzelców i odpowiedział ogniem, na cały głos powtarzając słowa, które słyszał mimo hałasu wywołanego kanonadą:

– Kontroluj spust... Kontroluj spust... Kontroluj...

# ROZDZIAŁ X

Rourke rzetelnie obsługiwał swego CAR-15, mierząc raczej do skupisk aniżeli do pojedynczych celów – kalkulował, że w ten sposób zwiększa prawdopodobieństwo wykorzystania każdego pocisku. Najlepiej jak potrafił, rewanzował się zbrojnym po obu stronach. Ci przy moście – na jego środku ziała olbrzymia dziura – byli Meksykanami, ostrzeliwali Teksańczyków tkwiących na ulicy, chociaż sami byli pochwyceni w krzyżowy ogień tychże Teksańczyków i jakiejś innej zgrai na dalekim końcu mostu, po stronie Juarez. Jakiś mężczyzna z grupy Meksykanów zaczął biec przez ulicę w kierunku motocyklistów, strzelając z czegoś, co John zidentyfikował jako model Thompsona SMG. Rourke pochylił motor, seria z ciężkiej „czterdziestki piątki” rozorała chodnik obok niego. Walcząc o utrzymanie panowania nad motorem, ciągle strzelając, pochylił maszynę ponownie w prawo. Był teraz mniej niż dwanaście stóp od mężczyzny z thompsonem.

Gdy tamten wygarnął serią kolejny raz, John wpakował w niego dwie kulki z półautomatycznego CAR-15, który trzymał w dłoni jak pistolet. Obydwa pociski trzasnęły ciężko w pierś mężczyzny, rzucając go na chodnik. Trafiony przewrócił się do przodu i potoczył, niespodziewanie grzęznąc prosto pod przednim kołem. Motor wpadł w poślizg. Doktor stracił równowagę i przewrócił się. Wyciągnął się na jezdni jak długi, ale błyskawicznie uniósł na kolana i, trzymając karabin na wysokości talii, wymierzył dwie serie w kierunku zbliżającej się czeredy. Kątem oka widział Rubensteina i słyszał jak krzyczy:

– Już jadę, John!

Rourke stanął na nogi. Strzelając z trzymanego w jednej ręce rozpylacza podbiegł do swojego harleya. Dwóch mężczyzn z karabinami skoczyło ku niemu, aby odebrać mu motor i broń, jak podejrzewał. Przyklękając na jedno kolano władował w atakujących resztkę magazynku CAR-15 tkwiącego w lewej dłoni, prawą zaś wyciągnął już pythona z kabury na biodrze. Oddał z niego kilka strzałów.

Cofając się schował pythona z powrotem i zmienił szybko magazynek w CAR-15. Podniósł motocykl, kopnął rozrusznik i przywieszając karabin przez ramię, ponownie wyjechał na środek ulicy.

Z budynku przy ulicy bieгло już w jego stronę więcej niż pół tuzina ludzi uzbrojonych w karabiny i pistolety, i robiących z nich użytek. Pochylając się, by ominąć kanonadę, John przeciął ulicę i zobaczył szybko nadjeżdżającego za nim Paula. Dodał gazu i przeskoczył krawężnik. Meksykanie rozstępowali się falami przed jego motocyklem i strzelającym CAR-15. Za sobą słyszał równe, trzystrzałowe serie z niemieckiego MP-40 Rubensteina, słyszał jego okrzyk naśladujący żołnierzy Południa z wojny secesyjnej:

– Yahoo!

Rourke zużył magazynek CAR-15 w chwili, gdy osiągnął koniec chodnika i zjechał z krawężnika na jezdnię. Zerkając przez ramię, widział Rubensteina trzymającego się blisko za nim. „Schmeisser” milczał, lecz gdy zjeżdżał na ulicę, grzmiał browning. Kiedy hałas strzelaniny zamarł zupełnie, doktor usłyszał jeszcze jeden rebeliancki okrzyk. Pochylony na motorze wymamrotał szeptem do siebie:

– Ten dzieciak naprawdę robi postępy!



# ROZDZIAŁ XI

Major Władimir Karamazow spojrzał w gęstniejącym mroku na kapitan Natalię Tiemerowną kroczącą u jego boku. Mógł dojrzeć tylko zarys jej profilu, skórę twarzy pomalowaną czarną farbą maskującą, opaskę z czarnego jedwabiu na włosach, dłonie w czarnych rękawiczkach bez palców oraz ściśle przylegający do jej gibkiego ciała czarny kombinezon. Jeszcze raz przyjrzał się jej rękóm. Trzymała w nich karabin w sposób, w jaki większość kobiet trzyma dziecko. Uśmiech jego wąskich warg pełgał w kącikach, przecinając pomalowane czarną farbą policzki dwiema zmarszczkami.

Karamazow odbezpieczył błękitno-czarny pistolet Smith & Wesson – Model 59, który trzymał w prawej ręce. Jak wszyscy ludzie z jego specjalnej likwidacyjnej jednostki KGB, używał broni wyłącznie amerykańskiej bądź zachodnioeuropejskiej produkcji. W przypadku, gdyby natknęli się na większe siły amerykańskie, regularne lub nieregularne, nic nie świadczyłoby o tym, że on czy ktokolwiek z jego starannie dobranego i wyszkolonego zespołu jest Rosjaninem – ich angielski był perfekcyjny. Wszyscy byli wyszkoleni, tak samo jak Karamazow, w ściśle tajnej szpiegowskiej szkole KGB, „Chicago”. Czytali amerykańskie książki i gazety, oglądali zapisy video amerykańskiej telewizji, nosili amerykańskie ubrania, trenowali bronią amerykańskiej produkcji. Amerykańska żywność, amerykański slang – wszystko tak amerykańskie, że wkrótce myśleli, mówili i zachowywali się jak Amerykanie, którzy przeżyli w Ameryce całe swoje życie. Z wyjątkiem – wielokrotnie testowanego obowiązku lojalności wobec KGB.

Jak większość ludzi ze szczebla tajnych operacji KGB, trafił Karamazow – podobnie jak dziewczyna obok niego w ciemności – do szkoły „Chicago” w wieku szesnastu lat, dorastał grając w koszykówkę i biorąc udział w zakładach World Series. Przez lata jedynym jego zainteresowaniem obok szachów był futbol amerykański. Siedział szczęśliwie, żując hot dogi, popijając piwo i wznosząc okrzyki nie mniej żarliwie niż ktokolwiek obok niego. Był Arnoldem Warszawskim z South Bend w Indianie lub Craigiem Bates z Milwaukee w Wisconsin, lub kimkolwiek innym. Karamazow był absolutnym mistrzem barwienia włosów, kreowania rysów i zmarszczek czy kształtów nosów. Czasami chciał podrapać swój policzek oczekując gęstej brody i nagle przypomniał sobie, że to było wczoraj. Nie miał już złamanego nosa, rudej brody i czterdziestu trzech lat, był dwudziestoosmioletnim blondynem z niewielkim wąsikiem i nosem wyglądającym jak wzorzec dla rzymskich czy greckich popiersi.

Bardzo często przez te lata pracował z niezawodną Natalią. Czasem występowali jako mąż i żona, czasem jako brat i siostra, niekiedy jako ojciec i córka. Najbardziej lubił ją taką, jak teraz: z czarnymi włosami opadającymi na ramiona; wołał jej własne, uderzająco piękne, błękitne oczy, niż gdy były brązowe czy zielone za sprawą szkieł kontaktowych; wołał jej własny lekko zadarty nosek –

wolał jej własną postać, która rozgrzewała go przez tyle nocy. Zasadniczo była jego zastępcą, jego prawą ręką. „Czasem jednak miewa zbyt miękkie serce” – pomyślał. Ale nigdy nie kolidowało to z jej pracą.

Popatrzył w ciemność próbując wyróżnić sylwetki pozostałych członków jego zespołu, którzy tam byli – Mikołaja, Jurija, Borysa, Konstantego... nie mógł ich dojrzeć. Uśmiechnął się z tego powodu.

Zaswędziała go głowa pod kapturem z czarnej materii. Podrapał się, sprawdził rolexa na nadgarstku i ponownie ogarnęło go poczucie bezpieczeństwa i pewności siebie płynącego z trzymanego w dłoniach piętnostrzałowego pistoletu, kaliber 9 mm. Sprawdził, jak trzyma się na krzyżu malutka oficerska „trzydziestka ósemka” i MAC-11 przewieszony przez ramię.

Obserwował tarczę zegarka. Gdy wskazówka osiągnęła wyznaczony punkt, poderwał się z niskiego przysiadu i zaczął biec co sił w nogach. „Natalia, jak zwykle – pomyślał spokojnie – obok mnie, gotowa umrzeć za mnie”. Dom był tuż za paprociami i gdy tylko Władimir dotarł na otwartą przestrzeń, zobaczył pozostałych ludzi z ekipy, wynurzających się z cienia.

Z wnętrza domu rozległ się pojedynczy strzał, jak z gwintowanej strzelby, i powoli umilkł w ciemności. Karamazow zaklął. Nikt z jego ludzi nie miał takiej broni. Ciągle biegnąc uniósł dłoń z pistoletem wyposażonym w 115-gramowe, drażone pociski w koszulkach i skierował wylot lufy na okno we frontowej ścianie budynku. Usłyszał brzęk szkła. Tymczasem jakiś szybkostrzelny karabin począł razić ogniem jego zespół i major usiłował dociec, skąd dochodzi jego stukot. Kiedy już chciał przesunąć lufę pistoletu w kierunku domniemanego celu, zobaczył po lewej Natalię. Przyklęknęła na jedno kolano i przyciskając karabin H-K do barku, strzelała seriami po trzy pociski w okno, które sam obrał za cel. Mimo niemal zupełnych ciemności, mógł dojrzeć słabo zarysowaną ludzką sylwetkę, wypadającą przez szybę na biały dywanik kwiatów przed dom.

Karamazow tkwił w przysiadzie, z dłońmi zaciśniętymi na kolbie pistoletu, ze wskazującym palcem prawej na cynglu.

Słyszał szelest ubrania Natalii, gdy poruszała się w mroku. Ruszył ponownie, pierwszy dotarł do drzwi frontowych, kopnął zamek, potem cofnął się i strzelił w niego długą serią z MAC-11. Dziewczyna była już przy nim, lewą stopą wybiła zamek, otwierając drzwi do wewnątrz. Major przekroczył próg.

W domu było prawie całkiem mroczno. Wypalił w kierunku nagłego błysku światła, opróżniając magazynek MAC-11. Zamiast włożyć nowy sięgnął, po pistolet Model 59. Oszacował, że zostało w nim przynajmniej osiem naboji.

W ciemności pojawił się kolejny błysk światła. Wypalił do niego dwukrotnie. Dobiegł stamtąd jęk i głuchy łomot kolejnego wystrzału, płomień z lufy wskazywał na sufit.

– Nie ma źródła zasilania, Władimir.

– Światło. I osłaniaj! – krzyknął major. Rozległ się trzask, zaraz potem jeszcze jeden identyczny i nagle jasność zalała pokój. Spojrzał na latarnie umieszczone w podłodze. Sam trzymał się poza kręgiem światła na wypadek, gdyby jakiś obrońca pozostał przy życiu.

– Nie wydaje mi się, żeby Chambers był tutaj, prezydent Chambers – dodała Natalia refleksyjnie, przeszła do Karamazowa i stanęła obok, trochę za nim. Lufa karabinu H-K poruszyła się w jej rękach jak różdżka radiestety szukającego wody.

Mężczyzna objął ją ramieniem, szepcząc:

– Jak zawsze... Jesteś moją prawą ręką, Natalio. Potem odsunął się od niej, wydając rozkazy ludziom stojącym na granicy mroku.



## ROZDZIAŁ XII

Natalia Anastazja Tiemerowna skierowała się w stronę dostrzeżonego zarysu schodów.

– Przeszukam piętro – oświadczyła i dodała: – Jurij, osłaniaj mnie. Obejrzała się przez ramię – jej oczy przystosowały się już do ciemności – i zobaczyła kilka stóp za sobą jasnowłosego Jurija z czarną bryłą pistoletu w prawej dłoni.

– Oczywiście, panienko – odrzekł.

Nie lubiła tego teksańskiego akcentu, którego ostatnio się nauczył. Obróciła się patrząc na niego i mając nadzieję, że w jakiś sposób, mimo ciemności, da mu to odczuć.

Dostrzegła wzruszenie ramion, potem odwróciła się i poszła w stronę schodów. Przeskakiwała po dwa stopnie naraz. Złożyła kolbę swego H-K (wzorzec 308, selektywny ogień) i trzymała go na biodrze jak lekki półautomatyczny karabinek.

Stała na szczycie schodów i przywarła płasko do ściany. Opierając się o nią pośladkami i barkami – nasłuchiwała. Zdjęła czarną jedwabną opaskę z włosów i potrząsnęła głową, wpychając jedwab do przedniej kieszonki kostiumu. Przygarniając dłońmi karabin, jednym płynnym ruchem wślizgnęła się do korytarza, wylotem lufy karabinu omiatając otwartą przestrzeń.

– Sprawdź pokoje po lewej – rozkazała Jurijowi i czekając na odpowiedź zaczęła sprawdzać pierwsze pomieszczenie z prawej. Drzwi były na pół otwarte, kopnęła je do wewnątrz i skoczyła do środka, w przysiadzie, z selektorem H-K ustawionym na działanie automatyczne i palcem na spuście.

Nic.

Wyszła z powrotem na korytarz. Drugi pokój po prawej miał okna wychodzące na plac przed frontem budynku. Była niemal pewna, że był tam ktoś ze strzelbą, gdy szturmowali dom. Drzwi były zamknięte.

Zatrzymała się przed nimi, cofnęła o pół kroku i wyważyła je kopniakiem, strzelając krótkimi seriami i jednocześnie uskakując w bok, do wnętrza pokoju. Usłyszała oddech gdzieś po lewej stronie, potem zawirowanie powietrza towarzyszące ruchowi i otworzyła ogień, dwie trzystrzałowe serie. Rozległ się ciężki jęk i głuchy łomot walącego się na podłogę ciała.

Trzymając H-K za kolbę w prawej ręce, wyciągnęła zza paska małą latarkę Tekna i zapaliła ją niezgrabnie jedną ręką. Skierowała wiązkę światła na źródło hałasu. Na podłodze leżał mężczyzna. Oczy miał otwarte, jednostrzałowy winchester w rękach – był martwy.

– To nie Chambers – wyszeptała do siebie. Mężczyzna był Latynosem, Meksykaninem pracującym na rancho – wysnuła szybką teorię – jednym z tysięcy wykorzystywanych przez kapitalistów dających niskie zarobki za długie dniówki. Spojrzała jeszcze raz na zabitego, żałując jego śmierci, litując się nad nim, ponieważ zginął broniąc swych wyzyskiwaczy przed tymi, którzy

przyszli wyzwolić go z łańcuchów.

Odwróciła się i wyszła z pokoju. Lewą dłonią – wciąż w rękawiczce – odgarnęła z czoła niesforny kosmyk włosów.

# ROZDZIAŁ XIII

Sarah Rourke wspięła się bardzo powoli po zboczu na skraj wzniesienia. Gdzieś w zakamarkach jej umysłu tliła się wątpliwość, czy powinna zostawić ciało Rona Jenkinsa na ulicy miasta. Istniały przecież sfory psów wałęsających się po lasach i wzgórzach, i do rana ciało mogło zostać rozszarpane i pożarte. Była zmęczona na samą myśl o grzebaniu Jenkinsa, ale także z powodu dodatkowego ciężaru, jaki stanowił jego pistolet i karabin. Pistolet był tego samego typu, co ten zatknięty za pasek jej dżinsów – „czterdziestka piątka”, colt automatic – lecz nieco mniejszy od męzowskiego i z inaczej ukształtowanym kurkiem. Nie miała pojęcia, jakiego typu był karabin Rona, w każdym razie był ciężki. Wyraźnie to odczuła, gdy osiągnęła szczyt wzniesienia i skierowała się po omacku do obozu. Oddychała ciężko.

Było tak, jakby w ogóle nie opuszczała obozowiska, pomyślała. Michael siedział trzymając główkę Annie na łonie. Carla Jenkins siedziała na ziemi, sztywno wyprostowana, kilka stóp od niego, ślepo zapatrzona w ciemność, kołysząc córkę w ramionach. Sarah Rourke podeszła do żony Jenkinsa i nic nie mówiąc osunęła się na kolana tuż obok. Carla odwróciła się, jej przerażone, nieomylnie oczy wpatrywały się poprzez ciemność w kobietę.

– To karabin Rona... O, masz też jego pistolet – rzekła spokojnie.

– Carla, ja... Nie wiem, jak to powiedzieć...

– On nie żyje – głos Carli Jenkins brzmiał apatycznie.

– Tak – mruknęła Sarah.

– Chcę zostać sama na kilka minut. Możesz zrobić coś dla mnie i zaopiekować się Millie?

Sarah skinęła głową, a zaraz potem, zdając sobie sprawę, że w ciemnościach Carla może nie spostrzec gestu, powiedziała:

– Oczywiście. Zaopiekuję się.

Żona Jenkinsa włożyła dziesięcioletnią dziewczynkę w ramiona kobiety, która położyła obok siebie broń i przeszła kilka stóp do swoich dzieci.

Odwróciła głowę, zanim zdała sobie sprawę dlaczego. To strzał – dotarło do jej świadomości. Położyła Millie i na pół czołgając się, na pół biegnąc, pokonała kilka jardów dzielących ją od Carli Jenkins. Schyliła się i sięgnęła ręką ku głowie żony Jenkinsa leżącej u jej stóp. Poczowała na dłoni lepką wilgoć. „Możesz zrobić coś dla mnie i zaopiekować się Millie?”. „Oczywiście, zaopiekuję się” – powiedziała. Groteskowo brzmiały teraz te słowa.

– Jezu! – krzyknęła Sarah padając na kolana obok ciała Carli Jenkins. Chciała ukryć twarz w dłoniach, lecz zamiast tego siedziała sztywno, trzymając skrwawioną prawą rękę jak najdalej od reszty ciała.

Nie była w stanie poradzić sobie z umieszczeniem ciała Carli na koniu bez pomocy Michaela. Poproszenie go o pomoc kosztowało ją więcej wysiłku niż dźwiganie ciała, ale on zwyczajnie zapytał, dlaczego pani Jenkins się zastrzeliła, i nic więcej. Cudownym zrządzeniem losu Millie i Annie ciągle spały. Siedząc z Michaeliem kilka stóp od nich, nie pojmując jak dziewczynki mogły nie zbudzić się na odgłos wystrzału, zaczęła mówić:

– Cóż, niekiedy śmierć kogoś bliskiego jest dla człowieka okropnie trudna do przyjęcia. Rozumiesz?

– Hm – rzekł marszcząc brwi – może odrobinę.

– Nie... – powiedziała patrząc w ciemność, potem ponownie w twarz syna. – Widzisz, jeśli nagle w sobotę rano – tę poprzedzającą wojnę – powiedziałabym ci, że już nigdy nie obejrzysz ani jednej kreskówki i nigdy nie wytłumaczyła, dlaczego tak ma być, to jakbyś się poczuł?

– Dostałbym szału.

– Byłbyś też smutny? – zapytała.

– Tak, tak, byłbym smutny.

– I prawdopodobnie najbardziej doprowadzałoby się do szału i przyprawiało o smutek to, że nie widziałbyś żadnego powodu, dlaczego tak jest? Co?

– Tak. Chciałbym wiedzieć, dlaczego nie mogę oglądać telewizji.

– Widzisz, kiedy pan Jenkins umarł, sędzę, że jego żona nie potrafiła zrozumieć, dlaczego on musiał umrzeć. A stracić kogoś, kogo się kocha to o wiele poważniejsze niż stracić kreskówki, prawda.

– Tak, chyba tak.

– Widzisz, gdy ktoś umiera, już nigdy go nie odzyskasz.

– Ale w kościele mówili, że po śmierci żyje się wiecznie?

– Mam nadzieję – powiedziała cicho Sarah Rourke.

# ROZDZIAŁ XIV

– Nigdy w życiu nie jadłem nic tak ohydneho – powiedział Rubenstein odwracając się od Rourke’a, by wypluć z ust pożywienie.

– Gdybym był na twoim miejscu, zjadłbym to – rzekł John spokojnie. – Proteiny, witaminy, cukier – o to wszystko i o wodę dopomina się teraz twój organizm. Nawet nie masz pojęcia, ile spalasz kalorii będąc tak cały dzień na motocyklu, zwłaszcza w upale, który naprawdę zdrowo cię wypompuje.

– Uuuch! Boże, to smakuje jak tektura!

– Jadłeś kiedyś tekturę?

– Hmm, nie, ale wiesz chyba, co mam na myśli.

– Może nie smakuje wybornie, ale jest pożywne. Możliwe że znajdziemy coś lepszego jutro albo pojutrze. Kiedy dotrzemy do schronu, będziesz mógł napchać się do woli. Mam suszone i mrożone żarcie z „Mountain House” – beef a la Strogonoff, wszystko. Mam mnóstwo suszonych warzyw, zamrażarkę pełną mięsa – steki, pieczenie, cudeńka. Mam nawet bułeczki, precle, czekoladowe batony, Seagrams Seven. Wszystko.

– Och, człowieku... Chciałbym tam być.

– Cóż – rzekł Rourke przeciągle – nie wystarczy chcieć, by się tam znaleźć.

– Czegóż bym nie zrobił za batona, mniam...

– Łakocie nie byłyby zbyt wskazane, chyba że twój organizm wydatkuje dużo energii. Cukier to jedna z najgorszych rzeczy tego świata.

– Wydawało mi się, że to ty powiedziałaś, iż masz czekoladowe batony – ironizował Paul.

– Hmm, nie można żreć tylko zdrowych rzeczy,

– Jakiego rodzaju są te batony?

– Nie pamiętam – odrzekł Rourke. – Mieszają mi się gatunki.

– Odkryłem twoją słabą stronę! – wykrzyknął Rubenstein. – Rourke źle identyfikuje czekoladowe batony!

John uśmiechnął się.

– Nikt nie jest doskonały, jak mi się zdaje. Rubenstein wciąż się śmiał, gdy nagle zakrztusił się i Rourke poderwał się ku niemu mówiąc:

– Unieś ręce nad głową... pomoga przeczyścić drogi oddechowe.

– Te... rzygowiny... cholerne, dziecięce... dziecięce żarło

– Paul mówił kaszląc.

– Zamknij się tylko na minutę, zanim weźmiesz oddech – powiedział John rozkazująco. –



Odpoczniemy kilka godzin i ruszymy jeszcze przed brzaskiem. Chcę przebyć w ciemnościach tyle mil pustyni, ile się da. Osiągniemy Van Horn najdalej pojutrze.

– Co to jest, to Van... Van Horn? – spytał Rubenstein wciąż kaszłąc, jednak już nieco spokojniej.

– Być może żywność, woda, benzyna. Spore miasto, nieco w bok od głównego szlaku. Może być jeszcze nienaruszone. Przynajmniej mam taką nadzieję. Znałem kiedyś faceta z Van Horn.

– Myślisz, że wciąż tam jest? – rzekł Paul, już bez problemów z przełykiem.

– Nie wiem – powiedział Rourke w zamyśleniu. – Straciłem z nim kontakt parę lat temu. Może już nie żyje... Nie sposób przewidzieć.

Rubenstein potrząsnął głową. Ponownie śmiejąc się powiedział:

– John, dziwny z ciebie facet. W całym moim życiu nie spotkałem równie luzackiego gościa jak ty.

– Właśnie taki będę za około trzydzieści sekund – luzacki. I pogrążony we śnie. I tobie radzę to samo.

Rourke podniósł się i zaczął oddalać od motocykla.

– Idziesz się odlać? – rzucił Paul. Rourke odwrócił się i popatrzył na niego.

– Nie... Zakopię słoik po tej pożywce dla dzieci. Nie ma sensu śmiecić, a cukier, który przyłgnał do jego ścianek, ściągnąłby tylko owady.

– Aha – rzekł Rubenstein.

# ROZDZIAŁ XV

Karamazow chodził po pokoju rozświetlonym przez wschodzące słońce. Długie cienie wnikały przez okna z szybami roztrzaskanymi przez kule.

– Musimy znaleźć Chambersa. Ciągle jeszcze może być w Teksasie. Tutaj jest jego baza wypadowa, a oddziały milicyjne, o których słyszeliśmy i które sami widzieliśmy, mogą w zupełności wystarczyć do zorganizowania zbrojnego oporu.

– Możliwe, że zwyczajnie się ukrywa – zauważyła Natalia wyciągnięta na sofie, gdzie przespała noc po zabezpieczeniu domu.

– Wątpię w to, Natalio. Musi kuć żelazo, póki ciepłe...

– Gorące – poprawiła go.

– Tak, gorące. Musi. Kiedy nasze jednostki osiągną pełną gotowość bojową, jego zadanie będzie trudniejsze. A gdy będziemy zdolni stworzyć narodowy system kontroli tożsamości, odbierzemy broń, etc., jego zadanie będzie właściwie niemożliwe do wykonania. Musi działać teraz! – Karamazow uderzył pięścią w ścianę przed sobą.

– Co zrobimy, szefie? – zapytał Jurij nieregularnie uśmiechając się.

Karamazow spojrzał na niego, lecz kontynuował swą przemowę ignorując uchybienie.

– Rozdzielimy się, oto, co zrobimy. Natalio, ty i Jurij udacie się samolotem w południowe obszary stanu, na pustynię. Stamtąd wróćcie jeepem do Galveston. Spotkamy się tam wszyscy w naszym centrum dowodzenia na wybrzeżu. Komunikacja radiowa w dalszym ciągu będzie niemożliwa, co samo w sobie stanowi znakomitą okazję pochwylenia Chambersa. Nie próbujcie niczego na własną rękę. Zamiast tego śledźcie go tak długo, jak to będzie możliwe, koncentrując się na miejscach jego pobytu i przewidywanych ruchach. Jakies pytania?

– Co z identyfikatorami? – głos Jurija brzmiał teraz poważniej.

– Nie mamy czasu na wykonanie czegoś nowego. Użyjcie, najlepiej jak potraficie, dokumentów, które macie już przy sobie. Jeśli tylko nie wpadniecie na jakieś podejrzliwe, zorganizowane siły, to nie powinno być problemu. Chciałbym móc zaoferować coś więcej. Jakie inne pytania?

Natalia bez słowa podniosła się z posłania i stojąc obciągnęła na sobie kombinezon. Karamazow przyglądał się, jak rozczesuje palcami czarne włosy.

Uchwycił przelotne, prawie ukradkowe spojrzenie Jurija. Natalia odwróciła się i uśmiechnęła, jej usta uniosły się w kącikach, a na policzkach pojawiły się, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, delikatne dołeczki.

Odwrócił się i przeszedł w kąt pokoju. Widział, jak Natalia zmierza do niego, a inni wychodzą przed dom.

– Co się stało, Władimir? – zapytała głosem, który major mógł niemal smakować.

– Nic takiego... Chciałem tylko powiedzieć ci, byś uważała na siebie. To wszystko. Ci Amerykanie, którzy przetrwali, to kompletni szaleńcy. Wszyscy mają broń i są gotowi jej użyć.

– Nic więcej? – zapytała, a jej oczy wpatrywały się w niego bacznie.

Karamazow położył dłonie na jej ramionach i przyciągnął ją do siebie, czując krągłości jej ciała.

– Tak, będziemy razem w kwaterze. Nie mogłem spać tej nocy, wiesz?

Nie czekając na odpowiedź, przytrzymał jej głowę w pocałunku, potem jego ręce zsunęły się w dół. Kołysząc jej ciało w ramionach pochylił głowę i całował jej szyję słysząc szept w uchu:

– Władimir... Tak bardzo bym chciała, aby to wszystko się skończyło. Moglibyśmy być razem, teraz, kiedy wygraliśmy.

Ułożył jej głowę na piersi i palcami gładził włosy mówiąc:

– To największy krok, o jakim mogliśmy tylko marzyć, Natalio. Jednak Ameryka nie jest jeszcze podbita, nasza praca daleka jest jeszcze od ukończenia. Możemy jednak być razem... coraz częściej.

Podniosła na niego oczy i Karamazow pocałował ją ponownie.

# ROZDZIAŁ XVI

Sarah Rourke otarła z piachu ręce o swoje dzinsy i uczyniła krok wstecz do dużego grobu. Pogrzebała w nim obydwójce, Carlę i Rona Jenkinsów, a potem z pomocą Michaela zebrała kamienie do przykrycia kopca, usypanego przy drodze do miasta. Dwie cienkie gałęzie i jeden z rzemyków z siodła Rona Jenkinsa posłużyły do sklecenia krzyża. Scyzorykiem Rona próbowała wyryć na nim nazwisko, lecz na wpół przegniła kora odpadła.

– Dobrze się czujesz, Michael? – spytała stojącego obok syna.

– W porządku, mam – odparł sześciolatek, patrząc na kopiec piachu i kamieni.

Spojrzała na Millie i Annie, bawiące się wspólnie przy koniach i wróciła spojrzeniem do Michaela.

– Myślisz, że powinniśmy zawołać Millie i Ann, by pomodliły się z nami za Jenkinsów?

Michael milczał chwilę, potem rzekł:

– Nie, myślę, że są szczęśliwe bawiąc się. Znowu by tylko płakały. Sami się pomodlimy.

– Może masz rację – powiedziała Sarah. – Po prostu pomilczymy przez minutę, mówiąc coś od siebie w duchu, dobrze?

Michael przytaknął i zamknął oczy, składając brudne palce do modlitwy. Gdy sama zamknęła oczy, usłyszała jak mruczy:

– Bóg jest miłosierny, Bóg jest dobry...

Powieki miała jeszcze ciągle opuszczone, gdy doszła do wniosku, że prawdopodobnie jest to jedyna modlitwa, jaką chłopiec zna.

# ROZDZIAŁ XVII

Natalia nacisnęła głębiej na oczy kowbojski słomkowy kapelusz. Stała przy jeepie i mrużąc oczy przed słońcem, machała do odlatującego pilota. Odwróciła głowę, gdy kurz stał się zbyt dokuczliwy i zobaczyła Jurija. Zawirowania powietrza powstające przy starcie samolotu rozwiewały jego blond czuprynę. Przyłożyła do ust dłoń tak, jak tubę i krzyknęła:

– Wynośmy się stąd!

Nie było odpowiedzi, nic nie świadczyło o tym, że w ogóle ją usłyszał. Wzruszyła ramionami pod krótką skórzaną kurtką, wspięła się na siedzenie obok kierowcy i czekając na Jurija sprawdziła swój pistolet. Nie pasujący do akcji karabin H-K musiała zostawić. Jurij miał być jej bratem i geologiem. Rzekomo mieli być w terenie.

– Jaka wojna? – miałyby powiedzieć. – Byliśmy na pustyni. Nasze radio przestało działać, ale myśleliśmy, że to tylko aktywność słoneczna czy coś w tym rodzaju.

Spojrzała na broń w ręce.

– Ach, to? – powiedziałyby. – To tylko na węże. Mój brat pokazał mi, jak się nim posługiwać. Krótko mówiąc: noszę go, ale tak naprawdę o broni nic nie wiem.

Obróciła pistolet w dłoń. Jak wszystkie broń amerykańskiego i zachodnioeuropejskiego pochodzenia, której ona i reszta zespołu Karamazowa używała, pistolet został nielegalnie, wedle amerykańskiego prawa, przerobiony. Ten był szczególnie milutki i bardzo go lubiła, pomimo jego ograniczonej pojemności. Była to czterokomorowa 357-ka Magnum COP, wyglądająca na mały pistolet dużego kalibru z obrotowym bębenkiem, rozmiarami zbliżona do automatycznej 380-ki. Była charakterystycznie załadowana: pierwszy ładunek na węże, pozostałe trzy komory wypełnione 125-gramowymi, drażnionymi nabojami w koszulkach. Do pistoletu dołączony był zestaw dwudziestu dwóch wymiennych nakładek na lufę, zmieniających jego parametry wedle potrzeb.

Włożyła pistolet do wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki i wyciągnęła się na siedzeniu, nasuwając kapelusz na oczy. Chustka zawiązana na szyi była już mokra od potu, przydymione okulary tylko odrobinę niwelowały przykrą jaskrawość słońca.

Z przymkniętymi powiekami odwróciła głowę, gdy Jurij zagadnął:

– Cóż, panienko – jesteśmy gotowi na to safari? Otworzyła oczy.

– Jurij, jesteś doskonałym agentem, ale jeśli nie przestaniesz do mnie tak mówić, to znajdziesz cyjanek w herbacie albo pinezkę z kurarą wpiętą w nogawkę spodni. Nie cierpię być nazywana „panienką”. W terenie nie tytułuj mnie też kapitan Tiemerowna. Masz zwracać się do mnie imieniem Natalia, na sposób amerykański wymawiając to imię. A ja nie będę mówiła ci Jurij. Dlaczego mnie nie poprawiasz? W tej operacji nazywasz się Grady Burns. Tak będę się do ciebie zwracała.

Jurij patrzył na nią przeczesując palcami włosy i nasuwając kapelusz, podobnie jak ona, niemal na przymrużone oczy.

– Jak pani sobie życzy – rzekł hamując śmiech i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Obróciła się do niego, chcąc mu coś powiedzieć, ale zrezygnowała i opadła z powrotem na siedzenie. Wbrew sobie wybuchnęła śmiechem.

– Jurij, na miły Bóg!

– Teraz poznaję moją amerykańską panienkę! – powiedział śmiejąc się. Zdjął prawą rękę ze skrzyni biegów i położył na jej prawym kolanie. Zesztywniała na moment, spojrzała na niego i znowu wybuchnęła śmiechem. Jechali przez wydmy rozmawiając i żartując, kierując się z grubsza na Van Horn, gdzie mieli nadzieję uzyskać jakieś informacje na temat Chambersa. O godzinie pierwszej Natalia zarządziła postój, mówiąc do Jurija:

– Muszę rozprostować kości. Zatrzymał jeepa i zgasił silnik.

– Chcesz, żebym wyciągnął to z bagażnika? Spojrzała na niego.

– Czyj to był pomysł, z tą chemiczną toaletą?

– Karamazowa. Myślę, że miał na uwadze twoją wygodę.

– Nie powinien był się trudzić – powiedziała stanowczo. Wsiadła z jeepa i poszła w kierunku zagłębienia w wydmach, leżącego piętnaście stóp po jej prawej stronie.

Gdy skończyła, stopą zagrzebała w piasku papier, zamykając jednocześnie rozporek. Automatycznie szukała dłonią pistoletu, przypominając sobie, że zostawiła go w kieszeni kurtki na siedzeniu. Odwróciła się w kierunku jeepa i wbrew sobie krzyknęła. Prawie w tej samej chwili odzyskała spokój.

– Kim jesteście? – zapytała tłumiąc lęk.

Dwóch mężczyzn ubranych w koszulki i wytarte dzinsy stało na szczycie niewielkiej wydmy. Łypali na nią oczyma.

– Pytałam, coście za jedni?

– Słyszałem, co powiedziałaś, dziewczynko – odkrzyknął wyższy z dwójki mężczyzn.

Zaczęła wolno iść. Zatrzymała się, gdy zobaczyła jeepa. Stało przy nim dwóch dalszych mężczyzn, identycznie ubranych. Niedaleko za nimi znajdowały się cztery motocykle. Nie mogła dojrzeć Jurija.

Odwróciła się do dwójki na szczycie wydmy, jeden z nich już schodził ku niej.

– Gdzie on jest? Mężczyzna z jeepa, ten, z którym byłam?

– Hmm, już nie musisz się o niego martwić. Nie żyje. Ładniuteńko poderżnęliśmy mu gardło, tak samo, jak to zrobimy tobie – rzekł bliższy mężczyzna.

Wpółświadomie potrzęsła głową. Jurij był zbyt dobry, by dać się tak zaskoczyć.

– Nie wierzę – powiedziała.

– Widzisz – zaczął wyższy z nich, zsuwając się w dół i lądując na nogach mniej niż dziesięć jardów od niej – nawet tego nie zauważył. – Sięgnął do kieszeni na biodrze i wyjął długi składany nóż. – Tak był zajęty oglądaniem tego – i machnął w kierunku szczytu wydmy.

Drugi mężczyzna wyciągnął zza siebie rękę, Trzymał w niej śrutówkę z niewyobrażalnie skróconą lufą, wydawało się jej, że kolby też nie ma. Widziała tylko skórzany rzemień biegnący przez ciało mężczyzny jakby miał ręce na temblaku.

– Gdy twój chłoptaş patrzył, ja przycinałem – rzekł wielkolud szczerząc zęby w uśmiechu.

Natalia przyglądała się mu, oceniając budowę jego ciała, sposób w jaki stał, szukając wzrokiem

innych broni. Przy szerokim czarnym pasie, pod splamioną koszulą opinającą ogromny brzuch – skutek nadużywania piwa – wisiał pistolet. Z odległości, jaka ich dzieliła, wydawało się jej, że jest to niemiecki luger.

– Czego chcesz? – zapytała zniżając głos.

– Jak myślisz, czego chcę, dziewczynko? – zaśmiał się ruszając w jej kierunku. Nóż trzymał nadal w prawej dłoni i gdy zrobił drugi krok, Natalia skoczyła z rękami wyciągniętymi przed siebie. Prawą zadała cios od dołu, nieco poniżej nosa, łamiąc kość i wgniatając ją w mózg. Natomiast jej lewa ręka znalazła w tym czasie nerw po prawej stronie kręgosłupa, nacisnęła nań i prawe ramię napastnika zostało momentalnie sparaliżowane, a nóż wypadł z garści. Wiedziała, że jest martwy i pozwoliła mu upaść. W chwili gdy padał, wyszarpnęła zza jego pasa pistolet. Prawy kciuk odnalazł zabezpieczenie, lewa dłoń przeładowała broń na wypadek, gdyby pierwsza komora była pusta, a palec prawej dłoni był gotów w każdej chwili nacisnąć spust. Dwa ładunki 9 mm trzasnęły pod ostrym kątem w faceta z obrzysem, stojącego na szczycie wydmy. Natalia zrobiła przewrót, za jej plecami rozległo się echo wystrzału. Drugi strzał, którego dźwięk mimowolnie zarejestrowała, rozorał jej lewe przedramię rzucając plecami na piasek. Na oślepie wypaliła w kierunku mężczyzn stojących przy jeepie i przetoczyła się po piasku, którego kłęby, wzniecane przez padające kule, sypały jej prosto w twarz. Wystrzeliła dwa ładunki w bliższego bandytów, trzymającego pistolet. Ostatni miał jednostrzałową strzelbę i kierował wylot luty prosto na nią. Oddała pojedynczy strzał, trafiając go w lewe oko. Odruchowo spojrzała na celownik lugera. Tylny przeziernik był uszkodzony i temu przypisywała brak celności strzału. Mierzyła między oczy.

Podniosła się na nogi, zrobiła krok naprzód i upadła na piasek. Obróciła się na plecy. Słońce, znajdujące się ciągle niemal w zenicie, natychmiast ją oślepiło – mimo okularów przeciwsłonecznych. Nie, nie miała ich. Musiała je zgubić, gdy toczyła się po piasku. Spróbowała wstać, okrutnie bolała ją głowa. Zmuszając się do utrzymania pionowej pozycji, zataczając się, podeszła do jeepa. Przyłgnęła do niego, parząc palce o rozgrzany metal, luger wysunął się jej z prawej ręki. Wczołgała się do jeepa i przesuwając się na siedzenie obok kierowcy spojrzała w dół. Na piasku leżał Jurij z poderżniętym od ucha do ucha gardłem. „Bardzo niefachowo” – pomyślała. Oczy miał otwarte i „zapatrzony” prosto w słońce. Uruchomiła silnik. Usłyszała gwizd i ujrzała unoszący się spod maski obłok pary.

– Głupia! Przestrzeliłam chłodnicę – wymamrotała do siebie, zwolniła hamulec ręczny i dodała gazu. Pchała ją myśl, że prawdopodobnie ci czterej mężczyźni nie byli sami. Dane wywiadu mówiły o dużym i dobrze uzbrojonym gangu łupieżców i morderców, poruszających się przez stan.

– Przednia straż – powiedziała głucho, podjeżdżając jeepem pod niską wydmy. – Muszę się śpieszyć...

## ROZDZIAŁ XVIII

– Czekaj tu, na wypadek gdyby to była jakaś pułapka – rzekł Rourke.

– Co masz na myśli, jaka pułapka? – spytał Rubensteina. John zapatrzył się w niego przez chwilę.

– Mogą to być paramilitarne łapserdaki, może być ktokolwiek. Ułóż ciało kobiety przy drodze, a większość ludzi się zatrzyma. Mam rację?

– Tak, ale... ona jest okropnie nieruchoma. Nie drgnęła od chwili, kiedy ją zobaczyliśmy.

– Może nie żyje, a może to tylko kupa łachmanów. Osłaniaj mnie – prawie wyszeptał Rourke. Przesunął CAR-15 na przód harleya i ruszył wolno w poprzek jezdni. Rzucił spojrzenie przez ramię za siebie, Rubenstein przygotowywał właśnie niemiecki karabin MP-40. John zakreślił szeroki łuk, przeciął przeciwległe pobocze i wjechał na piasek, zamykając koło wokół ciała. Była to kobieta, ciemne włosy zakrywały połowę jej twarzy, prawą dłoń zaciskała na lewym przedramieniu, ciemne plamy krwi przeciekały przez palce. Rourke zatrzymał motocykl kilka jardów od niej i zsiadł z niego, trzymając CAR-15 skierowany mniej więcej w jej kierunku. Palce prawej dłoni, zaciśniętej na kolbie, w każdej chwili były gotowe do pociągnięcia za spust.

Powoli przeszedł po piasku, zachodzące słońce miał teraz po lewej stronie. Teoretycznie – pominąwszy upał – nie było nawet wiosny. Ciemności szybko zapadną, a Van Horn było nadal całe mile przed nimi. Woda i żywność prawie się skończyły, jeszcze poważniejszym kłopotem była benzyna. Bak jego motoru był już niemal pusty i wątpił, aby maszyna Rubensteina mogła przejechać choćby dwadzieścia czy trzydzieści mil.

Zatrzymał się patrząc na ciało kobiety, odległe o cale od czubków jego zakurzonych, czarnych wojskowych butów, Podniósł na czoło ciemne okulary i przyjrzał się jej z bliska. Była niewiarygodnie piękna, nawet brudna i zaniedbana zachowała niezwykły urok, i coś mu mówiło, że gdzieś już widział tę twarz.

– Nie mógłbym cię zapomnieć – mruknął i końcem buta poruszył jej ciało, a potem całkiem ją obrócił. Bezwład świadczył albo o niedawnej śmierci, albo o stanie głębokiej utraty świadomości. Przyklęknął przy niej, przewieszając CAR-15 przez ramię. Pochylił się i, delikatnie ujmując jej głowę lewą ręką, kciukiem prawej dłoni powoli otworzył powiekę lewego oka. Żyła. Czuł jej puls, słaby, ale regularny. Jej skóra sprawiała wrażenie wywoskowanej i była zimna w dotyku.

– Szok – mruknął do siebie. – Wycieńczenie upałem. Podniósł wzrok i zawołał przez drogę:

– Paul! Zrób spore kółko, by przekonać się, czy nie ma gdzieś jej przyjaciół, potem wróć tutaj. Musimy zabrać ją ze słońca.

Rourke ogarnął wzrokiem horyzont, poszukując naturalnego cienia w obawie, że dziewczyna może nie dożyć zapadnięcia zmroku. Około stu jardów po przeciwnej stronie drogi zobaczył



wynurzającą się z ziemi nagą skałą, tworzącą mały nawis. Szybko obmacał ramiona, nogi i klatkę piersiową kobiety, na wypadek gdyby miała złamane jakieś kości. Wstał i podniósł nieprzytomną dziewczynę, układając ją sobie w ramionach. Gdy Rubenstein zakończył kółko i przystanął obok niego, John – kołysząc dziewczynę w ramionach jak dziecko – powiedział:

– Idę do tej skały po drugiej stronie drogi. Zaprowadź tam swój motor, a potem wróc po mój.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył przez beton, jego kolana lekko uginały się pod ciężarem dziewczyny. Kiedy dotarł do przeciwległego pobocza, popatrzył na nią czując, że drży. Poruszyła ustami:

– Znaleźć Sama Chambersa... dostać się do jeepa...

Powtarzała te słowa bez końca, póki Rourke nie dotarł; z nią do schronienia pod skałą. Nisko stojące słońce dawało tam obszerny cień. John złożył ją na piasku, najdelikatniej jak potrafił. Rubenstein wracał już z jego harleyem. Rourke patrzył, jak zatrzymuje się w obłoku kurzu.

– Musimy doprowadzić temperaturę jej ciała do normy. Daj mi wodę, ona potrzebuje jej bardziej niż my.

Rourke spojrział na twarz dziewczyny. Kiwnął głową, przytakując samemu sobie. Była to twarz, której nie mógłby zapomnieć. I, rzeczywiście, pamiętał ją lecz nie potrafił powiedzieć skąd.

# ROZDZIAŁ XIX

Księżyc świecił jasno, ale było wokół niego halo. Sarah przypomniała sobie powiedzenie męża: „zbroczony księżyc”. Teraz wystarczająco krwi rozlewano na ziemi, pomyślała. Przez cały dzień podążała tropem bandziorów, którzy torturowali Rona Jenkinsa i wszędzie – na małych farmach, w miasteczkach – scena się powtarzała. Bezmyślne zniszczenia, wszędzie martwi ludzie i zwierzęta. Lecz teraz ich ślad mówił, że zawrócili ku północno-wschodniej części stanu. Jeśli tylko prawidłowo oceniała kierunek, to przekroczyła już granicę Tennessee, a oni z każdą milą oddalali się od niej w przeciwnym.

Popuściła cugle. Tildie zwolniła, zatrzymała się i opuściła łeb skubiąc trawę. Sarah obejrzała się za siebie, Michael jechał sam na koniu jej męża, Millie i jej własna córka Annie jechały na wierzchowcu Carli Jenkins. Wałach Rona dźwigał większość towaru. Już to było dobrym rozwiązaniem dla zwierząt, a dodatkowo, co kilka godzin, dawała odpocząć Tildie od ciężaru, siadając razem z Michaeliem na Sam. Kilka dni zajmie im dotarcie do Mount Eagle i odszukanie ciotki małej Millie, która miała tam niewielką fermę. Wcześniej Sarah usiłowała wypytać Millie, gdzie jest ta farma, ale dziewczynka milczała. Nie powiedziała słowa od śmierci rodziców zeszłej nocy. Choć nie chciała się do tego przyznać przed sobą, kobieta wiedziała, że jeśli dziewczynka nie odpowie, szukanie jej żyjącej rodziny będzie beznadziejne. Opuszczając Georgię, pomyślała gorzko, zmniejszyła własne szanse na połączenie z mężem. Utrwaliła w sobie przekonanie, że Thomas Rourke wciąż gdzieś tam żyje i szuka jej, nawet w tej chwili. Zdawała sobie sprawę, że jeśli porzuci ideę, wszystko stanie się beznadziejne.

Nie widziała żadnego sensu w życiu wypełnionym ciągłym uciekaniem przed bandytami, życiu w dziczy jak zaszczute zwierzę. Pochyliła się niżej w siodle. Bóle żołądka przybrały na sile i stały się częstsze. Nie była to jeszcze pora menstruacji, choć zakładała również, że okres uległ skróceniu. Ale, tak czy inaczej, bóle były innego rodzaju. Przypomniała sobie, że w jednym z mijanych miast próbowała wody. Wyczuła, że jest w niej jakiś obcy smak i nie pozwoliła pić dzieciom, odsunęła od niej konie. Kilka godzin później znalazła wodę w butelkach w porzuconym bagażu i zabrała je.

Odwróciła się gwałtownie, gdy usłyszała za sobą hałas wywołany przez któregoś z koni. To była Sam, klacz jej męża. Kiedy chciała odwrócić głowę z powrotem, zgięła się w siodle czując wzbierające mdłości, nagle w jej głowie rozpalili się okrutny ból. Usiłowała zsiąść z konia, ale nie mogła utrzymać równowagi i spadła z siodła uderzając kolanami o ziemię.

– Mamo!

– Mamusiu!

Ostatni głos należał do Annie. Sarah zaczęła podnosić się na nogi, chcąc powiedzieć coś do

Michaela. Wsparła się na lewym strzemieniu, które było blisko jej ręki, lecz gdy stanęła wyprostowana, przed oczami zaigrały kolorowe błyski i ciężko oparła się o siodło. Czuła jak krew uderza jej do głowy. Jej ręce zsunęły się z łąku, chciała chwycić się strzemienia, ale nie była w stanie...

# ROZDZIAŁ XX

Rubenstein siedział w mroku obserwując, jak w świetle księżycy unosi się i opada pierś nieznajomej dziewczyny, słuchał jej ciężkiego oddechu, kolebiąc „schmeisserem” na biodrach. Czuł suchość w ustach. Palił dwie godziny wcześniej, a teraz marzył o tym, by zapalić następnego. Zerknął na timexa na przegubie, Rourke zniknął na ponad godzinę.

– Ta kobieta wciąż mamrocze o jakimś jeepie – powiedział mu. – Jeśli rzeczywiście gdzieś tam jest, to oznacza to zapewne żywność i wodę, może benzynę.

– Ale przecież nie zostawiłaby go, jeśli miałaby benzynę – zaproponował Paul.

– Tu, na pustyni, ludzie nie pozwalają sobie na osuszenie baku. Może jakaś dziura w chłodnicy, może przerwany dopływ paliwa... Ciągle jeszcze może być tam wystarczająco benzyny, byśmy zajechali do Van Horn. W przeciwnym razie czeka nas długi spacer, a jej oddaliśmy ostatnią kroplę wody.

– Ty jesteś ekspertem od przetrwania – powiedział Rubenstein broniąc się. – Nie mógłbyś po prostu znaleźć wody?

– Tak – odrzekł John. – Jeśli poświęciłbym na to cholernie dużo czasu, mógłbym zorganizować dla nas także żywność, ale nie benzynę. Nawet jeśli odkryłbym źródło ropy naftowej, na nic by się to nie zdało.

Siadł na motocykl i odjechał, zostawiając Rubensteinowi karabin Steyr-Mannlicher SSG dla dodatkowej ochrony. Jak się wyraził Rourke, mógłby być „potencjalnie użyteczny” z powodu swoich walorów, jeżeli ci, którzy zranili dziewczynę, wciąż kryli się w ciemnościach. Myśl o większej liczbie skłonnych do przemocy złodziei nie przypadła Paulowi do gustu. Wstrząsnął nim nieprzyjemny dreszcz. Temperatura ciała dziewczyny był zbliżona do normalnej, jak stwierdził John, i nie była już nieprzytomna, po prostu spała. Rourke oczyścił i zabandażował głęboką ranę na jej lewym przedramieniu. Na prawej wciąż była krew, ale tylko ta ze zranionego ramienia. Nie zmył jej z powodu braku wody.

Rubenstein zmienił pozycję na ziemi, słysząc jakiś dźwięk w ciemnościach. Obrócił się i uważnie wpatrywał się w czerń, nic nie dostrzegając. Dźwięk powtórzył się. Odryglował „schmeissera” i tak przygotowany powiedział nieco głośniejszym szeptem:

– Wiem, że tam jesteś, słyszę cię. Mam karabin, więc nie próbuj niczego!

– Nie wystraszysz w ten sposób grzechotnika – rzekł John półgłosem. Paul odwrócił się i zobaczył go, stojącego obok śpiącej kobiety, na prawym barku widać było rzemień CAR-15, którego trzymał w rękach.

– To grzechotnik... Przyciągnęło go tutaj ciepło twojego ciała, odsuń się.

Rubenstein zrobił krok w lewo. Rourke uniósł CAR-15, rozłożył kolbę i przyłożył karabin do barku.

– Co robisz? – spytał Paul.

– Przymierzam się. Ale na tę odległość nie jest to najlepsza broń.

Rourke przesunął stopy i osadził karabin. Rubenstein aż podskoczył, gdy ten nagle dobył z siebie:

– Bang!

Potem odjął strzelbę od ramienia i złożył kolbę.

– Bang?

– Tak. Jeśli zastrzeliłbym tego węża – dopóki nie wejdzie do obozu nie musimy tego robić – to tak, jakbym ogłaszał całemu światu, że się tu melinujemy, mamy broń i jesteśmy wystarczająco głupi, by strzelać do czegoś w ciemności. Miej na oku tego węża, a ja przyprowadzę motor.

– Po co go zostawiłeś?

– A co by było, gdyby ktoś dostał się do obozu i uziemił cię?

– To nie mogło się zdarzyć – zaprzeczył Paul urażonym głosem.

– Jej się zdarzyło – powiedział John przeciągle. – Po tym, jak znalazłem jeepa, pojechałem jego śladem. Liczyłem, że nie będę musiał jechać daleko, w chłodnicy była dziura po kuli, a nic przy tym upale nie ujedzie daleko z niechłodzonym silnikiem. Znalazłem truposza. Jej chłopaka albo męża. Nie patyczkowano się z nim – gardło podcięte od ucha do ucha. Były cztery inne trupy, motocykliści, dobrze uzbrojeni. Wygląda na to, że nasza znajoma zastrzeliła wszystkich czterech albo przynajmniej jednego z nich.

– Może inni są jeszcze gdzieś w okolicy – rzekł Rubenstein.

– Nie mam podstaw, by snuć takie przypuszczenia. Wygląda na to, że jednemu z nich złamała nos i dosłownie wbiła kość w mózg. Młoda profesjonalistka. Znalazłem kurtkę, która wygląda na dostatecznie małą, by należeć do niej. Był w niej interesujący mały pistolet. Truposz z poderżniętym gardłem miał walthera. Piękny kawałek profesjonalnego sprzętu, z lufą cofniętą do wewnątrz, aby móc używać tłumika. Tłumik też znalazłem, na tylnym siedzeniu, wewnątrz zestawu różnych dokrętek.

– Jezus Maria – wykrzyknął Rubenstein nie kryjąc zdumienia.

– Nie wydaje mi się, żeby tak się nazywał – powiedział spokojnie Rourke, odwracając się i znikając w mroku.

# ROZDZIAŁ XXI

Michael Rourke otworzył swoje ciemne oczy i zmrużył je przed blaskiem słońca. Bolały go nogi i chciał się podnieść, ale przypomniał sobie o ciężarze na kolanach. Spojrzał w dół na twarz matki. Wciąż miała zamknięte oczy.

– Mamo – powiedział czule. – Obudź się. Już rano. Popatrzył w dal ponad płaskim odkrytym terenem na wschodzące słońce. Millie i Annie ciągle jeszcze spały. Konie były uwiązane do drzewa, sam to zrobił zeszłej nocy. Nadal były osiodłane. Po tym, jak matka spadła z konia i nie mógł jej dobudzić, poluzował tylko rzemienie pod ich brzuchami. Przypomniał sobie, że matka nazywała je „popręgami”.

– Mamo – powtórzył, delikatnie potrząsając jej głową. Zamknął oczy. – Millie! Annie! Wstawajcie, czas wstać!

Annie usiadła sztywno wyprostowana, rozejrzała się wokoło i zatrzymała wzrok na nim.

– Jak mamusia? – zapytała.

– Będzie dobrze – odrzekł. – Obudź Millie i zrób jej coś do jedzenia. Wiesz, gdzie jest jedzenie. Millie może sięgnąć do toreb.

Z powrotem spojrzał na matkę. Światło słoneczne padało na jej twarz i dostrzegł ruch oczu pod powiekami.

– Mamo!

Sarah Rourke z wolna otworzyła oczy.

– Och... – jej głos zabrzmiał chrapliwie.

– Annie! Przynieś mamie trochę wody.

Sarah patrzyła na niego. Nie potrafił powiedzieć, czy jest w porządku czy nie.

– Mamo... Wyzdrowiejesz, prawda?

Zobaczył, że unosi w jego kierunku prawą rękę. Schylił się, by ułatwić jej zadanie. Poczł na policzku dotknięcie zimnej dłoni

– Mamo!

– Cśś... odezwała się matka, unosząc kąciki ust w słabym uśmiechu. – Wydobreję. Daj mi tylko odetchnąć i przez chwilę nie proś mnie, bym wstała, okey?

## ROZDZIAŁ XXII

Rourke odsunął się od żółtego, niskiego palnika turystycznego i usiadł opierając się o skałę. Zapatrzył się na słońce, pomarańczowe na szarym tle nieba nad pustynią, migoczące nad horyzontem na wschodzie. Przygarbił się pod skórzaną kurtką i obydwoma dłońmi ujął wypełniony kawą kubek z czarnego, usianego białymi plamkami metalu.

Zerknął na Rubensteina, jako że młodszy mężczyzna odezwał się:

– To mi się podoba... Życie na szlaku, znaczy. Żarcie, kawa, woda. Hej!

Paul wyciągnął się na drugim końcu skały.

– Małe rzeczy, a cieszą – zauważył John przenosząc wzrok na kobietę, wciąż pograżoną we śnie, leżącą na płótnie rozciągniętym na ziemi. Gałki jej oczu zaczęły drgać, potem powieki podniosły się i chciała się dźwignąć, ale opadła na plecy.

– Odetchnij kilka minut – powiedział do niej przeciągając sylaby.

– Co tak pachnie? – zapytała ochryple.

– Kawa... Chcesz trochę? Tak czy inaczej jest twoja – rzekł Rourke.

Ponownie usiadła, tym razem poruszając się dużo wolniej i podpierając się na łokciu.

– Kim jesteście? – zapytała głosem, który dla Johna nadal nie brzmiał dobrze.

– Ja nazywam się John Rourke, a to jest Paul Rubenstein – wskazał dłonią kogoś za plecami.

Odwróciła się i Paul uśmiechnął się do niej, salutując niedbale.

– Co u licha, robicie z moją kawą?

– Częstujemy się, prawda? – John zerknął na kompana.

– Byłaś umierająca, ocaliliśmy ci życie. Cofnąłem się i znalazłem twego jeepa. Kilka mil dalej pogrzebałem twojego chłopaka albo męża, zatankowałem benzynę, zabrałem wodę, żywność, trochę twoich rzeczy. Nie zostawiliśmy cię samej i gdy przekonaliśmy się, że gorączka spada, spaliliśmy na zmianę resztę nocy doglądając ciebie. Według mnie należy się nam filiżanka kawy, trochę benzyny, wody i żywności. Masz jakieś zastrzeżenia?

– Macie papierosy? – spytała Natalia. – I trochę kawy?

– Proszę – rzekł Rourke podając jej na wpół opróżnioną paczkę papierosów. – Myślę, że te są twoje. Znalazłem je w jeepie.

Wyciągnęła po nie lewą rękę i nagle zamarła.

– Byłaś postrzelona w przedramię – skomentował John i powrócił spojrzeniem do swojej kawy, popijając ją.

– Czy ktoś ma ogień?

Rourke sięgnął do dzinsów i wydobył z nich swoją zippo, wyciągnął w jej kierunku i pstryknął.

Błękitno – żółty płomień skakał i drżał na wietrze. Dziewczyna spojrzała na niego, ich oczy spotkały się, potem opuściła głowę odgarniając włosy. Koniuszek papierosa rozjarzył się przez chwilę, a potem chmura szarego dymu wydostała się z jej ust i nosa, gdy zadarła głowę do góry, patrząc w niebo.

– Wszystko pasuje... zauważyłem też, że jesteś piękna – oświadczył John ostrożnie.

Odwróciła się i śmiejąc się popatrzyła na niego. Powiedziała:

– Myślę, że skądś cię znam... To znaczy, mam takie wrażenie. Ten opatrunek jest bardzo fachowy.

Odezwał się Paul:

– John jest lekarzem. Między innymi.

Rourke bez słowa spojrzał na Rubensteina, potem powrócił wzrokiem do dziewczyny.

– Miałem to samo uczucie, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy przy drodze. Że już skądś cię znam.

– Co się stało?

– Miałem nadzieję, że ty mi to powiesz. Paul i ja zobaczyliśmy po prostu twoje ciało przy drodze, zorientowaliśmy się, że jesteś ranna i próbowaliśmy ci pomóc.

– Mówiłam coś? To znaczy, skąd wiedziałeś, gdzie znaleźć jeepa?

– Nie mówiłaś wiele – rzekł Rourke i dodał: – Nie martw się. Mamrotałaś coś o jeepie i coś o Samie Chambersie. Jeśli dobrze pamiętam, był w Teksasie przed wojną. Właśnie mianowano go ministrem komunikacji przy prezydencie.

– Wojna? – powiedziała Natalia.

– Nie wiesz nic o wojnie? – zdziwił się John, pochylając się w jej kierunku.

– Jaka wojna? – dopytywała się Natalia.

– Powiedz jej o wojnie – zwrócił się do Paula, zapalając jedno ze swych ostatnich cygar. –

Wygląda na to, że będzie dziś padać.



# ROZDZIAŁ XXIII

– Boże, tutaj jest tak zielono – powiedział Samuel Chambers siadając na małej kamiennej ławeczce i przyglądając się bujnie rosnącej kamelii.

– We wschodnim Teksasie, przy granicy z Luizjaną, jest zielono przez większą część roku. Ale wydaje mi się, że już czas rozpocząć spotkanie, panie prezydencie.

Chambers spojrzał na mężczyznę mówiąc szybko:

– Nie tytułuj mnie jeszcze w taki sposób, George. Jestem ministrem komunikacji i poprzestańmy na tym.

– Ale jest pan jedynym ocalałym w linii następców, sir. Jest pan prezydentem.

– Byłem w Tyler, w listopadzie zeszłego roku, na Festiwalu Róż. Możliwe że jest to najpiękniejsza część stanu Teksas, tutaj, na północ stąd i na południe, aż do zatoki.

– Sir!

– Idę, George. Zatrzymam się i powącham kwiaty, dobrze? Chambers wstał i sięgnął do kieszeni koszuli, wyciągnął Pall Malla. Patrzył przez chwilę na papierosa, a potem rzekł do swojego asystenta: – Jestem ciekaw, gdzie je będę zdobywał... podczas tej wojny?

– Jestem pewien, że znajdziemy wystarczającą ilość, by zaspokoić pańskie potrzeby, sir – rzekł uspakajająco młody mężczyzna, którego Chambers nazywał George'em. Idąc za prezydentem i stając z boku, przepuścił go do środka, zupełnie jakby się obawiał, że mężczyzna jeszcze raz zawróci do ogrodu.

Chambers odwrócił się, gdy dotarł do podwójnych francuskich drzwi, prowadzących z ogrodzonego murem ogrodu do biblioteki wewnątrz i niemal wiekowej bryły domu. Popatrzył na ogród, mówiąc do George'a:

– Jestem bliski tworzenia historii, George. Gdy wejdę do pokoju, to odrzucę nominację na prezydenta lub ją przyjmę. A jeżeli ją przyjmę, czego prezydentem zostanę? Tej pustyni na zewnątrz za ogrodem. Większość to pustynia, mam rację?

– Tak, sir.

– Piękny kawałek Zachodniego Wybrzeża zniknął, Nowy Jork został zmieciony z mapy. Co mogę zaoferować moją prezydenturą? Rany, o których wiem, że są nie do uleczenia?

# ROZDZIAŁ XXIV

– Kim oni są, John? – Rourke usłyszał pytanie Rubensteina. Nic nie odpowiedział patrząc na drogę, na zbolale twarze zbliżających się powoli mężczyzn, kobiet i dzieci. Gdy twarze stały się dla nich obu oraz dziewczyny rozpoznawalne, John zauważył, że kobiety mocno przyciskają do siebie dzieci, zaś niektórzy mężczyźni wnoszą pałki i siekiery.

– Kim oni są? – ponownie zapytał Paul.

Rourke odwrócił się chcąc odpowiedzieć, ale dobiegł go z tyłu długi siedzenia harleya zdławiony kobiecy alt

– To uciekinierzy z jednego z miast przed nami. Mają to wypisane na twarzach, Paul.

– Wiem, że skądś cię znam – powiedział do niej Rourke.

– Ja ciebie też znam... Jestem ciekawa, co się stanie, gdy oboje sobie przypomnimy, skąd się znamy, John?

– Nie wiem – powiedział wolno i powrócił spojrzeniem do ludzi na drodze. Zerknął na stojącego obok Rubensteina i powiedział:

– Zsiądź i zostaw karabin na motorze albo daj Natalii. Powiedz, że nie chcemy zrobić im nic złego.

– Skąd jednak będę wiedział, że oni nic mi nie zrobią? – spytał młody człowiek schodząc z motocykla.

– Będę cię osłaniał.

Paul wręczył Natalii SMG. John obejrzał się za siebie i rzekł:

– Tylko nie mów, że nie masz pojęcia, jak się z tym obchodzić. Pamiętaj, że widziałem twoją robotę tam przy jeepie.

– Nie będzie takiej potrzeby – odpowiedziała Natalia śmiejąc się.

– Zobaczmy, proszę pani – chrząknął Rourke i obserwował Rubensteina, jak zbliża się do uchodźców z szeroko otwartymi ramionami, zupełnie jakby obłaskawiał obcego psa.

Słyszał jak Paul zaczyna mówić:

– Hej, słuchajcie... My jesteśmy dobrzy... Nie mamy złych zamiarów, moglibyśmy wam pomóc.

Jakiś mężczyzna z kosą wyrwał w jego kierunku i John krzyknął:

– Uważaj! – sięgnął po pythona, zaledwie wyciągając zza paska, gdy za plecami Paula rozległ się huk, a podmuch gorąca przeniknął mu po karku. Stylisko kosy zostało przecięte na pół, a Rubenstein obrócił się na pięcie z browningiem w prawej ręce, lewą poprawiając okulary na nosie. Rourke zerknął na Natalię mówiąc:

– A nie mówiłem, proszę pani.

– Niech cię diabli – odpowiedziała ześlizgując się z harleya i oddając ciągle odbezpieczonego „schmeissera” mężczyźnie. Przeszła kilka kroków i zatrzymała się, wycierając dłonie o dzinsowe spodnie. Rzuciła mu spojrzenie przez ramię i wolno ruszyła w stronę uchodźców oddalonych od Paula Rubensteina mniej niż dwanaście stóp.

Jej głos brzmiał miękko, głęboko – tak, jak chciałbyś, by brzmiał głos twojej kochanki, pomyślał John.

– Wysłuchajcie mnie, proszę – mówiła. – Nikogo z was nie chcemy skrzywdzić. Strzeliłam tylko w obronie mojego przyjaciela. Chcemy wam pomóc. Nie skrzywdzimy was...

Przeszła przed czoło gromadki i prawą ręką, powoli, pogłaskała piaskowe włosy mniej więcej dziesięcioletniego chłopca, przytulającego się do kobiety będącej, jak sądził Rourke, jego matką.

Rourke popatrzył na MP-40, wyjął magazynek, spuścił iglicę i włożył na powrót magazynek. Trzymając w lewej ręce półautomatyczny karabin, zsiadł z Harleya-Davidsona „Low Rider” i podszedł wolno do Natalii, Rubensteina i tłumu, otwierając prawą dłoń.

Dziewczyna znowu przemówiła:

– Skąd jesteście, ludzie? Co się wam przytrafiło?

Rourke przyłapał się na tym, że bacznie się jej przygląda. Frapował go sposób, w jaki jej włosy zebrane były z boku głowy i upięte, by potem opaść miękko w dół na ramiona. Sposób w jaki poruszała dłońmi. Odetchnął głęboko, zaciskając prawą dłoń w pięść. Stał obok niej i rzekł:

– Ona mówi prawdę. Chcemy tylko dowiedzieć się, skąd jesteście i co się wam przytrafiło. Jestem lekarzem, może komuś z was mógłbym pomóc?

John wykonał szybki półobrót, omal nie sięgając po broń – jakaś kobieta krzyknęła ze środka gromady. Twarze po obu jej stronach odwróciły się, kiedy zbliżył się do niej. Kobieta klęczała, płacząc i tuląc w ramionach dziecko owinięte kocem z ciemno-czerwonymi plamami krwi.

Rourke stanął obok niej i delikatnie dotknął jej ramienia, oddając stojącej za nim Natalii „schmeissera” i CAR-15. Przyklęknął i odwinął koc z twarzy dziecka. Ciało było zimne w dotyku, cera miała błękitnawy odcień.

– To dziecko nie żyje – powiedział miękko, narzucając koc z powrotem na dziecięcą twarzyczkę i popatrzył w górę, na kobietę mamroczącą modlitwę.

Spędzili z uchodźcami kilka godzin. Było ich około trzydzieścioro i John robił, co mógł. Natalie ostatecznie udało się odebrać kobiecie martwe dziecko i pomogła Rubensteinowi pochować je przy drodze. Ludzie ci byli z miasta położonego około piętnastu mil przed nimi, o którym Rourke nigdy nie słyszał. Była tam kawiarenka i strażnica wojsk pogranicza.

– Zjawili się bandyci – kobieta zaczęła opowiadać przysiadłszy na ziemi, jej brudną twarz znaczyły ślady łez, przód jej sukienki był cały we krwi martwego dziecka, które niosła przez całą noc. – Mój Jim i ja spaliśmy. Rzucił się na posłaniu tak bardzo, że obudził mnie i nie mogłam już zasnąć. Zastanawiałam się, czy promieniowanie po wybuchach bomb dotarło do nas i czy zabije moje dziecko.

Chrząknęła i zaszlochała ponownie, Natalia otoczyła ją ramieniem. Kobieta zakasłała i kontynuowała:

– No i usłyszałam to całe zamieszanie. Warkot silników, strzały, krzyki, wszystko. Myślałam, że może stało się coś dobrego, może przybyły jednostki wojsk amerykańskich albo wrócili żołnierze wojsk pogranicza. Wstałam i wyjrzałam przez okno, zobaczyłam ich... – jej głos przeszedł w szept, a potem zaczęła na nowo:

– Było ich kilkuset, wszyscy młodzi, niektórzy na motocyklach, inni jechali półciężarówkami i jeepami. Część naszych ludzi wybiegła na ulicę, niektórzy z mężczyzn strzelali do nieznajomych, ale zostali albo zabici, albo przegnani. Ci barbarzyńcy zaczęli wszystko niszczyć, palić i kraść, jakby cały świat do nich należał. Jim obudził się, wziął strzelbę i wyszedł do nich, a oni... – kobieta przerwała, płacząc już teraz niekontrolowanie; głowa opadła jej na piersi. Natalia objęła ją ramionami.

Zaczął mówić stary mężczyzna, siedzący na ziemi obok Rourke'a:

– Zebrali tych z nas, których nie zabili i ustawili w szeregu na ulicy. Niektórych zastrzelili tak dla zabawy, zgwałcili na naszych oczach kilka kobiet, niektóre zabrali ze sobą. Splądrowali wszystkie domy i tych kilka sklepów, które mieliśmy. Zabrali każdą broń, jaką znaleźli, żywność i wodę, a potem powiedzieli nam, byśmy zjeżdżali, gdyż zmienili zdanie i uznali, że szkoda marnować kul dla takich jak my.

John odwrócił wzrok od mężczyzny, słysząc głos Natalii:

– Muszą być gdzieś przed nami. Paul mruknął:

– Mam nadzieję, że natkniemy się na nich.

Rourke popatrzył najpierw na dziewczynę, potem na Rubensteina i powiedział:

– Są szansę, że ich spotkamy. Czy ktokolwiek widział faceta, który zastrzelił dziecko tej kobiety?

Jak on wyglądał?

Kobieta, którą Natalia otaczała ramionami, nagle przestała płakać, spojrzała na niego i rzekła:

– Ja go widziałam. Blondyn, szczupły, nie za wysoki. Włosy miał długie i kręcone jak u dziewczyny. Miał niewielką kocią bródkę. Nosił długi, śmiesznie wyglądający pistolet – użył go, by zabić moje dziecko. To nim zabił moje dziecko!

John nachylił się nad kobietą tuloną przez Natalię w ramionach i rzekł dobitnie, przeciągając sylaby:

– Nie mogę obiecać, że znajdziemy tego człowieka, ale mogę przyrzec, że jeśli uda nam się to, wówczas zabiję dla pani tego drania.

Odwrócił się łapiąc spojrzenie błękitnych oczu dziewczyny.

Nie spojrzał już za siebie.

# ROZDZIAŁ XXV

– Pan musi przyjąć prezydenturę na swe barki, sir – powiedział pułkownik w zielonym mundurze polowych sił powietrznych, pochylając się do przodu w fotelu koloru musztardy. Jego szare oczy twardo wpatrywały się w wysokiego szczupłego Samuela Chambersa.

Chambers uniósł lewą dłoń prosząc o ciszę, wyciągnął się w pokrytym skórą fotelu i zaczął przemowę:

– Pułkowniku Darlington, pan i inni obecni w tym pokoju w zasadzie zmuszacie mnie, bym sam siebie „koronował” na prezydenta USA, podczas gdy ja nie jestem pewny, Czy Stany Zjednoczone w ogóle istnieją. Zgodnie z informacjami kapitana Reeda, uzyskanymi kanałami wojskowymi, nim armia przestała funkcjonować jako zorganizowany mechanizm, dostrzeżono lądowanie Sowietów w Chicago i innych głównych miastach naszego kraju, zbombardowanych uprzednio bronią neutronową. Możemy mieć i prawdopodobnie mamy już na karku tysiące sowieckich oddziałów i całe tysiące dalszych w drodze. Im większe zniszczenia poczyniły nasze siły zbrojne, z tym większą determinacją będą chcieli wykorzystać ocalałe u nas fabryki i zasoby naturalne, aby postawić na nogi własne państwo. A co z radioaktywnością, głodem, ekonomicznym krachem, w obliczu których stoimy? Czy jest obecnie kraj – gdziekolwiek na świecie – który byłby zdolny funkcjonować w takich warunkach? Proszę mi odpowiedzieć, pułkowniku! – podsumował Chambers.

Kapitan Reed pochylił się do przodu w swym fotelu i przesunął nie zapaloną fajkę w lewy kącik wąskich ust. Chwycił ją lewą ręką i używając jak wskaźnika powiedział:

– Słuchałem tego, co pan mówił, sir, i doszedłem do jednego wniosku, który, jak sądzę, powinien być dla nas wiążący. Poprzedni prezydent zrobił, co do niego należało. Jeśli zostałby przy życiu, uwięziony jak w pułapce w swoim schronie, Sowietci mogliby użyć go w dowolny, sobie tylko wiadomy sposób – z jego współpracą czy bez niej. Ale z panem to inna sprawa, sir... – Reed oparł się plecami o fotel, rzucił szybkie spojrzenie po zebranych i ciągnął:

– Pańska, oparta na podstawach filozoficznych, niechęć do komunistów jest szeroko znana, więc wkładanie jakichś tam słów w pańskie usta byłoby bezsensowne. Nie trafili na pański ślad, nie wiedzą, gdzie pan teraz się znajduje. Prawdopodobnie wkrótce przekonamy się, że są ludzie, którzy przetrwali, że są uzbrojeni cywile, którzy chcą z kimś walczyć – lecz ktoś musi skierować ich we właściwą stronę, stworzyć kanał dla ich działalności. Może to właśnie jest właściwe słowo. Potrzebujemy kogoś, kto skanalizuje energię kraju. Potrzebujemy przywódcy, którego nie mamy. I nikt nam nie pozostał, tylko pan, sir.

Reed usiadł, powiódł jeszcze raz spojrzeniem po pokoju, a potem spuścił wzrok, jakby z zamiarem studiowania czubków swoich wojskowych butów.

Po długiej pauzie pułkownik Darlington oznajmił:

– Kapitan ma rację. Wyłożył to lepiej niż ktokolwiek z nas. – I wpatrując się w Chambersa dodał:

– Panie prezydencie.

Chambers popatrzył na Darlingtona, potem na Reeda i pozostałych – Randana Soamesa, dowódcę Milicji Teksasńskiej, ochotniczych grup paramilitarnych; sędziego federalnego, Artura Benningtona; swego asystenta, Georg’a Crippa.

Zapalił cygaro i przez chmurę dymu, patrząc w dół przed siebie, powiedział:

– Może sędzia Bennington znajdzie jakąś Biblię, na którą będę mógł złożyć przysięgę. Potem, panowie, zwołamy na jutro rano konferencję organizacyjną.

Podniósł wzrok i łapiąc spojrzenie sędziego rzekł:

– Arturze, gdy tylko będziesz gotów.

Kilka chwil później Chambers stał w ogrodzie i przysięgał ochraniać i bronić Konstytucji Stanów Zjednoczonych Ameryki, tak mu dopomóż Bóg. Jego asystent, George Cripp, był pierwszym, który zwrócił się do niego słowami: „Panie prezydencie.”

# ROZDZIAŁ XXVI

Natalie zatrzymała sobie czterostrzałowy pistolecik COP, a pozostałą broń, zabraną przez Rourke'a z jeepa i od zabitych przez nią mężczyzn, oddała tym spośród uchodźców, którzy wyglądali na najodpowiedniejszych.

Rourke i Rubenstein, który coraz lepiej rozeznawał się w broni palnej, oraz Natalie pokazali nowym właścicielom, jak obchodzić się z bronią. Podzielili się wodą i żywnością, zostawiając sobie tylko tyle, ile było niezbędne na dotarcie do Van Horn. Zanim opuścili uciekinierów, John wysłał Paula drogą w kierunku, w którym zmierzał pochód, by przeprowadził kilkunastomilowy zwiad. Młodszy mężczyzna, z czarnymi włosami przyklejonymi do czoła, z przymrużonymi od słońca oczami, poprawiając od czasu do czasu okulary na nosie, wrócił po czterdziestu minutach zdając raport, iż przed uchodźcami droga wolna.

Rourke i siedząca za nim dziewczyna, którą znał jako Natalie, obserwowali tę dziwną procesję, póki nie oddaliła się drogą sto lub więcej jardów. Potem odwrócili się do Rubensteina. Patrząc na niego John zauważył, że jego cera, która jeszcze kilka dni temu była blada, potem zaczerwieniona od słońca, teraz zaczynała ciemnieć. Zaczerpnął głęboko powietrza i powiedział:

– Cóż wspólniku – gotowi?

Rubenstein zerknął na niego bez słowa. Kiwnął głową i gwałtownie zerwał okulary z nosa.

– Wiesz, Paul – Rourke uśmiechnął się – chyba będziemy musieli coś zrobić, aby te okulary nie spadały.

Nie patrząc na dziewczynę za sobą rzekł:

– Wytrzymaj na razie, załatwię to kiedyś.

Podwinął rękawy przepoconej jasnobłękitnej bluzy, przeczesał palcami włosy i zapalił swojego harleya davidsona. Niewielkim łukiem wyjechał z pobocza na autostradę. Wyblakły od słońca drogowskaz, sto jardów przed nim po prawej, informował: „Van Horn – 75 mil”.

Jechali w milczeniu wzdłuż żółtej linii na środku jezdni. Rourke sprawdził szybkościomierz, hodometr, a potem rolexa na przegubie. Wrócił wzrokiem na drogę i dodał gazu. Jechali nieco mniej niż godzinę, gdy John dał sygnał Paulowi i zjechał na pobocze, przecinając linię z prawej strony. Przed nimi wznosił się niski wiadukt. Autostrada biegła dalej obok nieczynnych kominów, a w dali widać było zarys budynków. Żar słoneczny coraz bardziej dawał się we znaki. Rourke zerknął na zegarek. Rolex wskazywał zbliżającą się godzinę dziesiątą przed południem. Gdy drugi motor zatrzymał się obok, rzekł cicho:

– Van Horn – wskazał na pozbawione życia fabryki i ich otoczenie.

– Wygląda na wymarłe – powiedział Paul mrużąc oczy.

– Zgadza się – skomentował John.

– Co więc zamierzamy? – Natalie wychyliła się zza jego pleców.

– Cóż – rozpoczął bez pośpiechu Rourke – potrzebujemy żywności i wody, a Rubenstein mógłby znaleźć sobie jakieś zaciski do okularów, nim jaskrawe słońce wykończy mu wzrok. Ty też znalazłabyś dla siebie parę rzeczy. No i zdobylibyśmy więcej benzyny. Obiecałem ci, że podrucę cię tak blisko Galveston, jak tylko będę mógł. Nie wiem jeszcze, czy Paul i ja będziemy jechać aż tak daleko w poszukiwaniu bezpiecznej przeprawy na drugi brzeg Missisipi. Na ile potrafiłem ocenić z powietrza sytuację owej nocy – Nocy Wojny – wyglądało to tak, jakby cały tamtejszy rejon był nuklearną pustynią. Ale nie sposób to sprawdzić będąc tutaj, chyba że ty coś wiesz.

Wyciągnął szyję obracając się do dziewczyny, która uśmiechnęła się do niego i rzekła:

– Zapomniałeś, że nie słyszałam o wojnie, dopóki ty i Paul nie powiedzieliście mi o niej?

– Pamiętam o tym – powiedział wolno Rourke. – Pytam dlatego, że uderzyło mnie, jak dobrze posługujesz się bronią, ponadto wydaje się, że widziałaś już przedtem uchodźców, no i gdzieś w zakamarkach pamięci mamy wspomnienia o sobie nawzajem. Myślałem, że może dotarły do ciebie jakieś wstrząsy, czy coś takiego, z rejonu delty Missisipi.

– Przykro mi – powiedziała dziewczyna nie reagując na zaczepkę.

– No cóż, i mnie przykro – zawtórował John. – Skoro już jednak przejawiasz tę tajemniczą biegłość w posługiwaniu się bronią, dlaczego nie weźmiesz sobie mojego pythona, nim uzbroimy ciebie w coś więcej niż ten pistolet na groch, który masz teraz? Na wypadek gdyby doszło do strzelaniny. Myślę, że jeśli przez chwilę go postudiujesz, pojmiesz, jak działa. Mam rację?

Dziewczyna znowu uśmiechnęła się, odpowiadając półgłosem:

– Myślę, że tak.

– Dobrze – rzekł Rourke spokojnie i odwrócił się do Rubensteina. – Paul, prawdopodobnie jest tam jakaś główna ulica. Gdy wjedziemy do miasta, zaczekam na ciebie pięć minut, a ty w tym czasie objedziesz miasto po obwodzie, najszybciej jak potrafisz, i skręcisz w główną ulicę, dołączając do mnie. Bandyci, którzy zniszczyli tamto miasteczko uciekinierów, są gdzieś przed nami. Zapewne zaatakowali już Van Horn, ale niektórzy z nich mogą kręcić się w pobliżu. Ludzie tacy jak ci, są prawdopodobnie luźno zorganizowani, przyjeżdżają i odjeżdżają, kiedy chcą. Lepiej trzymaj to coś, co nazywasz „schmeisser”, w pogotowiu, jasne?

– Chwytam – odrzekł Rubenstein zdejmując karabin z pleców i przewieszając go pod ramieniem.

Rourke odwrócił się do dziewczyny.

– Ten python to Mag-Na-Ported, ma z każdej strony lufy otwory odprowadzające gazy. Może nie dawać takiego odrzutu, jakiego będziesz się spodziewała.

– Nie rozumiem – odpowiedziała dziewczyna. Odwrócił do niej głowę i spojrzał na nią przelotnie.

– Zwyczajnie improwizuj – po ustach przemknął mu uśmiech.

Ruszył harleyem z powrotem na autostradę, w kierunku wiaduktu. Budynki, które pojawiły się z prawej strony, były częścią starej fabryki przemysłu lekkiego. Motocykl Rourke’a znajdował się teraz na środku mostu, skąd można było ogarnąć wzrokiem rozległą panoramę dachów i sięgnąć aż do szarej pustyni za nią. Nigdzie nie było śladu życia. Zerwał się silny wiatr i John musiał mocno pracować nad utrzymaniem równowagi. Trzy czwarte drogi przez most przebył pochylony w prawo, starając się utrzymać właściwy kierunek jazdy i zjechać z estakady do miasta. Obejrzał się za siebie. Rubenstein miał dużo większe kłopoty z silnym wiatrem.



Gdy harley doktora znalazł się poniżej mostu, zyskał znakomitą osłonę przed wichrem. John pochylił się teraz łagodnie w lewo i zjechał ze środka, wyhamowując u podstawy mostu. Wykonał leniwie ósemkę, lustrując uważnie okolice rozwidlenia dróg, a potem ruszył dalej naprzód. Przed nim pojawiły się dwa budynki przy głównej ulicy. Oceniał odległość od nich, po czym dał znak Rubensteinowi, aby ruszył wąską przecznicą. Obserwował, jak młodszy mężczyzna robi ostry zwrot i znika za nietkniętym, ale wyglądającym na opuszczony, budynkiem.

Rourke dotarł do głównej arterii, zwolnił robiąc duży, łagodny łuk na szerokim skrzyżowaniu i zatrzymał się.

– Wygląda to tak, jakby wszyscy po prostu zniknęli – skomentowała Natalie.

– Mam złe przeczucia co do tego miejsca – rzekł John patrząc w dół traktu, gdy czekali na przybycie Paula jakieś pół mili dalej.

– Bomba neutronowa? – spytała dziewczyna ściszonego głosem.

– A cóż taka miła, młoda panienka jak ty, wie o bombach neutronowych? – zagadnął Rourke nie patrząc na nią. Nałożył okulary przeciwsłoneczne i odciągnął iglicę CAR-15, odbezpieczając go. Lufa rozpylacza badała pustą przestrzeń.

– To nie bomba neutronowa – rzekł. – Popatrz tam. Ponad ramieniem widział, jak dziewczyna odwraca się patrząc w kierunku wskazywanym przez lufę CAR-15. Na małym skwerze rosły mizerne, lecz zdrowe drzewa.

– Nie – rzekł. – Wszyscy po prostu wyjechali. Albo prawie wszyscy.

Zerknął na zegarek, a potem ponownie na drogę.

– Gdzie jest Paul? – zapytała Natalie. Na karku, koło prawego ucha czuł jej ciepły oddech.

– Właśnie sam zadaję sobie to pytanie – oznajmił monotonnym szeptem. – Wiesz, to naprawdę może nie jest zły pomysł, byś odpięła mój pas i wzięła go sobie razem z pythonem. Możesz potrzebować zapasowych pestek z pasa.

Poczuł otaczające go kobiece ramiona.

Pomógł jej odpiąć sprzączkę i skręcając szyję patrzył, jak dziewczyna przewiesza pas przez prawe ramię, tak że python zadyndał w kaburze na lewym biodrze.

– Gotowa?

Dziewczyna wyciągnęła masywny rewolwer i skinęła głową.

– Okey – rzekł Rourke ruszając środkiem wymarłej ulicy. Patrzył na drogę wprost przed nimi, szepcząc poprzez brzęczenie silnika:

– Widziałaś jakiś ruch między budynkami około 25 jardów za nami?

– Po prawej?

– Taak...

– Człowiek z karabinem, tak myślę, ale nie jestem pewna.

– Taak... Okey... Dojadę do końca tego bloku i skręcę w przecznicę, którą jechał Paul. Tam powinniśmy się na nich natknąć.

– Na bandytów? – rzekła dziewczyna spokojnym, zrównoważonym głosem.

– Może gorzej. Na ludzi rozpaczliwie broniących tego, co zostało z ich miasta – odpowiedział John biorąc łagodny zakręt w prawo, potem w lewo, w ulicę wymarłą tak samo, jak poprzednia. Zatoczył koło i opuścił ją. Następna przecznica pojawiła się po lewej, Rourke obrzucił ją szybkim spojrzeniem. Nadal nie było śladu Paula Rubensteina.

Położył harleya w jeszcze jeden szeroki wiraż i wjechał w ulicę po lewej. Gdy ruszył wzdłuż

nierównego chodnika, usłyszał za sobą chrapliwy szept Natalie:

– John! Z twojej prawej!

Rourke rzucił od niechcienia okiem we wskazanym kierunku, unosząc wolno prawą rękę i szepnął w odpowiedzi:

– Tak... Widzę ich.

Gdy tak jechali ulicą, po obu stronach, z drzwi budynków, zza przewróconych samochodów i ciężarówek, wychodzili uzbrojeni mężczyźni i kobiety, zamykając ulicę za nimi niby żywa ściana.

– Spokojnie – powiedział niewzruszonym tonem. – Jeśli chcieliby nas zastrzelić, już by się do tego zabrali.

– Nie czuję się bezpieczniejsza z tego powodu – odrzekła dziewczyna niemal gniewnie.

Nagle prawie krzyknęła:

– Patrz, tam przed nami! Mają Paula!

– Taak... Widzę – rzekł Rourke chłodno. Rubenstein klęczał na końcu ulicy, ramiona miał szeroko rozłożone, ręce przywiązane do tylnego zderzaka przewróconej ciężarówki i do kolumnienki podpierającej rampę załadunkową jakiejś pomniejszej fabryki. Jakiś młodzieniec stał obok niego i trzymał w dłoniach karabin z nałożonym bagnetem. Ostrze bagnetu dotykało gardła pojmanego.

– Nie wiem, kim są ci ludzie, ale na pewno nie są to bandyci. Przynajmniej nie z tych, których widzieliśmy przedtem.

– John! Wracaj! – wrzasnął Paul. Mężczyzna stojący przed nim uciszył go, przyciskając mocniej ostrze do gardła.

Rourke zatrzymał harleya około 20 stóp od nich. Spokojnie, ale stanowczo przesunął CAR-15 w kierunku człowieka z bagnetem, a jego prawa dłoń zacisnęła się na kolbie karabinu.

– Kim jesteście, ludzie? – zapytał przesuwając spojrzeniem po grupie młodych mężczyzn i kobiet. Wszyscy byli uzbrojeni. Wliczając tych, których miał za plecami, blokujących drogę odwrotu, naliczył dwadzieścia pięć osób, mniej więcej tyle samo mężczyzn, co i kobiet, wyglądających na nastolatki.

– My będziemy zadawali pytania – krzyknął ciemnowłosy chłopak z policzkami pokrytymi czymś, co wyglądało na trądzik.

– Pytaj więc, chłopcze – rzekł John patrząc na niego, ale wylot lufy CAR-15 pozostawił wycelowany tam, gdzie przedtem – w osobnika trzymającego bagnet na gardle Rubensteina.

– Kim wy jesteście? – znowu odezwał się ten z trądzikiem, głosem niepewnym, ale za to donośnym.

Rourke odetchnął głęboko i przemówił półgłosem:

– John T. Rourke. Dziewczyna mówi, że nazywa się Natalie Timmons, a mężczyzna, którego twój koleś trzyma na ziemi, to Paul Rubenstein. Jesteśmy tu przejazdem, dzieciaku.

– Z kim jesteście?

– Nie lubisz słuchać uważnie, prawda chłopcze? – zauważył, rzucając gniewne spojrzenie na osiemnastoletniego może, właściciela donośnego głosu.

– Mam na myśli to, z jaką grupą wędrujecie?

– Cóż – zaczął John – należałem przed wojną do klubu cyklistów. To ci wystarcza?

– Skończ pan te dupy warte cwane gadki!

– Chłopcze – powiedział powoli Rourke z groźbą w głosie – jeszcze raz się tak do mnie odezwiesz i będziesz miał jeden pępek ekstra, taką dziurkę o średnicy pięć i pół milimetra.

Pokazał mu CAR-15 i z powrotem wziął na muszkę faceta pilnującego Paula.

– Jakie macie zamiary wobec mojego przyjaciela?

– Przyjechaliście tu kraść, prawda? – krzyknął przywódca z trądzikiem na twarzy.

– Głuchy jesteś, dzieciaku? – rzekł John. – Naucz się kontrolować głos. Jeśli macie coś, czego bym chciał, zahandluję z wami. Jeśli jest tu coś, co nie należy do nikogo, a zechcę to mieć, to po prostu wezmę. Weksle, pieniądze, czek i karty kredytowe nie mają wzięcia w tych dniach, jak mi się zdaje.

– My jesteśmy Strażnikami!

– Jak to miło. Czego „Strażnikami” jesteście?

Gdy zadawał pytanie, słyszał, jak Natalie próbuje szeptać do niego. Odchylił się od kierownicy i uchwycił jej głos:

– John, z tyłu... sześcioro z nich zbliża się do nas.

– Jesteśmy Strażnikami...

– Mów do mnie jeszcze! – rzekł Rourke. – Myślę, że wszyscy ześwirowaliście.

Nagle pochylił się do przodu, napinając wszystkie mięśnie ciała. Jego głos złagodniał, gdy zawołał do wszystkich młodych mężczyzn i kobiet:

– Ilu z was ma takie plamy na twarzy jak on? Albo gdzie indziej na ciele?

Z grupki otaczającej przywódcę wysunęła się jakaś dziewczyna. Rourke zauważył trądzikowo-podobne plamki na obu jej policzkach i szyi i.

– Kim jesteś? – zapytała go.

Szóstka z tyłu zbliżała się coraz bardziej. Mógł ich teraz dojrzeć kątem oka.

– Gdzie byliście, gdy zaczęła się wojna? – spytał powoli.

– Czy byliśmy blisko wybuchu, o to ci chodzi? – niemal ze śmiechem zapytała dziewczyna, a jej zmrużone ciemne oczy błysnęły jakoś dziwnie.

– Byliśmy – zaczął pryszczaty przywódca. – I wiemy, co nam dolega. Ale mamy obowiązek stać tutaj na straży – oto nasze zadanie.

Dziewczyna przystanęła obok i podjęła wątek:

– Byliśmy na wycieczce klasowej. Kiedy w autokarze skończyła się benzyna, przyszedliśmy tutaj, lecz nikogo już nie było. Wiedzieliśmy, gdzie znaleźć broń i od tamtej pory patrolujemy miasto. Wiemy, że mamy chorobę popromienną, że jesteśmy umierający. Ale będziemy strzec miasta, aż powrócą nasze rodziny. Robimy to dla nich.

Rourke obrzucił spojrzeniem szóstkę, która znajdowała się teraz zaledwie kilka stóp za nim i Natalie.

– Co będzie, jeśli oni nie wrócą? – spytał bez pośpiechu.

– Będziemy strzec tego miasta, dopóki ostatni z nas nie umrze – beznamiętnie odpowiedziała dziewczyna.

– Wszyscy, którzy mają takie rany, są umierający. Umrzecie szybko i w męczarniach – powiedział jej John.

– Wiemy! – odkrzyknęła, a jej głos zabrzmiał przenikliwie.

– John! – zasyczała Natalie wprost do ucha Rourke’a.

– Wiem – mruknął, chwytając wzrokiem szóstkę, która za ich plecami przysposabiała broń. Odwrócił się do przywódcy i zapytał:

– Czego od nas chcecie? Puśćcie mojego przyjaciela, a pojedziemy swoją drogą.

– To ludzie tacy jak wy, ludzie przemocy, ludzie bez własnego domu czy miasta, to wy wszczynacie wojny. Zaslugujecie na śmierć! – krzyknął przyszczaty.

– Jeśli wszyscy tak myślicie, to jesteście szaleni – powiedział cicho Rourke. Obserwował przywódcę, lecz kątem oka widział młodego mężczyznę pilnującego Rubensteina, jak robi krok do tyłu i unosi bagnet do gardła. Usłyszał krzyk Paula:

– John!

– Przepraszam – powiedział cicho, chociaż czuł, iż nikt go nie słyszy i nacisnął dwukrotnie spust CAR-15, ścinając młodzieńca z bagnetem.

Lewa ręka Rourke’ego przemknęła wzdłuż ciała, wyszarpując detonika, kciuk odwiódł kurek, gdy tylko broń wyskoczyła z uprząży Alessi. Wskazującym palcem lewej ręki posłał pocisk, który ugodziwszy przywódcę między oczy, rzucił go w gromadkę zebranych za jego plecami.

John chciał coś krzyknąć do Natalie, ale gdy odwrócił się, zobaczył, że zsiadła już z motoru i w przysiadzie z obiema dłońmi na pythonie, strzelała do szóstki napastników zbliżających się od tyłu.

Ruszył naprzód, wsunął detonika za pasek spodni i zastąpił w lewej ręce chromowanym stingiem. Gdy dotarł do Rubensteina, przeciął obustronnym ostrzem noża więzy na lewym nadgarstku, potem na prawym, i wręczył mu „czterdziestkę piątkę”.

Paul, ciągle na kolanach, spojrzał w górę krzycząc:

– To tylko dzieci, John!

Rourke zagryzł dolną wargę i powiedział:

– Na Boga! Wiem, do cholery!

Trzech dobrze uzbrojonych młodzieńców poderwało się w stronę doktora. Uniósł więc CAR-15 i otworzył ogień, ścinając ich na ziemię. Zerknął na Rubensteina. Właśnie kończył z wyglądającym na osiłka osiemnastolatkiem przy swoim motorze. Natalie przeładowywała pythona i ponownie uniosła go do strzału, lewą ręką odgarniając włosy z twarzy. I wtedy, na chwilę, John znalazł się z dala od walki na śmierć i życie z gangiem żądnych krwi dzieciaków, umierających od zabójczej dawki promieni radioaktywnych. Był z powrotem w Ameryce Łacińskiej. Broń, którą trzymała Natalie, nie była pythonem, lecz SMG. Włosy były blond, ale gesty, postawa, spojrzenie oczu – chociaż nie były błękitne w tamtych dniach – były dokładnie te same.

Z prawej strony rozległa się trzystrzałowa seria i Rourke skierował tam wzrok. Zobaczył Paula prążącego z niemieckiego MP-40, „schmeissera”, pod nogi trzech kolejnych napastników. Nie powstrzymało to młodzików i Rubenstein z wyraźną niechęcią ponownie uniosł lufę SMG i strzelił. John odwrócił się do Natalie. Wiedział już, że nie było to jej imię. Pistolet w jej rękach milczał. Rourke rozejrzał się wokół, muszka jego CAR-15 zakreśliła koło w powietrzu. Były tylko ciała, nikogo żywego. Doliczył się dziesięciu zabitych, co oznaczało, że co najmniej piętnaścioro była jeszcze gdzieś w pobliżu.

Po chwili Paul stanął przy nim. Dziewczyna, która nazywała samą siebie Natalie, odwróciła się do niego twarzą. Odezwała się pierwsza.

– Zaczynałam już myśleć, że nigdy się nie zdecydujesz. Wiem, dlaczego zwlekałeś. Wydaje mi się, że szybciej od ciebie zorientowałam się, że oni wszyscy umierają na chorobę popromienną.

Rourke popatrzył na swój motocykl i odbierając od Rubensteina „czterdziestkę piątkę”, powiedział do dziewczyny:

– Pamiętam, gdzie cię wiedziałem. W Ameryce Południowej, kilka lat temu. Byłaś wtedy

blondynką, myślę, że miałaś zielone oczy. Ale to byłaś ty. Szklą kontaktowe?

Popatrzył na nią zdejmując okulary i zakładając je ponad czołem na włosy. Zmrużył oczy porażone południowym słońcem.

– To były szklą kontaktowe – przytaknęła. – Co teraz?

– Mówisz o tym, czy o moich wspomnieniach o tobie? – spytał spokojnie John.

– O obydwu tych rzeczach.

– Trzymajmy się na razie tego, o inne rzeczy pomartwimy się później. Potrzebujemy zaopatrzenia.

Wygląda na to, że z jakiegoś powodu miasto zostało opuszczone. Możliwe że, gdy się dobrze rozejrzemy, znajdziemy to, czego nam potrzeba. Nadal musimy wystrzegać się tych dzieciaków.

– Nie mogę tego zrozumieć! – Paul nieomal krzyknął.

– Czego? – spytał Rourke.

– Zabiliśmy właśnie dziesięcioro porządnych dzieciaków, przynajmniej na takich wyglądali. Co się dzieje?

– Czasem, gdy ludzie zdają sobie sprawę z tego, że umierają, reagują tak, jakby przestali być sobą – zaczął Rourke. – Te dzieciaki były na tyle cwane, by zorientować się, co się z nimi dzieje i zogniskowały całą energię, wszystkie myśli, na pilnowaniu tego miasta. Rodzaj wyrachowanej, masowej hysterii. Nie przejmowali się tym, że jest to zupełnie irracjonalne, niemożliwe, nawet jeśli wiedzieli, że miałem rację mówiąc, iż nikt po nich nie przyjdzie. Możliwe, że gdy któreś z nich spostrzegło co się stało, a inni rozpoznali u siebie podobne symptomy, zawiązali coś w rodzaju paktu. Małolaty lubią takie rzeczy – pakt, przysięgi krwi... Rubenstein zapatrzony w ziemię, powiedział:

– Ta przeklęta radioaktywność! Tylko dlatego, że byli w złym miejscu o złym czasie. Zamiast nich mogliśmy to być my.

– To ciągle możemy być my – rzekł doktor przyciszonym głosem ponownie zakładając ciemne okulary. – Kiedy ostatni raz sprawdzałeś licznik Geigera?

– Czasem wydaje mi się, że byłoby lepiej, gdybyś nie mówił wszystkiego bez ogródek – powiedziała Natalie chowając rewolwer do kabury.

## ROZDZIAŁ XXVII

Rourke siedział przy małym piecyku Coleman, znad żółtego kociołka unosiła się para. W lewej dłoni trzymał czerwone opakowanie „Mountain House”, w prawej – znalezione łyżkę stołową. Pogrzebał nią w konserwie, wypełnioną włożył do ust i oparł się plecami o tylny zderzak pickupa.

- Uwielbiam ten ich beef strogonoff – zamruczał pod nosem.
- Ta papka nie wygląda zachęcająco, ale smakuje wybornie – rzekł Rubenstein.
- Co tam masz, Paul? – spytał John.
- Kurczak w ryżu – odrzekł tamten bełkotliwie z ustami pełnymi jedzenia.
- Następnym razem spróbuj tego, makaron też jest doskonały.

Natalie, nie przerywając, mieszała zawartość swojej puszki, spojrzała na Rourke’a poprzez blask lampki Coleman, znajdującej się między ich trojgiem, i powiedziała:

- Hmm, znaleźliśmy żywność, mnóstwo wody, benzynę i czterokołowego pickupa. Co dalej?

John pochylił się i patrząc na pełną łyżkę oddaloną o cal od jego ust powiedział:

- Nie zapominaj, że znaleźliśmy cygara dla mnie i papierosy dla ciebie.
- Ten facet miał dobry pomysł, by ukryć towar pod podłogą magazynu – podsumował Rubenstein, wciąż z pełnymi ustami.

– Tak. Jaka szkoda, że najprawdopodobniej nie będzie miał szansy z tego skorzystać. – Rourke westchnął i błyskawicznie pochłonął zawartość łyżki.

- Nie rozumiem tego miasta – powiedziała dziewczyna. – Dlaczego nie było tu bandytów?

– Cóż... – zaczął John.

- Dlaczego i gdzie przepadli wszyscy ludzie, którzy tu mieszkali? – mówiła dalej.

Popatrzył na nią, nabrał na łyżkę kolejną porcję i zaczął jeszcze raz:

– Otóż, jak to sobie wyobrażam, wszyscy po prostu się ewakuowali, nie wiem dokąd. Kiedy pokazały się te dzieciaki i zaczęły strzelać do wszystkiego, co się rusza, przyszło mi do głowy, że straż przednia bandy, jeśli pojawiła się tutaj, została wybita i nikt nie wrócił z raportem. Są dwa rodzaje polowych dowódców. Ktokolwiek przewodzi tym bandytom prawdopodobnie nie jest typem faceta, który wysyła na pewną śmierć oddział swych ludzi tylko po to, by zaspokoić osobiste ambicje. Objechał miasto, może nabrał przekonania, że tutejsi są zbyt dobrze uzbrojeni. Oznacza to, że jest sprytny. Nie ma zamiaru podbijać terytorium i utrzymywać go, lecz zwyczajnie prowadzi swych ludzi z miejsca na miejsce, gdziekolwiek, byle można coś splądrować. Przypuszczam, że znajduje się teraz raczej w niepewnej sytuacji. Może ich być kilkuset, bez żadnej dyscypliny, chlejących co tylko wpadnie im w łapy i przez większość czasu pozostających pod wpływem narkotyków. To tak, jakby ktoś chciał kontrolować gang goryli-alkoholików. Albo bardziej

stereotypowo: Wikingów. Nadchodzą i uderzają, zyskują sobie opinię brutali, ukrywają się lub szybko wycofują, grabiąc wszystko, co nie było na stałe przytwierdzone do podłoża.

– Są więc cały czas przed nami – bardziej stwierdziła, niż zapytała dziewczyna.

– Tak. I prawdopodobnie szykują się do dużej bitwy. Nie przejmowałbym się tym. Tak czy inaczej wpadniemy na nich – podsumował Rourke kończąc posiłek. Opakowanie wrzucił do torby w bagażniku półciężarówki.

– Dlaczego pchasz się w to wszystko? – zapytała dziewczyna, patrząc na niego z powagą.

– Co, mam rzucić to tak po prostu? Wystarczająco już ten kraj zrujnowano, po co dewastować dalej? – Rourke sięgnął do kieszonki w koszuli, wyciągnął cygaro i zapalił je.

– Ja też... Podaj mi zapalniczkę – rzekła dziewczyna.

John Rourke zamknął zawór i wręczył jej. Przez chwilę oglądała ją były na niej inicjały: L. T. R. Obróciła ją w dłoni i przypaliła papierosa. Potem zgasła płomień, jeszcze raz ją obejrzała i rzuciła mu z powrotem.

– Tobie także zaczyna świtać? Przypominasz mnie sobie?

– Nie wiem, co masz na myśli – odpowiedziała Natalie uśmiechając się.

– Hej! – wesoło zagadnął Rubenstein. – Dlaczego nie mielibyśmy się napić? Mogę przynieść jedną butelkę. Mamy w ciężarówce sześć. Gdzie je położyłeś, John?

– Z przodu po prawej – odrzekł doktor nie patrząc na niego, lecz przyglądając się ciemnowłosej, błękitnookiej dziewczynie, której twarz jaśniała w przyjemnym blasku lampy. – Tam, z przodu mojego motocykla. Owinąłem je w stary ręcznik.

Odwrócił wzrok od dziewczyny i zerknął w stronę ciężarówki.

Znaleźli magazyn, gdy zapadały już ciemności i Paul – specjalista od wyszukiwania różnych rzeczy – odkrył drzwi prowadzące do małej sutereny pod główną podłogą. Używając jednej z latarek, które zabrali w Albuquerque ze sklepu z osprzętem geologicznym, John zszedł na dół i odkrył skrytkę z oprowiantowaniem. Cała amunicja była do 308-ki i zostawił ją, gdyż dodatkowe pestki do steyra nie były mu potrzebne. Ale olbrzymi zapas mrożonek i suszonej żywności „Mountain House”, woda i benzyna, były bardzo mile widziane. Zabrali stosunkowo niewiele, pieczętując za sobą drzwi, na wypadek gdyby prawowity właściciel żył jeszcze. Pół godziny później znaleźli pickupa i zdecydowali się go zabrać wraz z dodatkowym zaopatrzeniem. Kluczyki były w środku.

Dziewczyna stała na straży przed magazynem, a Rourke i Rubenstein pakowali towar do pickupa. Najtrudniejszą rzeczą było załadowanie harleya i zabezpieczenie go.

Nie było żadnego śladu skazanych na zgubę, szalonych „Strażników”, z którymi mieli wcześniej potyczkę. Gdy ruszali we trójkę, zapadały już ciemności. Dziewczyna odezwała się do Johna:

– Jesteś lekarzem. Czy nie można w żaden sposób im pomóc?

– Miłosiernie dobić? – spytał cicho. Bo poza tym nie można zrobić nic. Gdybym miał do dyspozycji szpital i kilku specjalistów od medycyny nuklearnej, moglibyśmy zaopiekować się nimi i może przedłużyć im życie o kilka tygodni. Ale rezultat byłby ten sam. Im dłużej będziemy jechać, tym większe będzie prawdopodobieństwo, że spotka nas to samo.

Jechali w milczeniu, czasem Rubenstein zaczynał pogwizdywać jakąś smutną melodię, której Rourke nie potrafił zidentyfikować. Po pewnym czasie zgasił przednie światła pickupa. Przez następnych siedem mil – i dalej, gdy skręcił w pustynię – tylko światło księżyca rozjaśniało im drogę.

John cofnął się pieszo do drogi i starannie zatarł ślady na piasku. Kiedy wrócił, Paul jak zwykle

zapytał go, dlaczego to zrobił. Odrzekł jedynie:

– Mam zamiar spać tej nocy z zamkniętymi oczami. Może się uda.

Rubenstein przywłókł kanciastą butelkę Jacka Danielsa z czarną etykietką i Rourke pociągnął mocny łyk, opierając się o tylny zderzak pickupa. Patrzył na dziewczynę, jak pije i wręcza flaszkę Paulowi. Powiedział:

– Przypominasz sobie mnie teraz?

Potrząsnęła tylko głową, odgarnęła włosy gestem, który sprawił, że ponownie zobaczył ją młodszą o kilka lat. Wypiła jeszcze łyk, Rubenstein także.

John na przemian zerkał na gwiazdy nad głową i na zegarek, wziął jeszcze tylko jeden łyk. Gdy drugie cygaro, którego rozżarzony koniec obserwował, wypaliło się w jego palcach niemal do cna, odwrócił się zaniepokojony. Paul chrapał, a leżąca obok niego butelka była do połowy opróżniona. Przez twarz Rourke'a przemknął uśmiech.

– Muszę ci ufać – zaczęła mówić dziewczyna wstając. Chwiała się odrobinę, kiedy okrążyła lampkę. Usiadła na ziemi obok niego.

– Dlaczego to mówisz? – rzekł, gdy podniosła butelkę i pociągnęła z niej. Zaproponowała i jemu. Przetarł rękawem szkło, wziął małego tyka i oddał butelkę.

– Ufam... Ufam ci, gdyż w przeciwnym wypadku nie pozwoliłabym sobie upić się przy tobie. Musisz mi obiecać – wyszeptała pochylając się ku niemu z uśmiechem – że jeśli zacznę gadać, nie będziesz słuchał, to znaczy, kiedy powiem coś osobistego czy coś w tym rodzaju.

Przysunęła się do niego, obrócił ku niej twarz. Pocałowała go w usta.

– Tutaj, Panie Cnotliwy – zaśmiała się. – Chyba nie bolało, prawda?

Rourke spojrział jej w oczy, zapadł się w nie, w ich piękno i smutek, w głębię ich błękitu.

Wyszeptał:

– Nie. Nie bolało. Problem w tym, że było zbyt dobre. Cisnął niedopałek cygara na ziemię i kopnął go obcasem buta. Oplótł dziewczynę ramionami i przycisnął jej głowę do piersi. Przez chwilę czuł bicie jej serca, wolne i współbrzące z jego własnym. Podniósł wzrok na gwiazdy. Kobiece ciepło w jego ramionach pogłębiało tylko poczucie samotności. Był ciekaw, co było tam, między gwiazdami. Czy był inny świat, gdzie mężczyźni i kobiety nie byli na tyle głupi, by zniszczyć wszystko, tak jak zrobiono to tutaj? Dziewczyna poruszyła się w jego ramionach i zamknęła oczy. Jej oddech, jego regularność, ciepło jej ciała, pośród zimnej pustyni... Otworzył oczy. Odetchnął ciężko i spojrział na nią w świetle lampki. Ułożył jej głowę na zrolowanym kocu i wstał z zamiarem wyłączenia lampki. Popatrzył jeszcze w zapadającym mroku na jej profil i zacisnął pięści. Był człowiekiem, który krzyczał tylko w duchu, po cichu. Tym razem wykrzyknął imię – Sarah!



## ROZDZIAŁ XXVIII

Sarah Rourke ostrożnie wspięła się na siodło. Brzuch ciągle jeszcze ją bolał, szczególnie gdy poruszała się zbyt gwałtownie lub gdy się schylała, ale bóle traciły na intensywności. Na kolację poprzedniego wieczora prawie nic nie zjadła i tego ranka nie miała nudności, do których zdążyła się przyzwyczaić. Po przebudzeniu znaleźli, dzięki Michaelowi, wygodne miejsce na obóz, najbliżej jak było można miejsca, gdzie spędzili noc po jej omdleniu. Z trudem zdołała dosiąść konia. Michael poprowadził go i jakoś sobie poradzili.

Gdy teraz prostowała się w siodle, pomyślała o synu i tych kilku dniach, kiedy po wypiciu skażonej wody była zupełnie bezradna. Chłopiec był dla niej źródłem nieustającego zdumienia. Kiedy tak leżała kompletnie bezsilna, z bólami brzucha, nudnościami, zastępował jej ręce i nogi, przygotowywał posiłki sobie i dziewczynkom, poił i karmił konie. Raz, po drugiej stronie zalesionego obszaru, gdzie się znajdowali, rozległy się hałasy i krzyki. Michael przyniósł automatyczny pistolet, zabrał dziewczynki i czekał przy jej boku, aż hałasy ucichną.

Obróciła się w siodle i spojrzała na chłopca.

– Jesteś najlepszym synem, jakiego można sobie wymarzyć, Michael! – zawołała, lecz jej głos nie brzmiał jeszcze dobrze.

– Dlaczego to powiedziałaś, mamó? – rzekł chłopiec uśmiechając się do niej. Brązowe włosy opadły mu na czoło.

– Po prostu chciałam i powiedziałam.

Zbyt gwałtownie poruszyła kolanami i bóle zaczęły wracać, lecz wyprostowała się w siodle, a Tildie ruszyła w drogę do Tennessee.

# ROZDZIAŁ XXIX

Rourke zatrzymał się gwałtownie i wsparł nogami o ziemię. Poranne słońce przypiekało niemiłosiernie. Przymrużył oczy, mimo iż miał na nosie ciemne okulary. Twarz i ciało pod ubraniem miał złane potem. Zsunął z ramienia ramię od CAR-15 na koszuli pozostała wilgotna plama. Przejechał kawałek cofając się, aż natknął się na ślad poprzedniej straży sił paramilitarnych. Przez zdobyczną lornetkę polową zobaczył twarz oficera, którego spotkali razem z Rubensteinem kilka dni wcześniej przy opuszczonej przyczepie ciężarówki, gdy zaopatrywali się w amunicję.

Jednostka składała się w przybliżeniu z trzystu czterdziestu ludzi, podróżujących jeepami i ciężarówkami uformowanymi w nierówną kolumnę. Dokoła niej uganiały się zakurzone motocykle, wzdłuż, z tyłu i z przodu konwoju, jak pasterze popędzający bydło czy owce.

Z zegarkiem w ręku obliczył, że poruszają się z prędkością około 50 mil na godzinę i nie było powodów przypuszczać, że nie są w stanie w takiej sile przemieszczać się przez 14 lub więcej godzin, tak długo, jak tylko mieli światło dzienne.

Potem Rourke pomknął z powrotem, opuszczając konwój kilka godzin od miejsca, gdzie zostawił Paula Rubensteina i dziewczynę, nazywającą siebie Natalie. Teraz, gdy obserwował drogę poniżej, tuż przy zakręcie na autostradę, zobaczył bandziorów.

Były tam ponad dwa tuziny osiemnastokółowych ciężarówek jadących w czterech rzędach, pochłaniając całą szerokość jezdni. Oddziały motocyklistów ubezpieczały kolumnę z przodu, z tyłu i po bokach. Wszyscy byli dobrze uzbrojeni. Choć oczywiście nie miał sposobu, by określić liczbę osób podróżujących w ciężarówkach, ocenił siłę bandytów na ponad czterystu mężczyzn i kobiet. Coś podszeptywało mu, że poruszają się w kierunku Van Horn, z przybliżoną prędkością 40 mil na godzinę.

Uśmiech zagościł na ustach Rourke'a lecz zniknął szybko. Na jego oczach kolumna bandziorów zaczęła zjeżdżać z drogi, zmieniając szyk w jeden długi szereg i zagłębiła się w pustyni.

– Kurwa! – mruknął odsuwając lornetkę i popatrzył na ręce. Zmiana kierunku jazdy przez bandę spowoduje, że ciągle będą przed nim, podczas gdy siły paramilitarne będą za nim. Rourke przewiesił CAR-15 przez prawe ramię i uruchomił motor. Zdał sobie sprawę, że wskutek zmiany kursu przez bandę, gdziekolwiek by się nie udał, szansę przeżycia spadły niemal do zera.

# ROZDZIAŁ XXX

Rourke wyjechał wcześniej rano, obudziwszy skacowanego Rubensteina, by zapoznać go ze swymi zamiarami. Dziewczynie pozwolił spać dłużej. Teraz, zwalniając bieg harleya i wjeżdżając do ukrytego obozu, gdzie zaparkowali samochód, zastał Paula siedzącego przy piecyku Coleman z kubkiem kawy w dłoniach, bez okularów. Natalie stała przed pickupem i zatrzymując motor widział tylko jej plecy.

– Nie poznałem cię bez okularów – powiedział do Rubensteina, uśmiechając się.

– Zgaś silnik, dobra? Moja głowa...

John zaśmiał się wyłączając silnik i zsiadł z motoru. Podszedł do kompana. Oparł CAR-15 o zderzak pojazdu i przysiadł obok Paula, nalewając sobie do kubka kawy.

– Co z nią?

– Co? Aa... nie wiem. Zachowuje się tak, od kiedy się obudziła i stwierdziła, że ciebie nie ma – odpowiedział drżącym głosem Rubenstein.

– I co odkryłeś, John?

Rourke podniósł głowę. Dziewczyna stała z rękami na biodrach i lekko rozstawionymi stopami, zadarła nieco głowę, wzrok wbiła w niego.

– Wyglądasz czarująco tego ranka – powiedział. I dodał: – Odkryłem bataliony paramilitarne kilka godzin za nami, zaś bandytów kilka godzin przed nami, także dużą grupę. Nawet większą od paramilusiów. Jeśli wpadniemy na tych ostatnich, dostaniemy w łeb. Paul i ja mieliśmy spotkanie z jednym z ich patroli, zanim natknęliśmy się na ciebie. Oficer, który dowodził tamtą ekipą jest pośród tych, których widziałem. Jeśli nas zobaczy, jesteśmy martwi, i prawdopodobnie ty też awansujesz na truposza dzięki naszemu towarzystwu. Są teraz nieco na południowy zachód od nas i poruszają się drogą na północny wschód. Bandyty natomiast przemieszczają się na południowy zachód i, gdyby jechali dalej, musieliby wjechać prosto na paramilusiów, ale nagle skręcili na pustynię. Możliwe, że zatrzymają się na tym terenie przez chwilę.

– Co więc zrobimy? – zapytała dziewczyna.

– Nie możemy jechać na południowy zachód i wjechać na paramilusiów. Musimy zaryzykować starcie z bandą.

Rubenstein przecierając oczy rzekł:

– A jeśli wpadniemy na nich, co wtedy?

– Hmm... – rzekł Rourke powoli, patrząc w swoją kawę. – Obiecaliśmy tamtej kobiecie z uchodźcami, że rozejrzemy się za blondasem, który zabił jej dziecko. Sądzę, że możemy to zrobić, a potem się zmyć.

– Ilu jest tych zbirów? – spytała Natalie z napięciem w głosie.

– Więcej niż cztery setki, według mnie. Ale nie możemy po prostu tutaj zostać, znajdą nas paramilitarni. Według mnie w przeciągu kilku dni obydwie jednostki powinny zewrzeć się ze sobą. Wydaje się to nieuniknione z powodu ich liczebności – nie przegapią się nawzajem. Wtedy może uda się nam wydostać z tego obszaru.

– Ale co będziemy robić, zanim do tego dojdzie? – zapytał Paul.

– Będziemy starali się unikać bandytów i spróbujemy ich ominąć, jeśli będziemy w stanie. Jeśli nie, pozostanie nam jeszcze jedna możliwość: przyłączyć się do nich.

– Co?! – wrzasnął Rubenstein.

Rourke zapalił cygaro i oparł się plecami o ciężarówkę.

– Nigdy nas nie widzieli, a większość z nich to motocykliści poruszający się dwójkami lub trójkami, którzy dołączają po drodze. Zwyczajna zbieranina.

– A co, jeśli tego nie kupią? – spytała dziewczyna głosem wypranym z emocji.

– Wtedy my to kupimy – odpowiedział dobitnie Rourke i pociągnął z kubka łyk kawy.

# ROZDZIAŁ XXXI

Dwie puste paczki papierosów „Pall Mall”, zmięte na małym stoliku obok fotela, szklana popielniczka pełna niedopałków... Samuel Chambers w poluzowanym krawacie, bez marynarki, mrużył oczy przed żółtym światłem lampy na biurku. Zerknął na zegarek. Konferencja trwała bez przerwy, dłużej niż oczekiwał. Przyszło mu na myśl, że jeśli właśnie tak wygląda bycie prezydentem Stanów Zjednoczonych, to łatwo zrozumieć, dlaczego ta robota tak postarzała każdego z jego poprzedników.

– Jak sobie pościelesz... – mruknął do siebie, zapalając kolejnego papierosa i pragnąc zniwelować niesmak w ustach.

Popatrzył na uwagi, jakie poczynił w swoim notesie, zastanawiając się w duchu, jak to będzie działało, choćby kraj miał być sklecony tylko prowizorycznie. Część Luizjany i cały Teksas zostały połączone w jeden dystrykt stanu wyjątkowego. Soames, dowódca oddziałów paramilitarnych – Chambers nie lubił tego mężczyzny i nie ufał mu – miałby zająć się sprawami wewnętrznymi, jako że dysponował pokaźną siłą i miał możliwość rekrutacji nowych ludzi. Pułkownik sił powietrznych, Darlington, mógłby użyć swoich oddziałów i sił marynarki do zabezpieczenia granicy, korzystając z pomocy magazynów Gwardii Narodowej. Gwardia Narodowa – niewielka formacja, będzie mogła funkcjonować jak tradycyjne jednostki armii, lecz poza obrębem tego „jądra” narodu. Będzie mogła wykonywać potajemne operacje wojskowe przeciw sowieckim najeźdźcom, a także, co najważniejsze, będzie usiłowała przywrócić linie komunikacyjne z cywilnymi bądź wojskowymi władzami w innych rejonach kraju.

Chambers uśmiechnął się gorzko. Zbyt wielkim był realistą, żeby udawać, iż nie było w tym samym czasie nikogo oprócz niego, kto nazywałby siebie prezydentem Stanów Zjednoczonych lub przynajmniej uzurpował sobie zakres władzy nadawanej przez ten urząd. Próbował wmówić sobie, przekonać samego siebie, że to zadziała.

– Nie wierzę – wymamrotał i zapalił następnego papierosa.

Gdy nadejdzie świt, odbędzie wojskowy lot do Galveston, by osobiście sprawdzić plotki o sowieckiej obecności w tym mieście. Przy okazji załatwi kilka osobistych interesów.

Wszyscy jego doradcy byli przeciwni tej podróży. Możliwe, zreflektował się, że był to pierwszy raz, gdy mógł się poczuć prezydentem. Uważnie wysłuchał tego, co mówili, zadawał pytania, wyjaśnił swoje powody i wbrew nieodpartej logice doradców twardo obstawał przy swoim. Chciał jeszcze raz zobaczyć Galveston.

## ROZDZIAŁ XXXII

Rourke nie uchwycił nazwy miasta, które dopiero co on, Natalie i Rubenstein minęli. Tam, gdzie powinno być widoczne centrum, były tylko rozległe smugi czarnego dymu, przecinające niebo. Wyglądało to tak, jakby żadnego miasta już tam nie było, pomyślał John. Gdzieś daleko rozległ się dźwięk strzałów, zupełnie jak głosy z tamtego świata. Rourke odruchowo zakwalifikował ten odgłos jako strzały, ale równie dobrze mogły to być ludzkie krzyki lub szum wiatru. Bandyci zawrócili z pustyni wczesnym rankiem, lokując ich troje – jak nadzienie w kanapce – między sobą i paramilitarnymi oddziałami oddalonymi od nich o dzień marszu lub mniej.

Rourke zahamował jasnobłękitnym pickupem na szczycie wzniesienia i wiedziony wieloletnim przyzwyczajeniem obejrzał się przez ramię, zwracając głowę na północny wschód, mimo że przecież nie było żadnego ruchu.

Wyłączył silnik i wysiadł, przeciągając się po długiej jeździe i obserwując ciemne chmury nadciągające z północnego-zachodu. Wietrzyk, który jeszcze rano był gorący, teraz stał się diabło zimny. Przeniknął go dreszcz, gdy podszedł na skraj jezdni i zza barierki przy drodze przyglądał się zgliszczom miasta. Poniżej poziomu dymu unosiła się wielka chmura pyłu, pozostawiona przez pojazdy – bardzo wiele pojazdów, pomyślał Rourke.

– Są tam w dole?

John odwrócił się zaciskając prawą dłoń na kolbie pythona na biodrze. Popatrzył na Natalie.

– Tak. Są tam, tak jak przewidywaliśmy. I założę się, że paragliny nie są daleko za nami. Myślę, że teraz albo nigdy.

– Co zatem, jeśli nigdy? – rzekł Rubenstein z wymuszonym uśmiechem, wychylając się przez otwarte okno od strony pasażera.

– On ma rację, to znaczy John – zgłosiła swe poparcie Natalie. – Lepiej przyłączyć się do bandy, niż dać się złapać między nich i paramilitarnych.

– Jedźmy na dół i przedstawmy się – powiedział doktor miękko, zawrócił do pickupa i wspiął się na siedzenie kierowcy. Zapalił silnik i znowu, z powodu wykształconego przez lata nawyku, obejrzał się przez lewe ramię, by sprawdzić, czy coś nie nadjeżdża. Nie mogłoby, pomyślał racjonalnie i wjechał na autostradę.

Rourke sięgnął do talii i próbował odpiąć pas ładunkowy. Obrócił się i spojrzał na dziewczynę. Poczuł jej rękę na brzuchu i widział, jak niewygodnie wykręca się na siedzeniu między nim a Rubensteinem. Odpięła sprzączkę. Pochylił się do przodu, by mogła zsunąć pas.

– Znowu chcesz mnie uzbroić? – spytała.

– Tak. To może być wskazane – odrzekł. – Znakomicie radziłaś sobie z pythonem ostatnim razem.

Byłoby grzechem nie wykorzystać takiego sukcesu.

Dziewczyna ponownie zapięła pas Ranger Leather, przewieszając go diagonalnie przez ciało. Olstro z sześciocalowym metalizowanym rewolwerem Magnum 357 wspierało się po lewej stronie o jej kość biodrową, ładownica z zapasowymi pestkami przechodziła między piersiami. John powrócił wzrokiem na drogę, słysząc szczęk niemieckiego MP-40 sprawdzanego właśnie przez Rubensteina, który uparcie nazywał go „schmeisserem”.

Rourke uniósł barki czując ciężar bliźniaczych detoników, nierdzewnych „czterdziestek piątek”, tkwiących w podwójnej uprzęży Alessi, a potem sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął cygaro. Wyłowił zapalniczkę z lewisów. Dziewczyna wyjęła ją z jego rąk i zapaliła mu cygaro, trzymając żółty płomień zippo dokładnie pod koniuszkiem cygara, tak że płomień mógł je zaledwie muskać.

– Gdzie nauczyłaś się zapalać cygara? – spytał kiwając w podzięce głową.

– Mój ojciec palił – rzekła dziewczyna zamykając zapalniczkę i oddając mu ją.

– Co jeszcze robił twój ojciec? – zapytał Rourke przesuwając cygaro w lewy kącik ust, trzymając je między zębami i robiąc zwrot kierownicą przy zjeździe z autostrady.

– Był doktorem, doktorem medycyny – odpowiedziała dziewczyna – tak jak ty. Gdy byłam małą dziewczynką, zawsze wyobrażałam sobie, że jak dorosnę, będę jego pielęgniarką. Ale umarł, kiedy miałam osiemnaście lat.

Jej głos zabrzmiał obco i inaczej niż ten, do którego się przyzwyczył.

– Przykro mi – rzekł cicho.

– Sądzę, że czas czyni z nas wszystkich sieroty, już tak jest – powiedział Paul głosem brzmiącym tak, jakby zwracał się bardziej do siebie niż do Rourke’a czy dziewczyny. John odwrócił się do niego w milczeniu.

– Patrzcie tam! – krzyknęła nagle dziewczyna Rourke rzucił okiem wzdłuż drogi, na lewo. W pewnej odległości – musiał to być stadion lekkoatletyczny – zobaczył krąg ciężarówek i kilka tuzinów motocykli. Wszystko to powoli się poruszało, wypełniając powietrze kurzem. Ponad hałasem wywołanym przez silniki maszyn rozlegały się strzały i John znowu usłyszał coś, co brzmiało jak krzyki dochodzące spoza zamkniętego kręgu pojazdów.

– Co tam się, do cholery, dzieje? – spytał Rubenstein.

– Myślę, że wiem – stwierdziła dziewczyna.

– Prawdopodobnie przekształcili swoje masowe egzekucje w rodzaj rytuału; doprowadzają się do szału przed dokonaniem zbrodni i równocześnie przerażają ofiary.

Podczas gdy Rourke mówił, ciężarówki zaczęły zwalniać, a kurz opadał. – I wygląda na to, że są gotowi do tego numeru – dodał.

– Nie myślałem, że jest tylu szaleńców na świecie – zauważył Paul. Szeroko otwartymi oczami patrzył na ciężarówki i stopniowo zmniejszającą się chmurę pyłu.

– Niektórzy ludzie, może większość ludzi – zaczęła Natalie – nie podchodzą do przemocy emocjonalnie. Są pewnego rodzaju wtórnymi dzikusami, a to pociąga za sobą całą resztę...

Rourke dokończył za nią, skręcając z drogi i wjeżdżając na skraj boiska futbolowego.

– Ujawniają się pierwotne instynkty. Uaktywniają obszary mózgu opanowane przez rytuały i przemoc, aż w pewnym momencie zaciera się granica pomiędzy nimi. Badania nad tym zjawiskiem były przed wojną bardzo zaawansowane. Zwróć uwagę na normalne zjawiska, takie jak inicjacje bractw, gangi uliczne, wszystkie tego typu rzeczy. Przemoc i rytuał ostatecznie przenikają się, tak że jedno nie może istnieć bez drugiego. Jedno pociąga za sobą drugie.

– Na przykład gwałt, Paul – wtrąciła Natalie. – Albo morderstwa na tle seksualnym. Czy celem jest stosunek płciowy, śmierć, cokolwiek, co ujawnia się jako rezultat, czy też działanie jest celem samym w sobie?

– Bezwzględnie, to materiał dla psychopatologa – powiedział Rourke zwalniając bieg pickupa i wjechał między dwiema ciężarówkami do wnętrza kręgu.

Dziewczyna odpięła kaburę wielkiego pythona. Rubenstein odciągnął rygiel „schmeissera”.

– Tylko spokojnie – przestrzegął John zatrzymując auto mniej więcej w środku koła. Przed szoferką znajdowało się może ze czterdziestu ludzi, przeważnie kobiety i dzieci, kilku starszych mężczyzn, niektórzy z nich ciągle jeszcze w pidżamach i koszulach nocnych. Ubrania były poszarpane, twarze brudne, z oczu biło przerażenie.

Rourke wyszeptał:

– Jesteśmy na miejscu. – Przekręcił kluczyk w stacyjce i otworzył na oścież drzwiczki od strony kierowcy. Wszedł na zewnątrz z przewieszonym przez prawe ramię CAR-15, z dłonią na kolbie detonika.

Grupka ludzi z miasta wpatrywała się w niego tak, jakby stanowiła jeden wystraszony organizm. Odwrócił od nich wzrok, miętosząc w kąciku ust cygaro, głowę trzymał podniesioną, nogi lekko rozstawione. Obrócił się i spojrzał za pickupa. Zbliżało się do niego kilkunastu motocyklistów z gangu, niektórzy z kierowców osiemnastokołowców wyskakiwali z szoferek i także kierowali się w jego stronę. John zmrużył oczy i spojrzał w niebo. Od północy nadciągały gęste, brunatnoszare chmury, zasnuwając błękit. Zrywał się wiatr, wzbijając kłęby kurzu wokół jego stóp.

– Kim wy, kurwa, jesteście?

Głos należał do mężczyzny mniej więcej tego samego wzrostu co Rourke, ale ze 40 funtów cięższego, ubranego w ciemnobłękitną bawełnianą koszulę pozbawioną rękawów, których postrzępione końce opadały na potężne ramiona. Drab nosił kaburę typu wojskowego, w której tkwiła automatyczna „czterdziestka piątka” z obciętą lufą. W prawej ręce trzymał karabinek z wydłużonym magazynkiem. Wiatr rozwiewał jego ciemne, przetłuszczone włosy.

– Ja jestem Rourke. To Rubenstein, dziewczyna ma na imię Natalie.

Kątem lewego oka widział Paula, który wynurzając się z kabiny pickupa trzymał niedbale w lewej ręce karabin maszynowy MP-40. Dziewczyna również wyszła z samochodu i stanęła tuż za Johnem.

– Wasze pierdalone nazwiska gównu dla mnie znaczą, facet. Czego tu chcesz?

Rourke westchnął, przesunął cygaro w kącik ust, wypuszczając z nosa niewielką chmurkę szarego dymu.

– Wywinęliśmy się paramilitarnym. Rąbnęliśmy im paru ludzi. Chcieli nas zgarnąć za ciężarówkę na drodze, z której buchnęliśmy trochę pestek i towaru. Przyszło mi do głowy, że może chcielibyście pozyskać kilku takich, co potrafią obchodzić się z bronią. Macie tych sukinsynów nie dalej niż tydzień drogi za sobą, a zostawiliście wiele śladów – i wskazał cygarem przez prawe ramię na grupę ludzi za sobą.

– Mam dość osób sprawnie władających bronią, koleś. Na cholerę byłbyś nam potrzebny?

– Jesteście amatorami, ja jestem zawodowcem. Jestem wart przynajmniej tyle, co trzech twoich gości.

– Gówno prawda – roześmiał się wielkolud. – Rozerwę się nieco, zabijając te wystraszone bubki za tobą, a potem zobaczymy, czy rzeczywiście jesteś taki dobry.



Wielkolud ruszył naprzód, lecz Rourke, przesuwając cygaro w ustach zrobił krok w prawo i zastąpił mu drogę.

– Wiesz – szepnął wydmuchując dym prosto w nos zbira – twoje chłopaki to zwykłe dupki, a ty sam jesteś starym, zwiędłym kutasem.

Bandzior odwrócił twarz purpurową ze złości, jego ręka poruszyła się w stronę kabury. John, znowu szeptem – powiedział:

– No dalej. Z tej odległości nie mogę spudłować – i wysunął lekko do przodu lufę CAR-15. Lufa karabinu niemal dotykała brzucha mężczyzny tuż ponad sprzączkę pasa.

– Widzisz, na razie dość bezkarnie możecie tępić ludność cywilną, ale ostatecznie – nieistotne ilu zabijecie – doprowadzicie ich do tego, że wezmą się w kupę i dobiorą się wam do dupy. Wtedy będziecie mieli na karku ich i paramilasków. Coś takiego przytrafiło się Rzymianom, a dwa tysiące lat później spotkało nazistów, gdy wkroczyli przez Ukrainę do Rosji. Jak wam się spodoba, kiedy za każdą skałą będzie czaił się snajper, pod każdym mostem będą ładunki wybuchowe? To naprawdę może ci się przydarzyć, przyjacielu.

– Czego chcesz? Pytam raz jeszcze.

– Mówiłem ci. Ja i moi przyjaciele chcemy przyłączyć się do was na czas trwania wojny – odrzekł Rourke.

– Jesteś tak dobry jak jakakolwiek trójka z nas, co? – rzekł wielkolud, a uśmiech przemknął mu po twarzy.

John odwzajemnił go i nie wyjmując ogarka cygara z lewego kącika ust – skinął głową:

– Spokojnie.

Zerknął w kierunku wzbierającej watahy bandytów i ich kobiet, może jard za pickupem. Zarejestrował ostrzegawcze spojrzenie Natalie oraz wyraz zmartwienia na zalanej potem twarzy Paula. Nagle mężczyzna krzyknął:

– Ten człowiek o nazwisku Rourke utrzymuje, że jest jakimś wszawym zawodowcem, tak dobrym, jak dowolni trzej spośród nas. Potrzebuję dwóch facetów do pomocy, by pokazać mu, że się myli!

Z grupy wystąpiło więcej niż dwunastu mężczyzn, każdy najmniej tak wielki, jak bandzior stojący kilka cali od Johna.

– Może chcesz sobie wybrać? – powiedział z uśmiechem dryblas.

– Ty jesteś tu szefem? – spytał Rourke.

– Tak, ja tu rządę. Masz coś do tego?

– Nie, nie, nic z tych rzeczy. Byłem tylko ciekaw, czy wyznaczyłeś już swojego następcę.

– Pocałuj mnie...

– Nie przy damie – powiedział John czyniąc zamaszysty gest swoim CAR-15.

Przywódca bandy podniósł głos niemal do krzyku, wszyscy go słyszeli:

– Jeśli Rourke wygra, on i jego ludzie mogą się do nas przyłączyć, a tych tam puścimy wolno – wskazał na skulonych i przerażonych ludzi z miasta. Niektóre dzieci płakały głośno. – Jednak jeżeli przegra – wrzasnął znowu bandyta, rozwalimy go, tego drugiego frajera i tę cipuchnę... ale przedtem wszyscy się z nią zabawimy, jasne?

Wśród mężczyzn, którzy wystąpili do walki oraz wśród tych stojących za nimi, rozległ się rechot.

– Ty ich wybierasz, czy ja? – zapytał John.

– Ja wybiorę – przywódca bandy śmiał się nadal, machając przy tym szeroko rozwartymi

ramionami.

Rourke poczuł na dłoniach i twarzy kropelki deszczu, gdzieś nad nimi po lewej rozległ się grzmot. Słońce zniknęło za ciężką zasłoną burzowych chmur. Wydawało się, że coś zawisło w powietrzu, coś czego można by dosięgnąć i dotknąć.

– Pośpieszcie się, dobra? – powiedział Rourke. – Nie uśmiecha mi się stać cały dzień w deszczu, czekając na was. Pistolety? Noże? Co?

Bonza bandziorów przyjrzał mu się, jego oczy zlustrowały go z góry na dół, po czym rzekł – Walczymy gołymi pięściami. Taco! Kleiger! Do mnie. Reszta odsunąć się, zróbcie nam trochę miejsca!

– Jak masz na imię? Nie biję się z kimś, jeśli nie znam jego imienia.

– Mike.

– Mam syna, który ma imię Michael. Wydaje mi się, że jest twardszy od ciebie – John uśmiechnął się.

Szef gangu odszedł kilka kroków, ściągnął uprząż z piersi, zwinął ją i razem z „czterdziestką piątką” i karabinkiem wręczył komuś w tłumie.

Rourke zabezpieczył CAR-15.

– Natalie! – zawołał chrapliwie, rzucając jej karabin przez dzielące ich około sześć stóp. Dziewczyna złapała go w obie ręce, zawiesiła na prawym ramieniu, chwytając kolbę dłonią i na powrót odbezpieczyła. Następnie odpiął szelki z dwoma pistoletami i podał przez dach kabiny Rubensteinowi.

– Jeśli umrę, są twoje – wyszeptał do Paula.

Mike ściągnął bawełnianą koszulę, ukazując lśniące w zielonkawej poświacie, spocone mięśnie ramion, pierś i kark. Nisko nad ziemią przetoczył się grzmot. Wraz z deszczem zaczął opadać kurz. Powietrze wydawało się teraz świeższe i chłodniejsze.

John również zdjął swoją jasnobłękitną koszulę i schował do kieszeni spodni ukrytego w dłoni stinga. Dziewczyna wyciągnęła lewą rękę i odebrała od niego koszulę.

Rourke podszedł kilka kroków, oddalając się od ciężarówki i zrównał się z czekającymi już na niego zbirami. Za nimi zamknął się nierówny krąg ludzi.

Przywódca z błyszczącymi, roześmianymi oczami krzyknął:

– Kleiger przez kilka lat był instruktorem walki wręcz w komandosach. Taco to ktoś specjalny – od małego tłukł się po barach w Meksyku. Widzisz te blizny? Ja sam zabiłem kiedyś faceta gołymi rękami. Po prostu zgmiotłem mu czaszkę.

– Cóż chłopaki – powiedział doktor łagodnie – za bardzo się tym przejmujecie, a ja chcę dostarczyć wam nieco rozrywki.

– Brać go! – ryknął Mike. Żyłasty facet imieniem Taco i potężniejszy od przywódcy Kleiger ruszyli naprzód, bez pośpiechu, rozluźnieni. Rourke czekał. Kleiger zamarkował niskie kopnięcie, potem okręcił się i zamierzył lewym sierpowym, lecz John zdążył już odsunąć się o krok, wykonał obrót i nogą dosięgnął prawego boku przeciwnika, który stracił równowagę. Rourke zrobił kolejny unik, tym razem przed prawym sierpowym Taco. Cios musnął jego głowę, oszałamiając go na moment i odrzucając w tył. Następnego haka zablokował prawym ramieniem, krótkim lewym dosięgnął splotu słonecznego, a natychmiastowym prawym uderzył Taco w nos, zaś lewą wygiętą stopą trafił go w krocze z takim impetem, z jakim cegła przebija się przez lustro.

Kątem oka widział Kleigera, który z powrotem był na nogach i z rykiem zbliżał się do niego. John

obrócił się, zamarkował niskie kopnięcie, a potem szybko przeskoczył w lewo, waląc prawą pięścią i miażdżąc twarz i kark osiłka. Kiedy Kleiger przewrócił się, przywódca bandy, Mike, dał nura w kierunku Rourke'a, zwalając go z nóg. Ogromne łapy mężczyzny szukały karku Johna, a wysunięte do przodu prawe kolano, zmierzające ku kroczu, zwarło się z jego udem. Rourke zahaczył kciukiem lewy kącik ust Mike'a i kiedy ten szarpnął głową do tyłu, rozerwał je. Potem uwolnił lewą dłoń i wyrznął nią błyskawicznie w twarz gangstera. Zrobił przewrót i podniósł się na nogi, waląc Mike'a kolanem w szczękę, a potem trzaskając kantem wojskowego buta w zęby. Prawą ręką przytrzymał go za włosy.

Kleiger ponownie ruszył na niego i Rourke odskoczył. Podniósł się również Taco – z jego nosa bryzgał na twarz potok krwi, ściekał po ustach i brodzie na nagą, zlaną potem pierś. Usiłowali wziąć Johna w kleszcze. Pierwszy ruch wykonał Kleiger, zaczynając serię zamachów i kopnięć. Rourke cofnął się i odczekawszy chwilę, zrobił krok naprzód, zablokował lewy sierpowy, samemu uderzając lewym w odsłoniętą nerkę zbira. Lewą stopą zaś zmiażdżył mu jądra, a kantem otwartej dłoni, w klasycznym ciosie karate, dosięgnął karku, powalając go twarzą na ziemię.

W tym momencie nadciągał już Taco i John zmuszony był zrobić pół kroku do tyłu, w przeciwnym razie pięść oprawcy zaprawiłaby go w szczękę. Odchylił głowę, unikając prawego sierpowego i – tak cicho, że mógł słyszeć go tylko rywal – wydyszał:

– Wiesz, niektórzy faceci... Niektórzy faceci mają szklaną szczękę... Ja – przeciwnie.

Cios Taco wystrzelił naprzód i Rourke pozwolił mu niemal dojść do celu, w ostatniej chwili robiąc unik. Czuł podmuch powietrza, gdy zakrwawione knykcie mijały jego twarz. Teraz sam uderzył lewą pięścią, poprawił prawą, potem znów lewą i jeszcze raz prawą, tak że odrzucił zbira wstecz, rzucając go na kolana. Zamarkował niski prawy, lecz zamiast tego grzmotnął kolanem, trafiając Taco w podbródek. Głowa i kark poleciały do tyłu z wyraźnym trzaskiem.

John odskoczył widząc, że Mike mozolnie wstaje na nogi. Jego dolna warga była szeroko rozcięta. Wypluwał z ust krew i zęby, usiłując utrzymać się w pionie. Rourke uderzył lewą stopą, trafiając Mike'a dokładnie między oczy i przewrócił go ponownie na ziemię.

Odwrócił się, bardziej wyczuwając niż słysząc, że zbliża się Kleiger. Było za późno na odskok i gdy prawa stopa napastnika mknęła w kierunku jego łądźwi, mógł tylko zablokować uderzenie skrzyżowanymi rękoma, przejmując jego impet na nadgarstki i przedramiona. Kleiger spróbował plasnąć dłonią, celując w nos Johna. Ten jednak obrócił się, nadział bandytę na łokieć, lewą dłonią dzielił go z góry w kark, a knykciami prawej zmiażdżył podstawę nosa. Złamał kość, ale nie wbił jej w mózg, pozostawiając Kleigera oszołomionego, zataczającego się, niezdolnego do zasłonięcia się przed serią krótkich ciosów, które ulokował na jego szczęce. Gdy tamten potknął się, Rourke trafił go w szczękę jeszcze jednym „łamaczem kości”, prawym sierpowym, i mężczyzna upadł prosto na plecy, sztywno, a jego głowa twardo wyrznęła o nawierzchnię boiska odbijając się niemal jak piłka.

John stał czekając. Mike pełzał po ziemi, ale nie podnosił się. Przeczynał, że Taco i Kleiger byli znokautowani.

– Natalie – krzyknął Rourke. Był może z sześć stóp od niej, wyciągnął prawą rękę patrząc, jak rzemień CAR-15 zsuwa się z jej ramienia i trafia do jego rąk. Chwycił go, prawą dłoń zacisnął na kolbie i zdjął zabezpieczenie, gdy tuzin lub więcej bandziorów ruszyło ku niemu. Wtem usłyszał dźwięk podobny do chrząkania, jednak jak gdyby nie należący do człowieka. Mike, przywódca bandy, klęczał i gwałtownie gestykułował prawą dłonią, próbował coś powiedzieć, wypluwając w piach zęby i krew. Mżył deszcz, a chmury stały się coraz ciemniejsze. Krople deszczu działały

zbawiennie na ciało Johna, przesiąkniętego kurzem i potem przemieszanym z krwią pokonanych przez niego mężczyzn.

– Stójcie! – wychrypiął w końcu Mike. – Wygrał... Zgodnie z regułami. Mógł zabić Kleigera... Widziałem...

Szef gangu przywołał gestem jakichś mężczyzn i kobiety stojące w pobliżu i ci całą grupą postawili go na nogi. Rourke opuścił lufę CAR-15, gdy się zbliżali.

– Myślałem – rzekł Mike, lecz mówił bardzo niewyraźnie. Wyłamane zęby i pęknięte wargi dawały efekt podobny do seplenienia. Był mniej niż dwa jardy od Johna. Znów zaczął mówić:

– Myślałem... może nie lubisz zabijać. Mam jeszcze jeden test... Psejdzes go – jesteście psyjści. Ale nie wydaje mi się, że psejdzes.

Rourke popatrzył na niego. Zniżając głos powiedział:

– Lepiej żebyś miał nadzieję, że przejdę. Jestem lekarzem, a jeśli ktoś nie założy ci szwów na dolną wargę, wykrwawisz się na śmierć.

Mike zamrugał oczami, lecz nic nie powiedział. Dopiero po chwili:

– Chcę byś zmiezył się z Deke'em. Na pistolety.

– Kto to jest Deke? – zapytała dziewczyna, zanim John zdążył odpowiedzieć.

W źrenicach przywódcy błysnął przez moment płomyk satysfakcji, po czym rzekł:

– To moja prawa ręka... Jest tak dobry, że nie uwieżyłabyć własnym ocom, madame.

– Gdzie on jest? – spytał Rourke.

– Tutaj – odpowiedział głos i doktor wolno obrócił się w prawo. Na skraju grupy bandytów stał szczupły blondynek z bródką i oczami o truskawkowej barwie. John przypomniał sobie opis młodzieńca, który zabił dziecko uciekinierki. To był ten człowiek. Na prawym biodrze lśniła ucięta w hollywoodzkim stylu kabura, przystosowana specjalnie do pojedynków. Tkwił w niej jednostrzałowy rewolwer z fantastycznym kurkiem, cofniętą do tyłu kolbą i wydłużoną lufą. Lewą dłoń mężczyzny okrywała ściśle przylegająca, skórzana rękawiczka. Rourke znał ten dryl. Rywalizował kiedyś z rewolwerowcami, miał kilku przyjaciół, którzy traktowali to jak sport i znał olbrzymią szybkość, z jaką potrafił dobyć broni dobrze wytrenowany rewolwerowiec.

– Chcesz to zrobić od razu, czy chciałbyś się nieco odświeżyć, żeby być eleganckim trupem? – powiedział Deke naciskając na oczy kowbojski kapelusz typu Aussie.

– Będę za pięć minut – rzekł John i odwrócił się.

# ROZDZIAŁ XXXIII

Rubenstein trzymał w dłoniach odbezpieczony MP-40 i starał się wyglądać nonszalancko, gdy tak naprawdę tylko czekał na naciśnięcie spustu. Rourke stanął obok kabiny pickupa. Wylał na twarz manierkę wody. Poczul dotyk rąk Natalie na plecach, przecierała je chusteczką lub czymś takim, zwilżonym w zimnej wodzie. Polał wodą także pierś, sięgnął po koszulę i zaczął się nią osuszać. Chciał ją właśnie założyć, gdy usłyszał szept dziewczyny:

– Zaczekaj, John.

Za chwilę była z powrotem ze świeżą koszulą z jego torby.

Podczas gdy Rourke zapinał ją i brzegi wciskał w dżinsy, dziewczyna stanęła obok niego i moką chusteczką obmywała jego zranione usta.

– W porządku – wyszeptał. Odsunęła się.

– Nie masz chyba zamiaru tego robić? To znaczy, jesteś dobry z bronią, ale porywasz się na coś niewykonalnego.

– Ona ma rację, John – podsumował Paul nie odrywając oczu od bandytów. Powrócili oni do swych ciężarówek, znów zataczając nierówne koła wokół mieszkańców miasta niczym przedstawiciele jakichś prymitywnych ludów w swoim rytuale śmierci. Tylko że teraz unosiło się mniej kurzu, gdy deszcz padał coraz silniej.

Rourke odezwał się:

– Myślisz, że nie jestem szybszy od Deke'a? Ja też, ale strzelać na czas, a strzelać do człowieka, to dwie różne rzeczy. Wszystko może się zdarzyć.

– Widziałam już takie pojedynki – rzekła dziewczyna.

– Ja także – powiedział spokojnie doktor, patrząc w jej błękitne oczy. – Trzyma dłoń na kolbie, lewa dłoń wysunięta przed kaburę wyszarpuje na sygnał broń, dłoń w rękawiczce odwodzi kurek, zwalnia go i rewolwer jest gotowy. Nie widziałem, czy ma sprężony cyngiel czy nie, ale jeśli tak, to nawet nie będzie musiał go dotykać.

– Prawdopodobnie ma – rzekła dziewczyna. – Chcesz użyć tego? – zapytała wskazując na pythona, ciągle tkwiącego w szelkach opinających jego ciało.

– Nie. Użyję tych – odpowiedział sięgając do kabiny ciężarówki i wydobywając z niej podwójną uprząż na ramiona i detoniki. Nałożył szelki i umieścił starannie futerały na broń, następnie z kabury pod lewą pachą wyjął pistolet i wyszarpnął magazynek. Sprawdził go i wysunął z powrotem. Założył bezpiecznik i schował broń do kabury – gotową do strzału niemal natychmiast.

Gdy zaczął sprawdzać drugi pistolet, dziewczyna popatrzyła na niego twardo, z zaciśniętymi ustami.

– Jesteś szalony. Nie osiągniesz takiej szybkości z konwencjonalną bronią.

– To nie są konwencjonalne pistolety – powiedział do niej Rourke. – Szybsze przeładowanie niż w standartowej „czterdziestce piątce”, mniejszy odrzut, dobra reakcja spustu, łatwość opanowania. Zabezpieczenia uchwytu zostały zlikwidowane.

Drugi pistolet, także gotowy do strzału, umieścił w futerale pod prawym ramieniem.

– Przecież nie potrzebujesz dwóch pistoletów – upierała się dziewczyna. – Co ci da, że będziesz miał przygotowany do strzału pistolet w lewej ręce?

– Hmm – John wyjął ponownie broń. – Przewagę dużych dłoni. – Kciukiem lewej dłoni sięgnął do kurka i, trzymając pistolet w tej samej dłoni, odciągnął go. Odłączył bezpiecznik i dodał: – Jeśli będę musiał go użyć, mogę to zrobić w taki sposób. Jeden chyba jednak wystarczy.

– Jesteś szalony! Przez ciebie wszystkich nas zabiją, zabiją ich wszystkich – powiedziała Natalie dziwnie obcym, przenikliwym głosem.

– Wiesz – rzekł do niej szeptem – jesteś zabawną dziewczyną. Posługujesz się bronią lepiej niż większość mężczyzn, jesteś zawodowcem pełną gębą, znasz się na rzeczy. Tak, jak mówiłem, pamiętam cię. Inne włosy, szkła kontaktowe zmieniające kolor oczu... Domyślam się, kim jesteś, po co byłeś na pustyni i wiem, że prędzej czy później dojdzie między nami do konfrontacji. Ty też to wiesz. Z drugiej strony zdaje się, że naprawdę szczerze przejęłaś się losem tych ludzi z miasta, podobnie jak uchodźcami na drodze. I mimo iż wiem, że w rzeczywistości jesteś po przeciwnej stronie barykady, to naprawdę wydaje mi się, że obchodzi cię, co się ze mną stanie. Jednak to mój problem: wyjść tam i zmierzyć się z Deke'em – rzekł Rourke wskazując na środek kręgu ciężarówek, które zwalniały w miarę zbliżania się pory pojedynku – ale ty z kolei masz problem tutaj. – I delikatnie nacisnął wskazującym palcem prawej dłoni jej lewą pierś, tam gdzie powinno być serce. – I dobrze wiesz, o czym mówię, panienko. Odsunęła się od niego pół kroku i powiedziała:

– Pamiętasz ten głupi tekst z każdego starego westernu: „Mężczyzna robi to, co ma do zrobienia”? Cóż, to odnosi się także do kobiet.

Dziewczyna przygryzła dolną wargę. Jej głos był prawie niesłyszalny.

– Nie wiedziałam, co mówię – wtedy, tamtej nocy, gdy się upiłam. To o Panu Cnotliwym. To znaczy, chciałam to powiedzieć, ale...

Rourke westchnął ciężko, wyciągnął dłoń i delikatnie dotknął jej twarzy.

– Tak czy inaczej, miałaś rację. – Nachylił się i pocałował ją w policzek.

Ciężarówki zatrzymały się już zupełnie i teraz, gdy oddalał się od Rubensteina i Natalie, myślał, jak szalone było to wszystko. Była przecież ostatnia ćwiartka XX wieku, a on stawał właśnie do dziewiętnastowiecznej walki z gangiem morderców i renegatów w roli widzów. Wyglądało to na ostatnie przedśmiertelne drgawki świata.

Widział blondyna występującego z tłumu bandziorów, którzy podzielili się na dwie grupy, pozostawiając wolną przestrzeń zarówno za plecami Rourke'a, jak i Deke'a. Blondyn – morderca dziecka, przypomniał sobie John – zarzucił kapelusz Aussie na plecy, na szyi widać było sznurek. Deszcz przybierał na sile i świeża koszula była już do szczytu przesiąknięta. Włosy Deke'a przyklejały się do czoła, a truskawkowe oczy świdrowały Johna przenikliwie, gdy obaj mężczyźni wolno zbliżali się na pozycje. Kątem oka Rourke widział Natalie stojącą blisko Rubensteina. Obydwoje spoglądali w jego kierunku. Doktor rzucił okiem na prawe biodro Deke'a, później podniósł powoli wzrok na spotkanie jego oczu. Oceniał, że dzieliło ich około siedmiu jardów. Klasyczny dystans pojedynków, z którego każdy z mężczyzn powinien trafić pierwszym strzałem.

Rewolwer blondyna spoczywał w futerale umocowanym solidnym skórzanym paskiem do uda.

Deszcz lał już jak z cebra, tworząc jednolitą zasłonę, pluskając w błotnistą nawierzchnię boiska. Rourke miał kompletnie mokre włosy i twarz. Musiał otrzeć wodę z rzęs, wiedząc co się za chwilę stanie.

Deke patrzył twardo, palcami lewej dłoni w rękawiczce wykonywał jakiś zabawny „taniec” blisko biodra. John dał susa w błoto po prawej stronie, prawa ręka wyskoczyła w kierunku detonika pod lewą pachą, dłoń zacisnęła się na tłoczonych kratce okrytej gumą kolby, wyszarpując nierdzewną stal pistoletu z kabury. Sześciostrzałowiec Deke’a też już był na zewnątrz. Lewa ręka mężczyzny poruszała się tak szybko, że Rourke nie widział jej wyraźnie, gdy wielki rewolwer bluznął ogniem. Rozległ się huk wystrzału, niemal dorównujący wybuchowi granatu i pocisk przemknął tuż koło jego ucha. John skoczył w błoto, przekoziółkował i oddał dwa strzały z detonika w prawej dłoni, jeden za drugim. Pierwszy pocisk trafił Deke’a w okolice brzucha w momencie, gdy rewolwerowiec wystrzeliwał trzeci nabój.

Blondyn odwrócił się, osunął się w błoto jednym kolanem, w lewym kąciu ust pojawiła się strużka krwi i pochylił się do przodu, jakby miał zamiar wymiotować. Drugi pocisk uderzył go w pierś w chwili, gdy jego rewolwer odezwał się ponownie, lecz kula z opuszczonej lufy plasnęła w błoto mniej więcej trzy stopy przed nim.

Doktor strzelił trzeci raz i 185-gramowy drażony pocisk w metalowej koszulce trafił Deke’a niemal dokładnie między oczy. Głowa z impetem opadła w tył, a mężczyzna ścięty z nóg przechylił się do przodu i runął w kałużę.

Rourke stanął na nogach, z jego koszuli i dzinsów kapało błoto. Deszcz splukiwał je rzęsistym strumieniem. Natalia znalazła się przy nim, czuł jej dotyk na lewym ramieniu. Poszedł przed siebie ku leżącym w błocie zwłokom. Czubkiem buta podważył je. Ciało przetoczyło się, ręka z bronią klapnęła w błoto, wypadł z niej rewolwer. Mimo spadającego na nie deszczu truskawkowe oczy były szeroko otwarte pod pękniętym czołem. John zapatrzył się w nie i przez chwilę nie mógł się nawet poruszyć. Dotrzymał obietnicy danej kobiecie z martwym dzieckiem.

## ROZDZIAŁ XXXIV

Rourke siedział za kierownicą pickupa, deszcz siekł okna z niewiarygodną siłą. Krople wody nadal kapały z jego włosów. Dziewczyna obok i Rubenstein na siedzeniu pasażera – byli równie przemoczeni. Banda ruszyła w dalszą drogę, a John, Paul i Natalie byli teraz jej częścią. Po skończonym pojedynku powrócił jeden ze zwiadowców gangu. Okazało się, że paramilitarni byli bliżej, niż Rourke – czy ktokolwiek z bandziorów przypuszczał. Musieli zabezpieczyć się przed atakiem i pokonać jak największy dystans, by oddalić się od sił paramilitarnych, zanim znajdą dogodne miejsce do stoczenia bitwy.

Przywódca bandy, Mike, odrzucił propozycję zszycia dolnej wargi i powstrzymania krwotoku. Rourke wzruszył ramionami i wrócił do ciężarówki. Obserwował, jak kilku kamratów zbierało z błota ciało Deke'a. Widział też, jak zwolniono ludzi z miasta. Mokrzy, brudni, zszargani i wystraszeni przemykali się chyłkiem obok pickupa, niektórzy odwracali się i przelotnie spoglądali na Rourke'a, a potem wszyscy biegli, by wydostać się bez szwanku z kręgu ciężarówek. Ale John zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej dla nich, gdyby tu zostali. Świat, który nabierał nowego kształtu po Nocy Wojny, był przepelniony gwałtem i zbrodnią, więc doktor nie miał złudzeń, że wielu z nich nie zdoła przeżyć. Niektórzy umrą, bo nie będą potrafili poradzić sobie z przemocą, inni zwrócą się w jej stronę i sami staną się bandziorami. W milczeniu rozmyślał, jak radzi sobie jego własna żona i dwójka dzieci... Czy przynajmniej żyją jeszcze? Czuł nacisk dłoni Natalie na własnej i zapatrzył się w deszcz...

Wieczorem ulewa trwała nadal i zrobiło się zimno. Wielka cysterna zatrzymywała się dwukrotnie i niektórzy z motocyklistów uzupełniali paliwo. W konwoju jechały dwie ciężarówki z benzyną i dwie z ropą. Wystarczało to w zupełności, by przez długi okres utrzymać bandę w ciągłym ruchu na drodze odległej od resztek cywilizacji.

Późnym popołudniem jeden z kilku bandziorów – odważnych na tyle, by w tym deszczu jechać na motocyklu – zbliżył się do ciężarówki i krzyknął, że przywódca bandy zmienił zdanie co do założenia szwów. Rourke zjechał na pobocze, wyprzedził sznur ciężarówek i znalazł się obok samochodu Mike'a. Karawana zatrzymała się i doktor, używając zaimprovizowanych narzędzi, zszył wargę. Znieczulenie nie było konieczne. Aby uśmierzyć ból, Mike pochłonął od zakończenia pojedynku więcej whisky niż kiedykolwiek przedtem. Wnętrze osiemnastokołowej ciężarówki zawierało całą kolekcję rozkładanych foteli i łóżek, z całą pewnością skradzionych gdzieś po drodze. Na ścianach wewnątrz pojazdu mieścił się prawdziwy arsenał. Jeżeli inne ciężarówki wyglądały podobnie, to – gdyby doszło do konfrontacji – siły bandy rozbiłyby w puch paramilitarnych.

John zapytał kobietę opiekującą się szefem gangu prawdopodobnie jego żonę bądź kochankę



dokąd zmierza konwój. Odpowiedziała mu w zaufaniu, że w stronę masywnego płaskowyżu, jakieś pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt mil w głębi pustyni, na który prowadziła tylko jedna droga. Można się tam było bronić przed armią dowolnych rozmiarów, jeśli tylko nie miała wsparcia z powietrza. Przynajmniej Mike w to wierzył. Rourke założył ostatni szew, dał dziewczynie instrukcje, jak ulżyć Mike'owi w bólu i chciał już wyjść, gdy ona zatrzymała go mówiąc:

– Hej ty! Jakkolwiek się nazywałeś!

– John Rourke – powiedział jej.

– Słuchaj więc, Johnie Rourke. Zrobiłeś coś dobrego dla mojego mężczyzny, odwdzięczę się więc... Mamy tu takie prawo. Każda cizia, która nie jest z kimś na noc, może należeć do kogokolwiek z obozu. Więc lepiej, abyś ty lub ten mały gość spał z tą laleczką, która wędruje z wami, albo dojdzie do kolejnej rozróby. Jest tutaj prawie dwa razy więcej mężczyzn niż kobiet. Chwytasz, o co chodzi?

John przytaknął i zapytał:

– Jakim sposobem przyłączyłaś się do Mike'a?

Ponad jej ramieniem widział, jak przywódca bandy zażywa kolejną dawkę alkoholowego znieczulenia.

– Napadli na moje miasto, dwie noce po wojnie. Nie było ich wielu. Zabili moją matkę, ojca i powiedzieli, że mnie także zabiją, jeśli nie będę go dobrze traktować. Więc traktowałam go dobrze, nawet – w pewnym sensie staliśmy się sobie bliscy. – odpowiedziała dziewczyna.

Doktor rzekł:

– Nie przeszkadza ci sposób, w jaki się tu znalazłaś?

– Wydaje mi się, że skoro mógł mnie zabić, to jestem mu coś winna.

Rourke spojrzał twardo na kobietę i powiedział szeptem:

– Tak. I myślę, że w głębi ducha dobrze wiesz, co mu jesteś winna. Jeden z tych bagnetów w jego nerce. Przemyśl to. A tak między nami – ile masz lat?

– Siedemnaście – odpowiedziała.

– Kiedy ostatni raz patrzyłaś w lustro? – Odwrócił się i poszedł w kierunku częściowo otwartych drzwi pojazdu. Deszcz wlewał się do środka, podłoga była mokra. Zeskoczył w błoto, zapiął kurtkę i wrócił do pickupa.

Gdy konwój zatrzymał się, samochody zaczęły formować krąg, by przygotować bezpieczne obozowisko. Deszcz padał jeszcze intensywniej niż w ciągu dnia. Rourke spoglądał w ciemność. Trudno było ocenić wysokość płaskowyżu, ale prowadząca nań prymitywna droga była stroma i wąska. Kobieta Mike'a miała rację. Przywódca bandy wybrał dobry teren na zajęcie pozycji obronnych. Pół tuzina dobrze uzbrojonych ludzi mogło przeciwstawić się dwudziestokrotnie większej liczbie szturmujących wyposażonych w broń o zbliżonych parametrach.

Niebawem w niektórych naczepach zapaliły się światła. Pozostali bandyci rozkładali przeróżne zadaszania i namiociki po osłoniętej od wiatru stronie ciężarówek, by mieć gdzie schronić się przed deszczem.

– Co teraz? – spytał Rubenstein.

– Hmm, nie możemy w szoferce spać, gotować i tak dalej – rzekł John. – Moglibyśmy wziąć kilka płacht brezentu i zainstalować okap z tyłu ciężarówki. Gdy wszystko zabezpieczymy jak należy, powinno być tam całkiem sucho. A spać można by w naczepie.

Odwrócił się do dziewczyny i powiedział:

– A ty mniej oczy szeroko otwarte, kiedy Paul i ja będziemy przygotowywali schronienie, dobra?

Przynajmniej będziesz sucha.

– Zrobię, co do mnie należy – odpowiedziała ze złością w głosie.

– Wiem, że zrobisz – rzekł Rourke spokojnie. – Ale nie wyglądasz na zachwyconą.

Wyskoczył z kabiny i zapiął skórzaną kurtkę pod samą szyję, by zabezpieczyć się przed deszczem. Jego CAR-15 i python zostały w szoferce razem z dziewczyną. Czuł, jak stopy zapadają się w błoto, czuł strużki deszczu spływające za kołnierz i wilgoć przenikającą jego dżinsy.

Rubenstein zdążył już wyciągnąć z ciężarówki płótno impregnowane i brezent. Walcząc z wiatrem ustawili w kilka minut schronienie. Kilka dni wcześniej, gdy Rourke ścinał gałęzie na ognisko – pierwsze od znalezienia samochodu i zaopatrzenia – ścinał także małe drzewka i przygotował je do użycia jako słupki namiotowe. Gdy „dach” i jedna ze ścian, ta chroniąca od deszczu, były gotowe, stosunkowo łatwo poszło im położenie podłogi i postawienie przeciwległej ściany schronienia.

Przekrzykując szum deszczu i warkot silników wokół nich, John zawołał:

– Paul! Weź rzeczy z ciężarówki, zrobimy sobie coś do jedzenia. Sprowadzę Natalie.

Wziął jedną z zapasowych płacht brezentu i przeszedł naprzód pickupa. Zapukał pięścią w szybę, sygnalizując dziewczynie, by otworzyła drzwi. Używając brezentu jako zasłony przed deszczem pomógł jej wysiąść z samochodu. Zabrał swoją broń i upewnił się, że drzwi są zamknięte. Razem z Natalie przeszli do zaimprovizowanego namiotu.

Rubenstein zdążył już rozłożyć mały stolik i zaświecić latarenkę, teraz sortował konserwy mięsne „Mountain House”. Natalie znalazła świeżą wodę i podgrzała trochę, potem zaczęła porządkować bałagan, jaki zastała wewnątrz.

Jedli później we względnej ciszy, wszyscy wyczerpani ciężkimi przejściami tego dnia. Zgodnie z sugestią Rourke’a otworzyli kolejną butelkę whisky i każde z nich napiło się, lecz tylko odrobinę. Ostatecznie odłóżli nieco swój namiot z jednej strony, by przewietrzyć pomieszczenie. Gdy tak siedzieli zapatrzeni w ulewę na zewnątrz, Paul zapytał:

– John... Co zamierzamy dalej? Wygląda na to, że oni szykują się do stoczenia tutaj bitwy, jak tylko przestanie padać.

Rourke westchnął ciężko. Zapalił jedno ze swoich cygar i przytrzymał ogień zapalniczki pod papierosem Natalie.

– Paramilitarni nie ruszą się przy tej pogodzie. Wyglądali na słabo przygotowanych do złych warunków atmosferycznych. Nie wydaje mi się, żeby coś się zaczęło dziać, póki się nie przejaśni, ale mogę się mylić. Wydaje mi się, że gdy tylko Mike się ocknie, postawi na drodze strażę, tak na wszelki wypadek. Wszystko zależy od tego, jak silni są paramilitarni.

– Spróbujemy wydostać się stąd? – spytał Rubenstein.

– Nie możemy – odrzekła dziewczyna. – Nie, póki nie zacznie się bitwa, a jeśli do niej dojdzie, to możemy już nigdy się stąd nie wydostać.

– Ona ma rację – powiedział Rourke. – Niezależnie od pogody, wyrwiemy się stąd dopiero wtedy, gdy rozpocznie się bitwa. Teraz pozostaje nam tylko dobrze grać rolę gangsterów i mieć nadzieję, że źli chłopcy pokonają dobrych.

– Paramilitarni to dobrzy chłopcy? – spytał Rubenstein śmiejąc się.

– Hej, przyznaję, że nie mieliśmy z nimi przyjaznych kontaktów. No cóż, jednak ktoś musi przeciwstawić się bandziorem, a nie wygląda na to, by ocalał jakiś rząd.

– A myślisz, że w ogóle coś ocalało? – zapytał Paul zdejmując okulary i mrużąc oczy.

– Prawdopodobnie więcej z Rosji niż z Ameryki – powiedział doktor spoglądając na dziewczynę. – Ale nie mam pewności. Wygląda na to, że olbrzymi obszar kraju przez długi czas nie będzie nadawał się do zamieszkania. Przyjrzyj się też tej pogodzie. Powinno być gorąco tam na zewnątrz, a założę się, że temperatura spadła do 40 albo niżej. Zauważyłeś zachody słońca? Każdego wieczoru są nieco czerwieniejsze. Wszystek pył eksplodujących bomb dostał się do atmosfery i pozostał tam.

– To znaczy, że wszyscy umrzemy?

Rourke chciał już odpowiedzieć, gdy do rozmowy włączyła się dziewczyna:

– Nie! Słuchaj, zaufaj mi, bo wiem coś na ten temat. Promieniowanie nie mogło poczynić aż takich zniszczeń. Świat zmierza ku przetrwaniu, po prostu wiem to.

John spojrział na nią mówiąc:

– Wiem, że to wiesz. I nie masz na imię Natalie, prawda? Przynajmniej nie brzmi to tak w języku, którym mówiono w twojej rodzinie. Racja?

Paul poderwał się z miejsca.

– Co masz na myśli – nie w języku, w którym mówiono w jej rodzinie? Masz na myśli, że ona jest...

– Usiądź i uspokój się – zarządził doktor zniżając głos. Dziewczyna westchnęła ciężko, przez otwór w brezencie strzepnęła na zewnątrz popiół z papierosa.

– Ma to na myśli, że jestem Rosjanką.

– Rosjanką!?

– Jest jedną z najwybitniejszych kobiet w KGB – Urzędzie Bezpieczeństwa Państwa – sowieckiej wersji CIA i FBI połączonych w jedną całość – powiedział John wydmuchując chmurę szarego dymu z cygara.

– Co? Ty?! – Rubenstein ruszył w jej kierunku, ale Rourke powstrzymał go ręką i cofnął na miejsce, po czym zerknął w dół. W dłoni Natalie tkwił mały, automatyczny, czterostrzałowy pistolet COP, dużego kalibru.

Głos jej drżał, gdy powiedziała:

– Proszę, Paul! Nie chcę tego użyć, proszę!

– O co ci chodzi? – rzekł młody mężczyzna. – Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy? Po tym jak, nas tak okłamałaś? Ocaliliśmy ci życie, panienko!

– Nie prosiłam was o to. Nie chcę was skrzywdzić, żadnego z was. Prawie kocham was obydwu! Proszę, Paul!

Rubenstein zamierzał podnieść się na nogi. Doktor niemal jednym gestem usadził go z powrotem i wyrwał dziewczynie z dłoni pistolet mówiąc:

– Wystarczy! Zostawcie to!

– Zostawcie to?! – wybuchnął Paul krzywiąc usta w dziwnym grymasie niedowierzania i gniewu. Poprawił na nosie okulary. – To za mało, że Rosjanie praktycznie zniszczyli świat, zabili miliony Amerykanów? Co z tobą, John? Zamierzasz to tak zostawić? Tylko dlatego, że jest bardzo atrakcyjna, a ty się na nią napalasz, myśląc, że twoja żona już nie żyje? Co, myślisz, że jestem ślepy? To cholerna komunistyczna agentka, John! – krzyczał.

– Nie zrzuciłam żadnych bomb! Nie dawałam rozkazów do ataku, Paul! Zostaw mnie w spokoju!

Dziewczyna wyciągnęła nerwowo z paczki następnego papierosa i usiłowała zapalić zapałkę, ale złamała ją rozdygotaną ręką.

Rourke wyjął zapalniczkę i podał jej ogień.

Popatrzyła na niego przez płomień i powiedziała:

– I co teraz powiesz?

John odsunął się do tyłu, zamknął zapalniczkę i rzekł:

– Ona ma rację, ty masz rację. Nie zrzucaliś bomb. Spełnialiś tylko patriotyczny obowiązek. A teraz jesteś w tym kraju i szukasz Samuela Chambersa. Po co? Żeby go zabić? Nie odpowiada wam jako przywódca Ruchu Oporu? Prawda?

– Wykonuję tylko moją pieprzoną pracę, John! To moja praca!

– Miałem kiedyś taką pracę. I wiesz, co zrobiłem? Zwolniłem się. To wtedy się poznaliśmy, w Ameryce Południowej, Kilka lat temu. Bywałem tam często w tamtych dniach. Nie zwolniłem się dlatego, że zmieniły mi się poglądy czy coś takiego, zwolniłem się, bo tego chciałem i wykalkulowałem, że nadszedł czas się wycofać. Ty możesz zrobić to samo. Możesz?

– Mam inne powody – odpowiedziała patrząc na papierosa w prawej dłoni. – Wierzę w to, co robię.

– Nie widziałaś swojej twarzy wtedy, gdy patrzyłaś na tych uchodźców, na tę kobietę z martwym dzieckiem. Jesteś po złej stronie.

– To dlatego nie zabiłeś mnie, kiedy mnie rozpoznałeś? – zapytała podnosząc wzrok.

– Nie. Nie dlatego.

– Od jak dawna wiesz, John? – spytał Rubenstein.

– Wystarczająco długo. Po kilku dniach nabrałem pewności. Odwrócił się do dziewczyny i powiedział:

– Karamazow też tu jest? Tam, na południu, zawsze z nim pracowałaś.

Przez dłuższą chwilę nic nie mówiła. Potem rzuciła: – Tak.

– Kim, do cholery, jest Karamazow? – rzucił Paul pochylając się do przodu.

Rourke chciał odpowiedzieć, ale dziewczyna powstrzymała go. „Jej głos brzmi, jakby był wyprany z życia” – pomyślał.

– Jest najlepszym agentem KGB. Przynajmniej on tak myśli i każdy mu to mówi. Jest, choć to może bez znaczenia, szefem nowo formowanej amerykańskiej siatki KGB. Jest facetem u szczytu władzy w waszym podbitym kraju. Tylko jeden człowiek jest tutaj wyższy rangą. To generał Warakow. Dowódca Północnoamerykańskiej Armii Okupacyjnej.

– To jakiś koszmar! – zaczął Rubenstein zdejmując okulary i patrząc gdzieś na zewnątrz. – W czasie drugiej wojny światowej, już na samym początku, moja ciotka utknęła w Niemczech. Odkryli, że jest Żydówką, aresztowali ją i nigdy już o niej nie usłyszeliśmy. Dorastałem nienawidząc nazistów za to, co zrobili. Jak myślisz, do cholery, kogo będą nienawidziły dorastające amerykańskie dzieci, Natalie? Co? Ile domów i kamienic, ile farm, szkół i biurowców... ile miejsc przestało po prostu istnieć! Ile dzieci i kobiet, małych piesków i kotków, ile wszystkiego, co żyło, zabiliście tamtej nocy?! Jezu! Hitler przy was to jakiś przywódca buszmenów!

– To była wojna, Paul! Nie mieliśmy wyboru. To ultimatum Stanów Zjednoczonych w Afganistanie... Nie było wyboru, Paul, żadnego wyboru. Musieliśmy uderzyć pierwsi! A potem wasz prezydent czekał z uderzeniem odwetowym do ostatniej minuty... Nie wiedzieliśmy!

– Słyszycie samych siebie? – spytał Rourke cicho. – Niewiele się zmieniło od wojny, nie uważacie?

Zamknął oczy i oparł się plecami o tylne drzwi pickupa. Przez dobrą chwilę nikt nic nie mówił

i było słychać tylko ciężkie uderzenia kropel deszczu.

# ROZDZIAŁ XXXV

Rubenstein wylosował miejsce noclegu w ciężarówce i teraz dochodziło stamtąd jego pochrapywanie. Rourke i Natalie leżeli obok siebie pod płótnem, słuchając szemrania deszczu. Godzinę wcześniej przechodził tędy jeden z bandziorów, wetknął swoją głowę pod brezent i widząc Johna z dziewczyną mruknął:

– Przepraszam, stary. Nie wiedziałem, że tu jesteście. Odszedł. Doktor trzymał pod kocem jeden z detoników z odwiedzionym kurkiem, zdjętą blokadą i palcem na spuście. Gdy mężczyzna oddalił się, zluzował kurek. Wtedy dziewczyna zaczęła płakać. Zanim zobaczył łzy, usłyszał ciche łkanie. Zapytał ją, dlaczego płacze.

– On ma rację... To, co zrobiliśmy... – wyszeptała, głos uwiązł jej w gardle.

– Tak, Paul ma rację – rzekł Rourke. – Ale na nic się zda wzajemna nienawiść i to tylko dlatego, że ty jesteś Rosjanką, a my Amerykanami.

– Co z ciebie za człowiek?! On miał rację, całkowitą rację! Próbowałam cię uwieść... Sądzę, że ciągle to robię. A ty?

Nie poddałeś się dlatego, że wiedziałeś, kim jestem? A może myślisz, że jestem kobietą Karamazowa?

– To naprawdę nie ma z tym nic wspólnego – odpowiedział, a potem zapadła cisza. Deszcz padał bezustannie. Rourke zerknął na rolexa było już dobrze po pomocy. Dziewczyna odezwała się powoli:

– Więc dlaczego?

– Dlaczego co? – odparł nie patrząc na nią.

– To, o czym mówiliśmy przedtem. Nie obchodziło cię, że jestem rosyjską agentką ani to, że mogę być kobietą Karamazowa. Więc dlaczego?

– Zapomnij o tym – wyszeptał John. – Pobudzisz dzieciaki. – I wskazał wewnątrz ciężarówki, gdzie chrapał Rubenstein.

– Nie zapomnę – odrzekła. – Czy to z powodu żony? Tego, że ona być może ciągle żyje? Czego się obawiasz? Że przestaniesz jej szukać?

– Nie. Nie przestanę – powiedział. – Podaj mi jednego papierosa z twoich. Nie chcę zakopcić całego pomieszczenia.

Dziewczyna odwróciła się od niego na chwilę, pogrzebała w kieszeni kurtki i wręczyła mu na wpół opróżnioną paczkę. Potem wzięła ją z powrotem, wyjęła jednego papierosa i zapaliła. Ręce przestały jej drżeć, zapalka błysnęła ogniem już za pierwszym razem. Zaciągnęła się mocno i oddała papierosa. Rourke leżał na boku z papierosem w ustach, utkwivszy wzrok w martwym punkcie.

– Czy to dlatego, że byłbyś jej niewierny? – powiedziała Natalie głosem odrobinę głośniejszym

od szeptu.

– Coś w tym guście – rzekł John strząsając popiół z papierosa na zewnątrz namiotu.

– Ale... co, jeśli ona... – dziewczyna nie dokończyła zdania.

– Wówczas nie będzie to nic w tym guście – powiedział spokojnie. Zaciągnął się głęboko

i wyrzucił papierosa w deszcz.

Poczuł, że dziewczyna obok niego poruszyła się pod kocem.

– Czy ty w ogóle jesteś człowiekiem?

Obrócił ku niej twarz i popatrzył na nią, a potem, nie podnosząc się, wyciągnął rękę i wplótł palce w jej ciemne włosy na karku. Przycisnął jej głowę, próbując poprzez mrok wejrzeć w oczy dziewczyny. Czuł jej oddech na twarzy, słyszał jego przyspieszony rytm. Czuł pulsowanie krwi tam, gdzie ją trzymał, na karku.

Poczuł dotknięcie wilgotnych i gorących ust na policzku, gdy przysunęła się do niego. Wziął w dłonie głowę Natalie i odszukał w mroku jej usta. Pocałował ją. Jej oddech był gorący i pełen słodczy, którą można było niemal smakować. Czuł jak jej ciało poddaje się mu. Leżała w jego ramionach szepcząc:

– Jesteś człowiekiem.

Rourke ponownie dotknął ustami jej warg. Słyszał jej słowa:

– I nic się nie wydarzy, prawda, John?

– Nie wiem. Śpij już, dobrze? Przynajmniej na razie. – Czuł, jak jej głowa opada mu na pierś.

Szeptala coś, czego nie mógł dosłyszeć.

# ROZDZIAŁ XXXVI

Rourke otworzył oczy i spojrzał na zegarek na lewym przegubie. Dziewczyna nadal spała w jego ramionach i musiał ją przesunąć, aby dojrzeć tarczę rolexa. Była trzecia nad ranem. Znowu usłyszał ten dźwięk: wystrzał, potem jeszcze jeden i pojedynczą serię z lekkiego karabinu maszynowego. Tak powinien brzmieć kaliber 9 mm.

– Cholerni głupcy! – powiedział głośno, czując, jak dziewczyna poruszyła się, a potem usiadła obok niego.

– Strzały?

Po chwili Rubenstein ześlizgnął się z naczepy do wnętrza namiotu. Na zewnątrz ciągle siał deszcz. Gdy John wyrzwał spod płachty i schował się z powrotem, twarz i włosy miał zroszone kropelkami deszczu. Nie patrząc na żadne z nich powiedział:

– Cholerni paramilitarni głupcy! Ze też musieli wybrać akurat tę noc na swój pieprzony atak. Niech ich cholera!

Kiedy założył swoje wojskowe buty, ściągnął sznurowadła i zawiązał je mocno, strzały dochodziły już zewsząd, ze wszystkich stron obozu. Budziły się silniki niektórych osiemnastokołowców. Przekrzykując huk, Rourke zawołał do Rubensteina:

– Paul! Zaczynaj rozmontowywać namiot i przygotuj samochód do drogi. Natalie ci pomoże! Ja idę na drogę.

Wcisnął się w skórzaną kurtkę, podniósł do przysiadu i zaczął się wychylać na zewnątrz, gdy nagle skoczył z powrotem do środka, krzycząc:

– Moździerz!

Wpadł na dziewczynę i Rubensteina zwalając ich z nóg.

Namiot i ziemia zadrżały, wybuch pocisku ogłuszył ich. Zaraz potem dotarł do ich uszu dźwięk spadających na brezent odłamków kamieni i grud ziemi, mieszający się z dudnieniem deszczu. Rourke podniósł się na rękach i krzyknął chrapliwym głosem:

– Spieszcie się!

Uniósł płachtę i wyszedł. Kolejny gwizd spadającego pocisku z moździerza i John instynktownie skoczył w lewo. Ładunek wybuchł za jego plecami. Mężczyzna podniósł się z błota, przewiesił CAR-15 wysoko przez pierś i pobiegł przez kałuże zygzakiem, wymijając mężczyzn i kobiety z bandy, biegnących w panice tam i z powrotem. Kilka ciężarówek zaczęło ruszać z miejsc, odrobinę do przodu, potem do tyłu, manewrując na niewielkiej przestrzeni, jaką dysponowały po zaparkowaniu w kręgu. Dwie z nich ugrzęzły w błocie płaskowyzu, które strzelało spod ich kół, gdy usiłowały się wydostać, zakopując się jeszcze bardziej.



W świetle przednich reflektorów i kilku latarek zobaczył przed sobą, tuż przy drodze prowadzącej na szczyt płaskowyżu, grupę mężczyzn. Widział błyski z luf karabinów i słyszał odgłosy małokalibrowej broni automatycznej.

Zauważył przywódcę bandy, Mike'a. Był bez koszuli, jego ciało wyraźnie drżało z zimna. W dłoniach trzymał strzelbę. Gdy Rourke podszedł do grupy otaczających go mężczyzn, przywódca bandy przerwał w pół słowa i spojrzał na niego. Skinął głową i ciągnął dalej. Trudno było zrozumieć słowa – z powodu ubytku zębów i zszytej wargi.

– ... ony ne dostano se tu do nas. Weduk mnę majo tam na dole, w polowe drogy około cterdzestu, najwyżej stu łudzy. Bedemy szelac, taak, bedemy walić w nych psez całą noc. Z samego rana wykończymy skurwely.

– A co z pociskami z moździerzy? Niech tylko im się uda trafić jedną z cystern i wszystko zamieni się w olbrzymią kulę ognia. Nie wydaje mi się, że to może czekać do rana. – Rourke usłyszał pomruk aprobaty ze strony kilku bandytów. Ktoś z tyłu grupy otaczającej Mike'a wykrzyknął:

– Jeden z tych pocisków walnął prawie w moją ciężarówkę, a obok mnie parkowała cysterna z ropą. Nowy ma rację!

– Dobra, cwany dupku – powiedział szef odwracając się do Johna. – Co mamy zrobić, no?

– Ty jesteś dowódcą – rzekł doktor wzruszając ramionami – ale gdybym był tobą, to wziąłbym pięćdziesięciu, góra siedemdziesięciu pięciu ludzi, podzieliłbym ich na dwie grupy i zszedłbym na dół, posuwając się po obu stronach drogi. I to natychmiast. Żadnych strzałów, dopóki nie natknę się na tych czterdziestu czy więcej na środku drogi. Spróbowałbym wziąć ich przez zaskoczenie. Potem okopałbym się i większą grupą spróbowałbym zepchnąć moździerze, tak by płaskowyż znalazł się poza ich zasięgiem. Jeśli okopać się po bokach drogi, a nie na środku, można ograniczyć liczbę ofiar po swojej stronie. Wycofałbym się tuż przed świtem. Wstrzymałbym ogień, aż ci od moździerzy wrócą na środek drogi i przekonają się, że się wycofałem. Potem można zacząć strzelać z płaskowyżu. Może nawet uda się dostać oddział moździerzy, gdy będą zajmować pozycje. Proste.

Mike milczał z dobrą minutę. Potem rzekł:

– Zgłaszas se na ochotnyka do poprowadzenia ednej z tych grup?

Rourke westchnął ciężko i powiedział:

– Jasne... Zaczekajcie, powiem tylko mojej pani, co się dzieje. Przygotuj ludzi. Będę za pięć minut.

Nie czekając na komentarz ruszył truchtem z powrotem przez obóz w kierunku pickupa. Nie miał zamiaru przesiedzieć reszty nocy w okopie przy drodze.

Kolejny pocisk z moździerza rozerwał się po prawej stronie. Doktor schronił się za jedną z ciężarówek, po czym pobiegł dalej. Natalie i Rubenstein – dwa drapieżniki zamknięte w jednej klatce, osądził John – byli przemoczeni. Dziewczynie włosy kleiły się do czoła. Rubenstein zdjął okulary i zaczesał do tyłu swoje rzadkie, mokre włosy. Zadaszenie było już złożone i Paul właśnie zamykał drzwi z tyłu ciężarówki.

– Musimy się stąd szybko wydostać – rzekł doktor stając między nimi. – Nie mam żadnego superplanu, ale coś jednak zdołałem wymyślić. Pochylił się do przodu mówiąc:

– Poprowadzę grupę bandytów drogą w dół, po jednej stronie. Druga grupa będzie szła po przeciwnej – coś w rodzaju „kleszczy”. Kiedy natkniemy się na paramilasków – może ich być ze czterdziestu na środku drogi, w połowie podjazdu na szczyt – zepchniemy ich, a potem ostrzelamy jednostkę z moździerzami, aby cofnęli się i żeby płaskowyż znalazł się poza ich zasięgiem, zanim

trafią którąś z cystern. Kiedy zejść tam i usłyszycie, że moździerze przestają strzelać albo cofają się, weźmiecie motocykle...

– Zaczekaj chwilę, ćśś... Coś słyszę – powiedziała dziewczyna.

Rubenstein spojrział w niebo i rzekł:

– Tak, ja też. Posłuchaj, John.

Rourke popatrzył w niebo. Nic nie mógł dojrzeć, oprócz czerni urozmaiconej padającym wciąż deszczem, padającym na jego twarz, ciało, ziemię na której stał.

– Też to słyszę – wyszeptał. – Helikoptery. Duże helikoptery. Paramilitarni nie mają takiego wyposażenia...

Nagle całe obozowisko, cała powierzchnia płaskowyzu skąpana została w potężnym białym świetle. Z góry dobiegł ich uszu głos, mozolnie przemawiający w języku angielskim z jakiegoś głośnika. Rourke odwrócił wzrok od niespodziewanej jasności. Głos mówił:

– W imieniu Ludu Sowieckiego i Sowieckiej Armii Okupacyjnej rozkazuję zaprzestać wszelkich działań wojennych. Macie do czynienia z przeważającymi siłami. Złóżcie broń i zostańcie tam, gdzie jesteście.

John usłyszał za plecami mruknięcie Rubensteina:

– A niech to!

Zanim odwrócił się w jego stronę, Paul zdążył już unieść „schmeissera” i otworzyć ogień.

Doktor krzyknął: – Na ziemię! – i pociągnął Natalie w dół, w błoto. W górze rozległo się dudnienie ciężkiego karabinu maszynowego. Rubenstein przewrócił się na brzuch, nie przestając strzelać. John podczołgał się do leżącego przyjaciela. Ponownie rozległ się głos z helikoptera, wzmacniany przez system nagłaśniający.

– Niech nikt się nie rusza! Rzućcie broń i poddajcie się albo zginiecie!

Paul miał zamknięte oczy i Rourke ledwie mógł wyczuć puls na jego szyi. Natalie była obok niego. Unosząc głowę Rubenstein spojrział w niebo. Nadal nic nie mógł dojrzeć – tym razem z powodu oślepiającego światła.

# ROZDZIAŁ XXXVII

Kiedy doradcy Samuela Chambersa przestali się sprzeczać, jeden z oficerów marynarki – drugi stopniem żołnierz w grupie – zasugerował, by w podróży do Galveston posłużyć się samolotem typu Harrier. Mógł on lecieć nisko, poniżej zasięgu radaru, był szybki, dobrze uzbrojony i mógł lądować oraz startować pionowo. Chambers wyraził zgodę.

Lot znad teksańsko-luizjańskiej granicy był krótki, ale – jak przyznał w głębi ducha prezydent – ekscytujący. Harrier był przystosowany dla zaledwie dwóch osób, jego i pilota. Czuł się szczęśliwy z tego powodu, że nie jest jeszcze za stary, by zasiąść w takiej maszynie. Fantazjował, że sam siedzi za sterami. Przez wiele lat latał dwusilnikowymi, konwencjonalnymi samolotami, ale nigdy odrzutowcem. Kiedy podchodzili do lądowania tuż za Galveston, prezydent czuł się tak, jakby właśnie odbył pierwszy samodzielny lot odrzutowcem. Było to niezwykle uczucie. Łączyło w sobie wzniosłość i młodzieńczą werwę, pozwalało wyzwolić się z przygnębienia, dusznej atmosfery i smutku przyziemnych spraw.

Ponieważ samolot był tylko dwuosobowy, nie było przy Chambersie ani jego adiutanta, ani ochrony. Prezydent był jednak uzbrojony w automatyczną „czterdziestkę piątkę”, pożyczoną od jednego z członków Gwardii Narodowej. Pilot także był wyposażony w mały pistolet maszynowy. Kiedy samolot wylądował, Chambers zobaczył kilkunastu ludzi w mundurkach wojsk amerykańskich, uzbrojonych w M-16, wychodzących z cienia i zbliżających się do lotniska oświetlonego przez silne punktowe światła, które zapaliły się na czas jego przybycia. To całkowicie rozwiało jego obawy. Silniki samolotu zatrzymały się. Pilot zlustrował wzrokiem obszar pod maszyną, uniósł kciuk do góry w geście triumfu, skierowanym do siedzącego za nim Chambersa, i osłona nad ich głowami zaczęła otwierać się z sykiem urządzeń hydraulicznych. Dowódca żołnierzy na ziemi wystąpił do przodu i powiedział salutując:

– Panie prezydencie! Oczekiwaliśmy pana.

Pilot zeskoczył na skrzydło pomalowanego w maskujące barwy samolotu i pomógł swojemu pasażerowi opuścić miejsce nawigatora. Chambers wygramolił się na kadłub samolotu, z rzucającą się w oczy niezdarnością i zeskoczył na skrzydło, skąd pilot pomógł mu zejść na ziemię. Prezydent uśmiechnął się do oficera armii w stopniu kapitana, potem odwrócił się do pilota i z wyciągniętą ręką powiedział:

– Poruczniku, ten lot sprawił mi prawdziwą przyjemność. Pozwolił mi na kilka chwil oderwać się od naszych wspólnych kłopotów. To było jak dwunastogodzinny sen, a potem randka z piękną dziewczyną i dobra kolacja, a wszystko w jednym!

Pilot uśmiechnął się ściskając dłoń Chambersa, lecz nagle jego twarz stężała z przerażenia,

cofnął rękę i sięgnął do małego karabinu maszynowego, przewieszzonego skośnie przez pierś. Prezydent odwrócił się na pięcie, lecz jakieś silne ręce pchnęły go na kadłub samolotu. Rozległ się stłumiony dźwięk, jedno, drugie stuknięcie i na czole pilota, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pojawiły się plamki krwi. Mężczyzna przewrócił się na płat skrzydła.

Chambers odepchnął się od kadłuba i zaczął uciekać. Chciał wydostać się poza krąg światła. Przed nim zamajaczyło kilka postaci. Wszyscy byli ubrani w takie same mundury, jak ci przy samolocie. Za sobą usłyszał głos mówiący perfekcyjnym angielskim, lecz brzmiący obco, gdy wypowiadał nazwisko właściciela:

– Tu major Władimir Karamazow, panie prezydencie, z Urzędu Bezpieczeństwa Państwa Sowieckiego. Jest pan aresztowany. Jest pan otoczony. Nie może pan uciec. Jeśli będzie pan stawiał opór, zostanie pan tylko niepotrzebnie ranny.

Prezydent zatrzymał się, oddychał ciężko. „Za dużo palę” – powiedział do siebie. Wątpił, by sięgnięcie po pistolet schowany pod kurtką na coś się zdało.

– Spodziewam się, że może być pan uzbrojony, sir. Nie radzę jednak żadnych sztuczek z bronią, czy to przeciw sobie, czy przeciw moim ludziom. Doprowadzi to tylko do niepotrzebnego rozlewu krwi.

– Niepotrzebny rozlew krwi?! – krzyknął Chambers ze złością. – A ten chłopak? Pilot?

– Był uzbrojony w karabin maszynowy i zdecydowany go użyć. Chroniliśmy także pańskie życie. Miał rozkazy, by nie dopuścić, aby pan wpadł w nasze ręce.

– Gówno prawda!

– Możliwe... Ale to nieważne. Teraz, pańska broń. Proszę ją oddać!

Chambers powiódł wzrokiem po twarzach ludzi stojących poza granicą światła. Wzruszył ramionami i powoli sięgnął pod kurtkę.

Usłyszał odgłos repetowania karabinu, a potem Karamazowa krzyczącego coś po rosyjsku. Wydobył więc pistolet i trzymał go kurczowo w dłoni. Przez rozświetlony obszar zmierzał ku niemu sowiecki oficer. Lewą rękę miał wyciągniętą przed siebie, a w prawej trzymał dziwnie wyglądający pistolet z długą, niezgrabną lufą. Major powiedział:

– Proszę nie silić się na żadne heroiczne, bezużyteczne gesty, panie prezydencie. Żywy przedstawia pan większą wartość dla narodu amerykańskiego, niż martwy. Nie wyrządzimy panu krzywdy.

Chambers zamknął oczy. Poczul, jak pistolet jest delikatnie wyjmowany z jego ręki.

# ROZDZIAŁ XXXVIII

Na płaskowyżu wylądowały tylko dwa helikoptery sił sowieckich, pozostałe nadal krążyły nad obozowiskiem, oświetlając teren reflektorami. Skorzystał z tego Rourke i klęcząc w błocie dłonią powstrzymywał krwotok z ran postrzałowych brzucha Rubensteina.

Dziewczyna zlekceważyła rozkaz sowieckiego dowódcy i zbliżyła się do najbliższego helikoptera, krzycząc po rosyjsku coś, czego John nie mógł zrozumieć w całym tym zamieszaniu. Słyszał odgłosy strzałów poniżej. Doszedł do wniosku, że to oddziały paramilitarne próbują wycofać się pod osłoną ciemności. Pomyślał, że zostaną z powietrza rozbici w proch.

Koszula, której używał do tamowania krwotoku, całkowicie nasiąknęła krwią. John sięgnął do kieszeni po chusteczkę i przycisnął ją do koszuli, by wchłonęła trochę krwi. Spojrzał na twarz Paula. Była blada, pod oczami pojawiły się sine kręgi. Puls był słaby, oddychanie sprawiało mu coraz większe trudności.

Rourke usłyszał zbliżające się ku niemu człapanie butów w kałuży i spojrzał do góry. Była to Natalie z kałasznikowem w prawej ręce, jakiś sowiecki oficer i dwóch szeregowców. Zatrzymali się przed nim w miejscu, gdzie klęczał w błocie, trzymając Rubensteina.

– John... To jest kapitan Maczenkow. Powiedziałałam mu, kim jestem, powiedziałałam też, że obaj jesteście moimi więźniami. Ale nie martw się, wszystko załatwię z Karamazowem. Paul otrzyma najlepszą opiekę medyczną, jaką możemy mu zapewnić. Za kilka minut on, ty i ja polecimy do Galveston, gdzie mamy niewielką, lecz uruchomioną bazę. Wiem, że jest tam szpital polowy. Jestem pewna, że Paulowi nic nie będzie, jeśli zajmą się nim nasi lekarze. Nie martw się.

– Co zatem? – rzekł Rourke patrząc na nią.

– Będę zmuszona odebrać ci broń. Powiedziałałam im, że co prawda jesteście aresztowani, ale ocaliliście mi życie i z powodu sytuacji tu, na dole, pozwolę ci na razie zatrzymać pistolet. Tylko tyle mogę dla ciebie zrobić. Oni nie mówią po angielsku. Ten oficer jest lekarzem.

Rourke rozejrzał się po obozie. Wzdrygnął się i z powrotem spojrzał na Natalie mówiąc:

– Nie mogę ruszyć prawej ręki, dopóki nie dostaniemy lepszego bandaża dla Paula. Wyjaśnij to lekarzowi. Jeśli chcesz pistolety teraz, to musisz wziąć je sobie sama.

– John, proszę, nie próbuj niczego. Pamiętaj, że znam cię. Obiecuję ci, że wszystko będzie w porządku. Jak tylko Paul wydobrzeje, będziecie mogli odjechać, z bronią i wszystkim innym. Załatwiłam nawet to, że zabiorą wasze motocykle.

– Naprawdę w to wierzysz? – powiedział Rourke przyciszonym głosem.

– Karamazow jest moim mężem, John. Naprawdę wierzę, że będziecie wolni. Zrobi to, o co go poproszę.

– Pani Karamazow, hę? Macie dzieci?

– Nie bądź śmieszny – warknęła. – Nikt o tym nie wie. Teraz – oprócz ciebie.

Rourke uniósł połę skórzanej kurtki, odsłaniając jedną z 2 bliźniaczych „czterdziestek piątek”.

– No, dalej. Bez odpowiedniej opieki Paul wykrwawi się na śmierć. Dalej, bierz je.

Natalie pochyliła się, chwyciła jeden z pistoletów. Jej twarz znalazła się kilka cali od jego twarzy. Powiedziała szeptem:

– Nie było innego sposobu, uwierz mi, proszę. Mężczyzna milczał.

## ROZDZIAŁ XXXIX

Rourke stał pod strumieniem gorącej wody i przeczesywał włosy. Był to pierwszy prawdziwy prysznic, jakiego zażywał od początku wojny i John czuł się mile zaskoczony, że nie złapał wszy albo czegoś jeszcze gorszego. Umył włosy i ciało przynajmniej ze cztery razy i teraz stał pod prysznicem, pozwalając wodzie masować obolałe mięśnie i stawy. Był bardziej zmęczony, niż zdawał sobie z tego sprawę. Rubenstein znalazł się na chirurgii, i Natalie zapewniała, że lekarze zrobią wszystko, co w ich mocy. Rourke wątpił trochę w skuteczność rosyjskiej medycyny, szczególnie w tak nietypowych warunkach. Przed drzwiami łazienki stała zbrojna straż i po tym, jak skończy kąpiel i ubierze się, kolejnym krokiem będzie spotkanie z Karamazowem. A później ruszy cała ta karuzela, był tego pewien. Zamknął oczy i pozwolił wodzie spływać po twarzy...

Włożył świeże ubranie – zostało wyprane dla niego – i buty, a potem poszedł korytarzem, maszerując pomiędzy czterema uzbrojonymi ludźmi w mundurach. Ich celem były drzwi na samym końcu. Cały kompleks znajdował się pod ziemią i Rourke przypuszczał, że był kiedyś użytkowany przez Armię amerykańską. Ponad nim znajdowała się baza lotnicza, gdzie wylądował sowiecki helikopter. Natalie przekazała jakieś rozkazy oddziałowi KGB, który powitał ich na ziemi, i Paul został błyskawicznie zabrany przez czekający w gotowości personel medyczny. John został zaprowadzony na dół. Był traktowany dobrze, podano mu nawet gorącą strawę, jednak wszystko pod czujnym okiem zbrojnej straży. Przypuszczał, że Natalie połączyła się z mężem – że są małżeństwem, podejrzewał już wcześniej. Przypuszczał także, iż jeśli tylko jej obietnica była szczerą, to właśnie teraz zaczynała pojmować, że nie będzie w stanie jej dotrzymać.

Nie miał żadnego planu ucieczki, lecz i tak zdawał sobie sprawę, że nic tak naprawdę nie robi, póki nie poprawi się stan Rubensteina. Miał nadzieję, że uda mu się zyskać na czasie, ale zaczynał w to wątpić. Karamazow mógł przypuszczać, że Rourke jest czynnym agentem CIA i postąpić stosownie do tego. John zastanawiał się właśnie, czy gdyby był na jego miejscu, postąpiłby tak samo.

Straże zatrzymały się i jeden z eskortujących zastukał w pojedyncze szare drzwi. Po chwili drzwi otworzyły się. W progu stanął Karamazow. Amerykanin znał już tego mężczyznę. Powiedział:

– Majorze... Ostatni raz widzieliśmy się w Ameryce Łacińskiej. Ile to już lat?

– John Rourke, drugie imię Thomas. Ma pan żonę... Rourke przerwał mu:

– Wielu ludzi ma żony, majorze – jego oczy uśmiechały się, ale głos brzmiał sucho.

Karamazow ciągnął dalej, zupełnie jakby nie dosłyszał tej ironicznej uwagi:

– Tak... Żonę i dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę, o ile dobrze pamiętam pańskie akta. Jak widzę, nadal działa pan w Centralnej Agencji Wywiadowczej.

– Gdzie pan to widzi, majorze?

– Porozmawiajmy wewnątrz.

Gdy strażnicy ruszyli do środka, Karamazow powstrzymał ich, mówiąc po rosyjsku:

– On nie może uciec. Czekajcie na końcu korytarza. – Potem po angielsku zwrócił się do Rourke'a: – Pan mówi w naszym języku, prawda?

– Pan wie, że tak – odparł John.

Jego własny głos wydał mu się dość dziwny. „Chyba z przemęczenia” – pomyślał.

– Tak, wiem. Proszę do środka.

Karamazow ustąpił na bok i doktor wszedł do środka. Na końcu długiego pomieszczenia stało biurko, za którym była już tylko ściana z plamą zerwanego tynku. Rourke przypuszczał, że przedtem znajdowały się tam insygnia sił powietrznych albo innych jednostek, zdarte po tym, jak załoga bazy zginęła wskutek wybuchu neutronowego i obiekt zaczęli okupować Sowieci. Kiedy helikopter niosący go, Rubensteina i dziewczynę przelatywał nad Galveston, słońce wschodziło już i John zauważył, że większość zabudowań pod nimi była zupełnie nietknięta, ale brak było jakichkolwiek oznak życia. Drzewa i inne rośliny były martwe. Nawet trawa była brązowa i uschnięta.

Obok biurka Karamazowa, na miękkim fotelu przy ścianie, siedziała Natalie. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Rourke usiadł na krześle naprzeciw biurka i po chwili usłyszał zbliżające się, stłumione przez dywan, kroki oficera KGB. Zaraz potem zobaczył majora, który postąpił chwilę za biurkiem, uśmiechając się, potem usiadł i powiedział:

– Więc to pan ocalił życie Natalii. Pan i ten ranny... Rubenstein. Jest Żydem, czyż nie?

– Myślałem, że jesteście komunistami, nie nazistami.

– Jak wiemy z historii, Żydzi lubią sprawiać kłopoty. Byłem tylko ciekaw. Dotychczas nie mieliśmy o nim żadnych danych. Jest nowy w pańskiej agencji?

John chciał odpowiedzieć, ale Natalie uprzedziła go.

– Władimir! Skończ z tym! Mówiłam ci: Rourke już nie pracuje dla CIA, a Rubenstein jest tylko wydawcą magazynu. Zetknęli się ze sobą dopiero po katastrofie samolotu.

– W takim razie co powiesz o tym? – Karamazow uderzył pięścią w blat. W dłoni trzymał kartkę identyfikacyjną Rourke’a, dokumentującą przynależność do rezerw CIA. Taką samą pokazał doktor w Noc Wojny na pokładzie samolotu, nim przejął stery od oślepionych pilotów.

– Przecież wiesz, że mają listy rezerwowe – powiedziała dziewczyna.

– Dajesz się ponieść emocjom, Natalio. Jesteś zmęczona, ten człowiek ocalił ci życie, wiele razem przeszliście. Ale ja trzymam rękę na pulsie!

Rourke sięgnął przez biurko i otworzył małe drewniane pudełko. Wewnątrz zobaczył cygara. Wziął sobie jedno bez pozwolenia i wyciągnął rękę po stojącą na biurku zapalniczkę. Karamazow targnął się w jego kierunku, ale gdy John spojrzał mu w oczy, usiadł z powrotem, a po krótkiej pauzie rzekł:

– Natalia Tiemerowna prawdopodobnie dała panu do zrozumienia, że będziecie zwolnieni, gdy tylko Żyd zostanie opatrzony przez naszych lekarzy. Oczywiście nie zostaniecie zwolnieni, jestem pewien, że zdawał pan sobie z tego sprawę. Jednakże ma pan okazję zapewnić sobie bezpieczeństwo i dobre traktowanie, mówiąc po prostu wszystko, co wie pan na temat ocalałych struktur CIA w pańskim kraju, wszystko, czego się pan dowiedział podczas podróży od czasu, gdy rozbił się ten samolot – wszystko. Jeśli pan to zrobi, pozostanie pan przy życiu i będzie traktowany jak należy. W przeciwnym wypadku... nie muszę chyba mówić. Obaj jesteśmy w końcu ludźmi światowymi.

Rourke wlepił wzrok w koniuszek cygara.

– Nie, nie wierzyłem jej, ale cieszę się, że ona uwierzyła samej sobie. Nie jestem już w CIA i to od dawna. A nawet gdybym był, nie powiedziałbym panu absolutnie nic. Chce pan informacji – niech pan zwoła chłopców z pentatolem i strzykawkami, a odkryje pan, że nic nie wiem. Jeśli chce pan wiedzieć, co widziałem po katastrofie samolotu, to powiem panu, nie jest to żadną tajemnicą wojskową. Każde miasto, które mijaliśmy, było albo opuszczone, albo splądrowane przez gangi bandytów, takich samych jak ci, których zgarnęły wasze jednostki z płaskowyżu.

– On ma rację – rzekła Natalie zimnym, stanowczym głosem.



– Więc powiem ci coś, Rourke. Wasz prezydent nie żyje. Macie nowego, Samuela Chambersa. Pojmaliśmy go mniej niż godzinę przed twoim przybyciem. Przebywa pod strażą w tym samym kompleksie, odpoczywa. Tobie też pozwolę odpocząć, a gdy chirurdzy skończą z twoim współnikiem z CIA, wtedy...

– On nie jest moim współnikiem z CIA – John niemal syknął, uderzając prawą pięścią w skraj biurka Karamazowa.

Karamazow oparł się plecami o fotel. Gdy mówił, uśmiech błędził po jego ustach:

– Rourke, pamiętam nasze spotkanie w Ameryce Łacińskiej. Byłeś tak pewny siebie, tak dobry w tym co robiłeś – nawet na Natalii wywarłeś wrażenie. Z jej raportu zrozumiałem, że twoje talenty pozostały niepomniejszone. Jeśli teraz okażesz taką inteligencję, jak wtedy, podejmiesz właściwą decyzję i wybierzesz życie, a nie śmierć. Natalia mówi mi, że ciągle żywisz nadzieję, iż twoja żona i dzieci przeżyły bombardowanie. Tak być powinno. Zaproponuję ci coś, co powinieneś rozważyć.

Jeśli rzeczywiście taki jesteś, jeśli jesteś tak mądry, jak utrzymuje Natalia – ciągnął Karamazow – nie tylko przeżyjesz, ale przyłączysz się do nas. Pomożemy ci odnaleźć rodzinę, jeśli przetrwała. Będziesz zajmował poczesne miejsce w nowym układzie...

John przerwał mu:

– Mówisz zupełnie jak oficer gestapo z „The Late Show” albo czegoś takiego. Pocałuj mnie w dupę.

Karamazow poderwał się, zsiniał na twarzy, a w jego głosie zagrała wściekłość:

– Jeszcze raz się tak do mnie odezwiesz... Przyciszonym niemal do szeptu głosem Rourke powiedział:

– Gdyby nie było tych czujek, przeżułbym cię i wypluł, Karamazow. I powiem ci: lepiej upewnij się, czy twoi ludzie mają na mnie oko, albo zabij od razu, bo jeśli nie, to będziecie mieli w KGB najpiękniejszą wdowę.

Popatrzył na Natalię, obserwując jej wyzutą z emocji twarz i dłonie nerwowo zaciśnięte w pięści.

Karamazow wdusił przycisk przy biurku i w kilka sekund później otworzyły się drzwi za plecami Johna. Usłyszał wchodzące do środka strażę. Nie odwrócił się. Karamazow, ciągle niepewnym głosem, wychrypiął po rosyjsku:

– Zabrać tego człowieka i zamknąć w pomieszczeniach na niższym poziomie. Pilnować go!

Rourke wstał uśmiechając się. Zgasił cygaro o blat biurka i zostawił je na nim.

– Wynoś się! – warknął po angielsku Karamazow.

# ROZDZIAŁ XL

Kapitan Reed, ssąc w ustach pustą fajkę, jeszcze raz obejrzał się przez ramię na radiooperatora i obrócił na pięcie, kierując się do wyjścia. Przeszedł zamaszystym krokiem przez wąski, piwniczny korytarzyk i przeskakując po dwa stopnie, dostał się na parter budynku. Przez otwarte drzwi biblioteki słyszał głos pułkownika Darlingtona, spokojny i opanowany, oraz furiackie wrzaski dowódcy sił paramilitarnych, Randana Soamesa:

– Ponad stu moich ludzi zostało zabitych przez tych przeklętych skurwysynów, komuchów, pułkowniku! A pan chce, bym się uspokoił!

Kapitan zapukał do drzwi i wszedł nie czekając na pozwolenie. Soames znowu zaczął mówić i Reed przerwał mu:

– Pułkowniku, osobiście sprawdzałem w kabine radiowej. Częstotliwość harriera jest otwarta i jeśli porucznik Brennan byłby na pokładzie, wezwałby nas. Kazałem przerwać nasłuch na tej częstotliwości. Myślę, że Rosjanie mogliby jej użyć, dopóki trzymamy ją otwartą, do namierzenia nas. Według mnie dostali Brennana i pojмали prezydenta.

Soames ciągle mówił, choć – jak sądził Reed – to, co wygadywał nie miało żadnego znaczenia.

– Dostali więcej niż setkę moich chłopaków, kiedy ci atakowali gang renegatów na jakimś cholernym płaskowyżu, w środku nocy, w cholernej nawałnicy. Zwyczajnie sfrunęli swymi helikopterami, miło i przyjemnie, jakby byli właścicielami całej tej zafajdanej ziemi.

– Owszem są, przynajmniej na razie – pułkownik Darlington splótł dłonie patrząc na Reeda.

Kapitan zwrócił się do Soamesa:

– Sir, czy nie słyszał pan, co powiedziałem? To znaczy, utrata pańskich ludzi jest istotna, jest okropna, ale czerwoni przypuszczalnie schwytali prezydenta Chambersa, gdy wylądował w Galveston!

– Wybierzemy sobie nowego – spokojnie powiedział Soames.

– Nie. Musimy odzyskać tego – rzekł Darlington, – Zastanawiałem się nad tym i sądzę, że kapitan Reed i inni zgodzą się ze mną. Nadszedł czas, byśmy pokazali Rosjanom, że ciągle możemy walczyć. Zgodnie z tym, co twierdzą resztki wywiadu wojskowego z obszaru Galveston, Rosjanie zajęli tam jedną z naszych ściśle tajnych baz. Przez jakiś czas pracowałem tam. Był w niej wzmocniony, podziemny kompleks, który miał ochronić załogę przed powietrznym wybuchem neutronowym. Musieli być tam, gdy wylądowali Rosjanie, a potem było już za późno. Prawdopodobnie właśnie ta baza lotnicza jest teraz użytkowana przez Sowietów i najpewniej tam trzymają Chambersa. Sądzę, że przyskrzynili również kilkuset naszych lotników. Nie mieli czasu na przetransportowanie ich do obozu więziennego.

– Chce pan na nich uderzyć, sir?

Reed nabił fajkę tytoniem i spojrzał na Darlingtona.

– Jak pan sądzi, kapitanie, pańscy chłopcy na ziemi, kilka moich harrierów w powietrzu – damy radę to zrobić? Dostać się do środka i odbić Chambersa, może uwolnić naszych ludzi? Pokąsać nieco Rosjan i dać im znać, że trzymamy się nieźle? Ludzie Soamesa ubezpieczaliby tyły – to jego działka.

– Możemy wylądować około 75 mil od tego miejsca, a potem podejść ich – podchwycił Randan.

– Bliżej. Mogę dostarczyć was na odległość 20 mil od bazy. Jeśli chce pan spróbować – w końcu to pańscy ludzie. Co pan na to, Reed?

Reed spojrzał na pułkownika sił powietrznych i przytaknął, po czym zapalił fajkę. Soames ciągle mamrotał coś o przeklętych komuchach.

# ROZDZIAŁ XLI

Rourke usłyszał stukanie do drzwi małego pokoju z dwoma łózkami, w którym był zamknięty, potem drzwi otworzyły się i w progu stała Natalia. Miała na sobie białą bluzę z długimi rękawami, czarną plisowaną spódnicę i pantofle na wysokim obcasie. Uczesanie, makijaż – z trudem mógł sobie przypomnieć, jak wyglądała na płaskowyzu, w zabłoconych spodniach, z mokrymi włosami przyklejonymi do twarzy. W biurze Karamazowa różnica nie wydawała się tak szokująca, choć to zaledwie trzy godziny temu – sprawdził na zegarku.

– Mogę wejść, John? – spytała.

– Ty tu rządzisz, nie ja. Wchodź – rzekł wstając.

– Myślałam, że będziesz chciał wiedzieć... Paula zabrano z chirurgii-Przebywa teraz na oddziale intensywnej terapii, jak to nazywacie. Ale już jest dobrze. Nie ma większych uszkodzeń jelit, czy czegoś tam – nie znam się za bardzo na anatomii. Założyli mu dren do żołądka, ale wyjdzie z tego.

– To dobrze – rzekł Rourke i dodał: – Dziękuję, wiem, że próbowałaś. Nie jestem na ciebie zły, naprawdę. Zrobiłaś tyle, ile mogłaś.

Przez chwilę nic nie mówiła. Potem oznajmiła:

– Widziałam Chambersa. Nic mu nie jest. Nie dawali mu żadnych środków uspokajających ani nic takiego. Z Chicago leci samolot po ciebie. Chambersa też chcą zabrać. Generał Warakow chce zobaczyć was obu. W zasadzie macie szczęście, Warakow to dobry człowiek. Będzie bardziej przystępny od Karamazowa.

– Tak, prawdziwi szczęściarze – powiedział John nie próbując kryć goryczy w głosie.

– Przyniosłam ci cygaro – jej twarz rozjaśniła się. Podała mu je, a potem sięgnęła do prawej kieszeni spódniczki i wyjęła swoje papierosy i zapalniczkę. Zapaliła Rourke'owi cygaro, potem sobie papierosa. Usiadła na łóżku obok niego.

167

– John? – Nie jesteś już w CIA, prawda?

– Mówiłem ci, że nie. Teraz obchodzi mnie tylko jedno: odnaleźć żonę i dzieci.

– Opowiedz mi o nich, o wszystkich.

– Po co?

– Po prostu opowiedz mi o nich, proszę – powiedziała szeptem. Rourke spojrzał na nią, zatopił wzrok w jej błękitnych oczach, podziwiał nadzwyczajny profil twarzy.

Zaciągnął się dymem z cygara, mówiąc:

– Cóż, mój syn, Michael, ma sześć lat: przemądrzały, niezależny młody chłopak, ale ty byś powiedziała – świetny mały mężczyzna. Annie, moja córka, ma dopiero cztery: ucieszna, czasem

zaskakująca, piękna jak jej matka. Czasami potrafi doprowadzić cię do szaleństwa.

– Jaka jest twoja żona? – pytała Natalia.

– Sarah jest ciemnowłosa. Jest brunetką, tak myślę. Ma inne włosy niż ty. I szaro – zielone oczy. Jest inteligentna, bardziej niż ja. Co ja mówię, jest więcej niż inteligentna. Ma szerokie horyzonty... jest...

– Bardzo ją kochasz?

– Rozmawialiśmy już o tym, czyż nie?

– Daj mi szczerą odpowiedź na jedno pytanie – powiedziała.

– Dobrze, jeśli tylko potrafię – odrzekł Rourke obserwując koniuszek cygara, nie mając ochoty patrzeć na Natalię.

– Jeśli nigdy nie spotkałbyś Sarah, nie miałbyś Michaela i Ann... czy wtedy...ach, nieważne, John.

– I zaczęła podnosić się z łóżka.

Rourke położył lewą rękę na jej przedramieniu, jego dłoń zsunęła się z jej dłoni.

– Może jestem szalony... – powiedział siląc się na uśmiech.

– Nie – odrzekła cicho. Spojrzała w kierunku drzwi i podciągnęła szybko spódniczkę na prawej nodze. Rourke zobaczył mały pistolecik COP, 357 Magnum, z nierdzewnej stali, przymocowany bandażem do uda. Rozwiązała bandaż i wepchnęła pod poduszkę. Zważyła broń w dłoni i wymierzyła w niego.

– John, twoja i Rubensteina broń jest w biurze mojego męża. On dowiedział się o planowanym na dzisiejszy wieczór ataku na bazę. Mamy szpiega w organizacji Chambersa w Teksasie. Władimir przygotowuje w związku z tym uderzenie neutronowe, a później Chambers i ty odleciecie do Chicago. Nigdy nie odnajdziesz żony i dzieci. Rubensteina zmuszą do mówienia, a kiedy się okaże, że nic nie wie, zabiją go. Nie uciekłbyś stąd bez prezydenta, prawda?

– Szczerze? – spojrzał jej w oczy.

– Wiem, że nie. Jeśli pomogę ci wydostać się stąd, razem z Chambersem i Paulem, czy obiecasz mi jedną rzecz? Że nie zabijesz nikogo, jeśli nie będziesz do tego zmuszony?

– Obiecuję – odpowiedział Rourke.

– To dotyczy też Władimira. Nie zabijesz go, chyba, że w obronie własnej?

– Kochasz go? – zapytał.

– Nie wiem – powiedziała stanowczo. – Przygotuj się, sprowadzę strażnika do środka.

Wstała i podeszła do drzwi, odgarniając włosy z twarzy. Zastukała w drzwi mówiąc po rosyjsku:

– Kapralu, proszę do środka. Ten więzień miał broń, rozbroiłam go. Proszę wejść i asystować mi.

Drzwi otwarły się i młody kapral powiedział:

– Już jestem, towarzyszeko kapitan. – Przekroczył próg. Gdy mijał ją, uderzyła go zaciśniętym w prawej dłoni pistoletem COP w kark. Rourke zrobił krok do przodu i chwycił młodego żołnierza, zanim ten uderzył o podłogę, a potem zaciągnął go na łóżko. Podczas gdy odbierał mu broń i wiązał go żołnierskim pasem od spodni, dziewczyna stała przy drzwiach na czatach. John powiedział do niej:

– Jak masz zamiar wyjść z tego cało?

– Nie martw się o mnie. Najpierw uwolnimy Chambersa, a potem wydostaniemy Paula. Zorganizowałam już to, że przetransportowano wasze motocykle i wyposażenie do jednej z wind, których używa się do wynoszenia samolotów na pas startowy. Czeka tam jedna z maszyn,

zatankowana i gotowa do startu. Potrafisz ją poprowadzić?

– Jeśli tylko przyrządy nie są opisane po arabsku, poradzę sobie. Dlaczego to robisz?

Spojrzała na niego mówiąc:

– Dałam słowo. Dotrzymam go, tak jak ty.

Nic nie odpowiedział sprawdzając karabin nieprzytomnego strażnika, ale zauważył, że dziewczyna uśmiecha się.

# ROZDZIAŁ XLII

Rourke posuwał się przy podstawie schodów, dziewczyna za nim. W tym miejscu holl był zaciemniony. Światło padało ze szczytu schodów, gdzie znajdowało się główne piętro podziemnego kompleksu. Chambers przetrzymywany był właśnie tam. Dwóch strażników stało przed drzwiami, trzeci był w środku, by zapobiec próbie samobójstwa. Na tym piętrze, pod pasem startowym i podziemnymi hangarami, znajdowało się skrzydło szpitalne i biuro Karamazowa. John wytłumaczył Natalii, że musi stawić czoła jej mężowi, by powstrzymać go przed użyciem przeciw atakującym broni neutronowej. Kiedy już odleci z Chambersem, będzie mógł skontaktować się z siłami Stanów Zjednoczonych na ziemi i ostrzec ich, że atak może zostać odwołany, ponieważ prezydent jest wolny.

Spojrzał w górę, zobaczył obute nogi strażnika i cofnął głowę sygnalizując dziewczynie, by była ostrożna. Natalia przysunęła się do podstawy schodów, wygładziła bluzkę i ukryła za spódnicą pistolecik COP. Zaczęła wchodzić po stopniach. Rourke trzymał się z tyłu. Słyszał urywki krótkiej rozmowy prowadzonej po rosyjsku, a potem szuranie butów i głośny łomot. Wyskoczył zza rogu i spostrzegł w połowie schodów staczające się ku niemu ciało rosyjskiego wartownika. Ściągnął mężczyznę na dół klatki schodowej, odebrał mu AK-47 i – kiedy zaczynał go krępować zdał sobie sprawę, że strażnik ma złamany kark. Ten człowiek nie żył.

John wszedł na schody. Natalia stała trzy stopnie poniżej szczytu i obserwowała korytarz. Rourke zatrzymał się stopień niżej, mówiąc:

– On nie żyje. Ty to zrobiłaś?

Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Potem kąciki ust opuściły się i powiedziała:

– Musiałam. Zorientował się, że coś jest nie tak.

– I miał rację – odparł oglądając się w dół.

– Gdzie trzymają Chambersa? Gdzieś tutaj?

– Za rogiem.

John zdawał sobie sprawę, że będzie zmuszony obezwładnić wartowników pod drzwiami, jeśli Natalii nie uda się tego zrobić swoim sposobem. Najbardziej jednak martwił go strażnik wewnątrz celi. Domyślał się, że był nie tylko po to, by przeciwdziałać próbie samobójstwa, ale miał rozkaz zabić Chambersa w przypadku, gdyby ktoś próbował go oswobodzić.

Rourke położył się na schodach i z poziomu podłogi obserwował odchodzącą hallem Natalię. Zauważył, jak skręca za róg. Nie widział nikogo więcej i nic nie słyszał, więc podniósł się i ruszył korytarzem, trzymając się blisko ściany. Na rogu zatrzymał się, wsłuchując się w odgłos jej kroków. Ponownie usłyszał prowadzoną po rosyjsku rozmowę. Rozumiał ją na tyle, by zdać sobie sprawę, że Natalia ma pewne kłopoty z przekonaniem strażników, iż powinni ją wpuścić. Ostatecznie usłyszał,

jak dziewczyna mówi:

– Mam więc pójść i wrócić z towarzyszem majorem Karamazowem? Musi was osobiście poinformować, że mam zobaczyć więźnia Chambersa w celu wydostania pewnych ważnych informacji? I to natychmiast? No więc?

John ponownie usłyszał jej kroki, zbliżające się ku niemu korytarzem, potem cięższe stąpanie żołnierskich butów. Ochryply męski głos, używając tak złej gramatyki, że nawet Rourke to zauważył, powiedział:

– Zaczekajcie, towarzyszeko kapitan Tiemerowna! Możecie oczywiście Chambersa więźnia zobaczyć. My tylko próbowaliśmy...

– Tak, wiem, i bardzo wam się to chwali, ale teraz nie ma czasu. Pospieszcie się. – Kroki znowu oddalały się.

– Spieszcie się, nie ma czasu. Otwórzcie drzwi! Rourke usłyszał odgłos otwieranych drzwi. Ruszył korytarzem w morderczym biegu, mając nadzieję dopaść obydwu mężczyzn. W połowie długości korytarza zrozumiał, że nie było to dobre rozwiązanie. Jeden ze strażników już się do niego odwracał. John wsunął palec pod osłonę spustu AK-47 i pociągnął za języczek. Pierwszą trzystrzałową serią ściał bliższego wartownika. Wtem posłyszał stłumiony odgłos wystrzału, głośny jak z pistoletu dużego kalibru. Zignorował go wystrzelując kolejną trzystrzałową serię w drugiego strażnika, który już sięgał do przycisku alarmu we framudze drzwi. Wartownik osunął się na ścianę, lecz ręką nadal usiłował sięgnąć do przycisku. Rourke dopadł do niego, kolbą zbił jego rękę i kopnął drzwi od celi Chambersa.

W środku stała Natalia. Trzeci rosyjski strażnik leżał martwy na podłodze, pośrodku jego czoła widniał niewielki otwór.

W siwiejącym, wysokim mężczyźnie przyglądającym się Natalii, rozpoznał znanego ze zdjęć w gazetach, Samuela Chambersa. Prezydent odwrócił się do niego, mówiąc:

– Jesteście komandosami?

– Nie, panie prezydencie – odpowiedział doktor pozwalając sobie na długie westchnienie. – Tylko utalentowanymi amatorami. Nic panu nie jest?

– Na razie nie.

Rourke wrócił na korytarz i zabrał wartownikom obydwa karabiny. Jeden wręczył Chambersowi, drugi – wraz z zapasowymi ładunkami – podał Natalii. Przewiesiła go sobie przez plecy. W drugim, trzymanym w dłoniach, sprawdziła magazynek. John popatrzył na nią i rzekł:

– Przykro mi. Staralem się do tego nie dopuścić.

– Wiem – odrzekła spokojnie. – Chodźmy, musimy wydostać Paula.

– Kto to jest Paul? – spytał Chambers.

Doktor chciał odpowiedzieć, ale dziewczyna ubiegła go:

– Nieważne, panie prezydencie. Jak tylko pozna pan Paula, od razu go pan polubi.

Rourke spojrział na nią mówiąc:

– Idź po Paula z prezydentem, chyba że uważasz, iż będę ci potrzebny. Ja muszę powstrzymać Władimira, tym bardziej teraz, po tej strzelaninie. Gdzie jest winda?

– Na końcu tego korytarza – odpowiedziała. – Po wyjściu z niej pójdziesz w prawo do samego końca. Będziesz widział pole startowe. Tylko pospiesz się, bo niedługo wszyscy wartownicy będą już powiadomieni.

John cofnął się do holu, zabrał jednemu z zabitych strażników dwa zapasowe magazynki i ruszył



korytarzem w stronę biura Karamazowa. Przebył zaledwie połowę jego długości, gdy zawyły syreny. Nagle w drzwiach pojawiło się trzech umundurowanych żołnierzy sowieckich. Jeden trzymał swój AK-47 w rękach, dwaj pozostali broń mieli przewieszoną przez plecy. Amerykanin otworzył ogień trafiając pierwszego, nim tamten zdążył się rozejrzeć, a potem zajął się następnymi dwoma, którzy właśnie ścigali karabiny z pleców.

Pobiegł dalej, dotarł do drzwi Karamazowa i stając krok od nich władował w zamek trzy kule. Drzwi otwarły się na oścież i Rourke odskoczył w bok. Z wnętrza biura dotarł do niego odgłos wystrzału z broni automatycznej.

Przylgnął do ściany i krzyknął:

– Nie chcę cię zabić, Karamazow, chyba, że będę musiał. Wysłuchaj mnie.

Rozległ się kolejny wystrzał. John spojrzął w stronę hollu. Zdawał sobie sprawę, że w ciągu minuty zaroi się tam od sowieckich żołnierzy i wszystko będzie stracone. Wyrzucił z AK-47 niemal do cna zużyty magazynek i zastąpił go nowym. Skierował karabin w otwarte drzwi gabinetu Karamazowa i kropił krótkimi seriami, przesuwając lufę w dół, w lewo i w prawo. Potem skoczył przez próg i przetoczył się po dywanie. Major strzelał stojąc za swoim biurkiem, ale seria, która uderzyła tuż przed nim, zmusiła go do pochylenia się.

Rourke stanął na nogi, podbiegł i rzucił się przez biurko wprost na podnoszącego się Karamazowa. Jego ręce sięgnęły ku gardłu majora, zaś prawe kolano grzmotnęło kagebistę w pachwinę. Obaj mężczyźni przewrócili się na podłogę. John miał już teraz zarys planu, który przy okazji pozwoliłby mu dotrzymać obietnicy danej Natalii. Nie mógł zabić Karamazowa, Rosjanin był jedyną przepustką do korytarza i windy lotniczej z Chambersem, Rubensteinem i dziewczyną.

Karamazow oderwał dłonie napastnika od gardła, w jego prawej ręce pojawił się mały rewolwer. John obrócił się i kantem dłoni uderzył majora w nadgarstek, wytrącając broń na podłogę. Prawym zamachowym dosięgnął szczęki Rosjanina, rzucając go plecami na ścianę, a potem zanurkował na podłogę po rewolwer. Pochwycił go wreszcie i zdołał jeszcze instynktownie przeturlać się, gdy w miejscu, gdzie sekundę wcześniej była jego głowa, roztrzaskało się krzesło. Rewolwer tkwił teraz w prawej dłoni Rourke'a. Wyprostował ramię, kciukiem odciągnął kurek i lufa małej „trzydziestki ósemki” znalazła się na jednej linii z twarzą Karamazowa. Rosjanin zamarł.

– Mrugnij tylko i już jesteś trupem – ledwie słyszalnym głosem oznajmił John. Podniósł się na nogi i podszedł do rywala, odwrócił go twarzą do ściany i szybko obszukał, przyciskając lufę do jego prawej skroni. Następnie obejrzał się przez ramię. W progu tłoczyło się czterech sowieckich żołnierzy. Krzyknął po rosyjsku:

– Ruszcie się, a Karamazow dostanie – i dodał – mówię poważnie!

Przycisnął lufę „trzydziestki ósemki” silniej do skroni i rzekł chrapliwym głosem:

– Powiedz coś do nich!

Karamazow, głosem drżącym ze strachu i wściekłości, rozkazał:

– Róbcie, co każe ten człowiek. To rozkaz.

– Wspaniale – wyszeptał John. – Powiedz im teraz, by się stąd wynieśli i opuścili korytarz. Za jakieś dwie minuty, ty i ja wyjdziemy stąd, a pierwszy facet z bronią, którego dojrzę, oznacza, że jesteś trupem. Chwytasz w czym rzecz?

Karamazow milczał. Doktor docisnął lufę rewolweru do jego głowy i powtórzył:

– Chwytasz?

– Tak, tak... Zrozumiałem. – Potem po rosyjsku powtórzył instrukcje Rourke'a. Jeden z żołnierzy

chciał coś powiedzieć, więc John ponownie zwiększył nacisk na skroń.

Major krzyknął po rosyjsku coś, co Amerykanin nie do końca zrozumiał, lecz żołnierz zamilkł i cała czwórka zniknęła z progu.

– Byłeś naprawdę dobry, Władimir. Jestem z ciebie dumny – powiedział Rourke, wciąż trzymając pistolet przy głowie Rosjanina. – A teraz, gdzie jest moja broń? Szybko!

– W szafie – rzekł Karamazow.

– Doskonale. Chodźmy więc po nią.

Poprowadził majora, nie odrywając od jego głowy „trzydziestki ósemki”. Rosjanin otworzył szafę i John kazał mu zdjąć z półki bliźniacze „czterdziestki piątki”, pythona i dwucalowego lawmana, a potem wyjąć z kąta szafy CAR-15 i steyra.

– Gdzie jest torba z magazynkami i amunicją? – Nie wiem. Sądzę, że przy waszych motorach.

– Dobrze – niemal szeptem rzekł Rourke. – Teraz na kolana i bądź naprawdę ostrożny. Skontrolujesz pistolety i CAR-15 tak, żebyśmy widział, że są załadowane. Pośpiesz się!

Kiedy Karamazow powoli sprawdzał każdy pistolet, John założył uprząż z kaburami pod ramiona, przekładając z ręki do ręki rewolwer, którym naciskał na skroń kagebisty. Włożył detoniki pod pachy i nakazał Rosjaninowi wstać z podłogi.

– Podaj mi ten pas z pythonem – rzekł. Przewiesił pas przez lewe ramię, wycelowując w głowę Karamazowa metalizowaną sześciocalową 357-kę, a mały rewolwer wciskając do kieszeni na biodrze. Zarzucił na prawe ramię CAR-15 i zdjął zabezpieczenie. Za pas zatknął dwucalowego lawmana.

– Zapomniałeś o moim nożu. Gdzie on jest? – zapytał Rourke.

– W moim biurku – odpowiedział major.

– Trzeba go wziąć. Mój portfel oraz zapalniczkę również, no nie?

Nie spuszczać muszki pythona z głowy Karamazowa, John powoli podszedł do biurka, gdy Rosjanin zaczął otwierać górną szufladę. Odepchnął go i sam ją otworzył. Był tam jego portfel, czarny chromowany sting, zapalniczka zippo, a także automatyczny 9 mm Smith Wesson, Model 59.

– Powinienem cię zabić, Władimir. Hej, jak się zwracają do ciebie ludzie? Władi? Podoba mi się. Będę do ciebie mówił Władi – powiedział uśmiechając się. – A teraz, Władi, pójdziemy korytarzem. W tej zgrabnej walizeczce poniesiesz mojego steyra, tylko bądź z nim bardzo ostrożny. To fantastyczna broń, kiedyś w lesie ocaliła mi tyłek. Wspaniałe karabin. Dobra, weź go, idź bardzo wolno i staraj się zawsze czuć to – szturchnął go metalizowanym pythonem – na karku. Bo jeśli przestaniesz czuć, pociągnę za spust.

Rourke odciągnął kciukiem kurek i włożył palec za osłonę cyngla.

– W porządku, idziemy. Karamazow nie ruszył się.

– Zabij mnie teraz – rzucił.

John wiedział, że Natalia była już spalona przez tę pomoc w ucieczce. Powiedział:

– Obiecałem twojej żonie, że tego nie zrobię, chyba że będę musiał. Wybór należy do ciebie. Chcesz być martwym bohaterem, czy wolisz przeżyć, by walczyć następnego dnia? Co wybierasz?

Rosjanin ruszył ku drzwiom gabinetu. Doktor przełożył pythona do lewej ręki, zamykając prawą dłoń na kolbie CAR-15 i kładąc palec na spuście. Wyszli na korytarz i Rourke dojrzał w połowie jego długości co najmniej szóstkę rosyjskich żołnierzy.

– Krzyknij na nich – wyszeptał. Karamazow powiedział głośno po rosyjsku:

– Dałem rozkaz. Macie się mu podporządkować! Pozwólcie nam przejść i trzymajcie się

z daleka. To rozkaz!

Żołnierze – niektórzy ociągając się – zniknęli z korytarza. Rourke ruszył szybciej, mówiąc do majora KGB:

– Wydłuż nieco krok, jestem odrobinę spóźniony. Gdzie jest radiostacja? – Rosjanin przez chwilę nie odpowiadał i doktor powtórzył pytanie: – Gdzie jest radiostacja, Władimir, hę? – przycisnął mocniej lufę pythona do karku mężczyzny.

– W sektorze warsztatów, na drugim końcu korytarza, po prawej. Ale nigdy ci się to nie uda.

– Lepiej módl się do mumii Lenina, żeby mi się to udało, chłopie. Jesteśmy razem, pamiętaj o tym. Mnie się nie uda, to i tobie się nie uda. Ruszaj się!

John przyspieszył, Karamazow szedł tuż przed nim. Byli w połowie korytarza, gdy znowu pojawili się przed nimi rosyjscy żołnierze. Rourke chciał coś powiedzieć majorowi, ale ten uprzedzając go krzyknął po rosyjsku:

– Wynoście się stąd! To rozkaz!

– Dobrze – powiedział cicho doktor rozglądając się wokół. Nikogo za nim nie było, ale wiedział, że gdy tylko dojdą do końca hallu i skręcą w prawo, korytarz się wypełni rosyjskimi żołnierzami.

– Czego chcesz w radiostacji?

– Odwołasz powietrzny atak neutronowy – odrzekł Rourke. Karamazow zatrzymał się.

– Ona ci to powiedziała?

– Czytam w myślach – odparł. – A teraz ruszaj, chyba że chcesz, by twój mózg ozdobił sufit.

Dalej!

Major ruszył mówiąc:

– Dlaczego miałbym odwołać ten atak? A nawet gdybym to zrobił, czemu mieliby mnie posłuchać?

– Lepiej módl się, żeby posłuchali – rzekł Rourke – bo gdy już się stąd wydostanę – z Chambersem, rzecz jasna, zamierzam ocalić wasze tłuste dupy i odwołać siły interwencyjne, jeśli tylko będę w stanie to zrobić. Jedziemy na tym samym wózku, przyjacielu. Kiedy dostanę się na pole startowe i zadbam, by wrota wind pozostały otwarte, to – o ile się orientuję – schron straci swoją odporność na promieniowanie neutronowe. I wszyscy się usmażycie. Powiesz to swoim szefom – podsumował.

Nic nie wiedział na temat konstrukcji podziemnego kompleksu i nie miał podstaw, by przypuszczać, że schron będzie czuły na atak przy nie zamkniętych wrotach wind, ale zakładał, że ani Karamazow, ani jego zwierzchnicy nie będą tego pewni.

Dotarli do końca korytarza i skręcili w prawo. Za plecami mężczyzn było słychać szuranie butów, lecz przed nimi nie było nikogo.

– Jak daleko jest do radiostacji, Władimir?

– To tam – Rosjanin uniósł dłoń i wskazał na drzwi oddalone o jakieś sto jardów. – Tamte drzwi.

– Dobrze – powiedział Rourke. – Gdy tam dojdziemy, zapukasz do drzwi i podadzą ci na zewnątrz mikrofon. Chwytasz? Nie będziemy wchodzić do środka. – Widział, jak agent KGB wzruszył lekko ramionami. – A jeśli nie starczy kabla, to znajdą przedłużacz.

Rosjanin chciał odwrócić głowę, ale John znowu szturchnął go pythodem.

– Nigdy ci się nie uda wydostać stąd żywym, a jeśli jakimś cudem tego dokonasz i nie zabijesz mnie, znajdę cię, nawet gdybym miał przetrząsnąć cały ten gówniany kraj. Będę szukał i szukał, aż cię znajdę.

– Z powodu tego, co zaszło – spytał John naciskając lekko rewolwerem – czy z jej powodu?

– A jak myślisz? – warknął Karamazow.

– Między nami nic nie było. Mogło być, ale nie było. Cały problem w tym, że ta dziewczyna jest samotna. Byłeś już żonaty, gdy brałeś z nią ślub, byłeś żonaty ze swoją pracą. To przytrafia się wielu facetom o znacznie bardziej prozaicznych profesjach. To wyjątkowa kobieta, jesteś szczęściarzem. Wydaje mi się, że może to jest prawdziwy powód, dla którego nie chcę cię zabić.

Rosjanin zatrzymał się i odwrócił. Ignorując lufę pistoletu przy głowie spojrzął na Rourke'a. A ten powiedział cicho:

– Prawie ci zazdroszczę... jej. Jeśli byłbyś na tyle głupi, żeby ją stracić, powinienem cię zastrzelić już teraz.

Ponownie przyłożył pythona do głowy Karamazowa i przeszli kilka ostatnich jardów do drzwi radiostacji.

– Zapukaj i bądź grzeczny – rzekł John szeptem. Oficer zapukał do drzwi, krzycząc po rosyjsku:

– Major Karamazow, otworzyć drzwi! Natychmiast! Drzwi otworzyły się i ukazał się żołnierz z karabinem w rękach. Rourke powiedział po rosyjsku:

– Odlóż to albo będziesz miał martwego majora. Chcesz być za to odpowiedzialny? No dalej, zostań bohaterem Związku Sowieckiego!

Żołnierz zawahał się przez chwilę, potem cofnął się do pokoju.

– Powiedz, żeby dali ci połączenie – doktor zwrócił się po angielsku do Karamazowa.

Major zawahał się, a potem krzyknął do wnętrza pomieszczenia. Za chwilę ten sam młody Rosjanin, który pojawił się w progu z karabinem, przyniósł Władimirowi mikrofon. Rourke przesunął Karamazowa tak, by ponad jego ramieniem widzieć wnętrze kabiny radiowej. Zerknął w głąb korytarza i zobaczył pojawiające się tu i ówdzie twarze. Powiedział do agenta KGB:

– Wejdz na linię i spraw się dobrze, odwołaj uderzenie neutronowe. Pamiętaj, że całkiem nieźle znam rosyjski.

Major nacisnął guzik przy mikrofonie i zaczął mówić. Z głośnika we wnętrzu pokoju dobiegły najpierw dźwięki zakłóceń, a potem jakiś gardłowy głos. John wsłuchał się weń i w argumentację Karamazowa, który w końcu opisał sytuację, w jakiej się znalazł. Zaległa długa cisza, po czym głos po drugiej stronie zastąpiony został przez inny, mówiący po angielsku.

– Mówi generał Warakow. Nazywasz się Rourke, tak? Nie chcę, by Karamazow został zabity, przynajmniej na razie. Był zbyt dumny, być może to dobrze zrobi jego... jakie to łacińskie słowo... jego ego. Tak. Odwołałem uderzenie bronią neutronową. Spotkamy się pewnego dnia. Aż trudno uwierzyć, że działasz w pojedynkę.

Władimir popatrzył na Johna i przez chwilę ich spojrzenia zwały się. Rourke wziął od niego mikrofon.

– Generale, nie działałem samodzielnie. Uwolniłem prezydenta Chambersa i on mi pomógł. Ma pan w nim silnego adwersarza. Dam panu radę, proszę go nie lekceważyć.

– I pewna rada dla ciebie, mój młody przyjacielu – rozległ się głos generała. – Tej nocy zużyłeś wszystkie dziewięć wcieleń kota. Powiedz też twojemu prezydentowi, Chambersowi – niechaj mnie nie lekceważy. – I radio zamarło.

Rourke odłączył mikrofon od kabla i rzucił go w głąb pustego korytarza, mówiąc do Karamazowa:

– Wynośmy się stąd, abym mógł odwołać atak, zanim będzie za późno.

Pobiegł lekkimi susami w kierunku sektora lotniczego, wciąż trzymając broń wycelowaną w głowę agenta KGB. Słyszał za sobą szuranie rosyjskich butów o podłogę korytarza, ale nie odwrócił się.

# ROZDZIAŁ XLIII

Sektor wind podziemnego hangaru i kompleks techniczny był olbrzymi, większy, niż Rourke mógłby sobie wyobrazić. Dwusilnikowy samolot stał już przygotowany, motocykle były załadowane na pokład. Chambers siedział na stanowisku drugiego pilota. John odetchnął z ulgą, widząc, że nowy prezydent zna się na pilotażu. Natalia zabrała Rubensteina ze szpitala i razem z kompletnym wyposażeniem medycznym umieściła na pokładzie samolotu. Nie odezwała się do męża, gdy podszedł do niej razem z Johnem. Za nimi zatrzasnęły się drzwi prowadzące do sektora wind, odcinając ich masywną żelazną ścianą od reszty kompleksu.

– Jak tam wskaźniki, panie prezydencie? – krzyknął Rourke przez otwarty luk. Prezydent uniósł kciuk do góry, a doktor odwrócił się do Karamazowa i rzekł:

– Cóż, majorze. Wygląda na to, że nam się uda. Czy muszę pana uziemić – w slangu to tyle, co ogłuszyć – czy po prostu stanie pan spokojnie i zaczeka?

Major nie odpowiedział. Odezwała się natomiast Natalia:

– Przypilnuję go, John. Nie musisz go ogłuszać. Rourke spojrzał na nią mówiąc:

– Nie mogę cię tu zostawić... Oni ciebie...

– Nawet gdybym poleciała z tobą, to nie przestałabym być agentką KGB. Twój ludzie nie przywitaliby mnie z otwartymi rękoma. Poza tym...

– Mogę zastawić cię gdzieś między jednymi i drugimi – zasugerował przyciszonym głosem.

– Jeśli wrota zostaną otwarte, zdolni są wyciągnąć jeden z amerykańskich myśliwców i ruszyć w pościg. Zestrzelą cię.

– Nie pozwolę ci zostać – rzekł John. – Po tym, co zrobiłaś? Dziewczyna spojrzała na męża, mówiąc do Rourke'a:

– Nie wydaje mi się, żeby Władimir zameldował, co zrobiłam. Znajdzie sposób, by to zatuszować. Warakow nie chce jego śmierci, no i nie zabije mnie, pozwalając mu dalej żyć. Prawdopodobnie odejdę w stan spoczynku jako agentka.

Karamazow powiedział:

– Nie zabiję jej. Natalia wtrąciła:

– Nie. Pozwoli mi żyć. Ale nigdy nie wyzbędzie się urazy. Każdym spojrzeniem, każdym gestem będzie mi to wypominał, ale nigdy nie powie słowa. Władimir i ja byliśmy towarzyszami dłużej niż jesteśmy małżeństwem. Znam jego sekrety.

– Wpadliśmy na siebie w środku opery mydlanej, co? – Rourke uśmiechnął się do dziewczyny.

W oczach Karamazowa widać było dezorientację i Natalia roześmiała się, po czym dodała, zwracając się do męża:

– To była klasa w szkole „Chicago”, której nie zaliczyłeś, kochanie. Agentki zapoznawały się z filmami pokazywanymi popołudniami w telewizji po to, by mogły stać się takie, jak każda amerykańska kobieta. – Odwróciła się do Rourke’a mówiąc: – Twoja Sarah ogląda te opery mydlane, John? Czy może raczej oglądała?

– Nie – odpowiedział uśmiechając się do niej.

– Tak też przypuszczałam – zaśmiała się.

Rourke sięgnął do kieszeni na biodrze i podał jej mężowski rewolwer. Chciał powiedzieć, że ma nadzieję, iż jeszcze się zobaczą, chciał pocałować ją na pożegnanie, ale wyciągnął tylko prawą rękę i rzekł:

– Do widzenia.

Kobieta uśmiechnęła się, kąciki jej ust uniosły się lekko. Podeszła do niego szepcząc:

– Daswidanja.

– Tak – odpowiedział wchodząc na pokład samolotu. – Przyciśnij guzik windy i potem: daswidanja.

John wszedł do kokpitu. Kiedy zapinał pasy na siedzeniu pilota i nakładał słuchawki, myślami był przy Natalii. Daswidanja było jak niemiecki auf wiedersehen, znaczyło „do następnego spotkania” – przypomniał sobie.

Winda ruszyła do góry, wrota nad ich głowami rozdzieliły się i przez otwarte okienko kokpitu poczuł zapach nocnego powietrza. Spojrzał przez ramię na śpiącego kilka stóp za nim Rubensteina.

– Panie prezydencie – zaczął – mam zamiar szybko się wznosić, więc potrzebna mi będzie pańska pomoc przy sterach.

Sięgnął za głowę i sprawdził przełączniki. Kiedy winda zatrzymała się, John otworzył przepustnicę i samolot ruszył przez ciemność w poprzek pasa startowego. Skręcił ustawiając się pod wiatr i dodał gazu. Ogrodzenie było coraz bliżej.

Prezydent krzyknął:

– Co pan robi?!

– Omijam pułapkę, którą prawdopodobnie umieścili na końcu pasa startowego. Wznosimy się!

Rourke pociągnął za stery, dziób samolotu uniósł się, lecz koła toczyły się jeszcze chwilę po nawierzchni pasa startowego, potem podniosły się i przemknęli tuż nad barierką ogrodzenia.

John zgasił światła samolotu i począł wznosić się ostro w górę. Prawą ręką sprawdzał skalę pokładowego radia. Pasma po paśmie.

Chambers rzekł:

– Kogo pan chce wzywać, Rourke?

– Złożyłem obietnicę, panie prezydencie. Według mnie powinni na pana żądanie odwołać atak, jeśli tylko znajdziemy ich częstotliwość.

– Dlaczego miałbym to robić? – spytał. Rourke odparł spokojnie:

– Panie prezydencie, przy całym szacunku dla pana, ten samolot może lecieć w dwóch kierunkach: z dala od Rosjan i dokładnie przeciwnie, z powrotem do nich. Niech się panu nie wydaje, że nie byłbym do tego zdolny!

Zapadła cisza. Odszukał częstotliwość słysząc paplaninę w języku angielskim.

– Jest pan na linii, sir – wyszeptał w ciemność.

Odetchnął, gdy prezydent zaczął mówić do mikrofonu.

# ROZDZIAŁ XLIV

Rourke przyklęknął na ziemi nasłuchując. W dłoniach trzymał CAR-15, skórzaną kurtkę miał zapiętą pod samą szyję z powodu nocnego chłodu. Słyszał wycie psów. Przez całe popołudnie i wczesny wieczór przed zapadnięciem zmroku widział w lasach i na leśnych drogach ślady ciężarówek, motocykli i ludzi wędrujących pieszo.

– Tu także są bandy? – zadawał sobie pytanie. Znał ziemie, na których się teraz znajdował. Przed Nocą Wojny był ich właścicielem i prawdopodobnie zachował do nich prawo, nawet jeśli nikt nie był już właścicielem niczego.

Wysłuchał się przez chwilę w dźwięki nocy.

Po odlocie z twierdzy KGB, Chambers drogą radiową odwołał atak, ale ostatecznie przełożono go tylko. Dowódca wojsk lądowych, kapitan Gwardii Narodowej, Reed, wytłumaczył, że w więzieniu w bazie przetrzymywanych jest kilkuset lotników. Rourke był ciekaw, czy teraz, tydzień później, atak już nastąpił. Trudno było sobie poradzić bez wiadomości, bez informacji. Wylądował we wschodnim Teksasie, gdzie Rubenstein otrzymał dodatkową opiekę medyczną. Był tam jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu – John sprawdził jarzącą się na nadgarstku tarczę rolexa. Było po ósmej, jeśli tylko godzina ósma nadal istniała, pomyślał.

Chambers, pułkownik sił powietrznych, Darlington, i inni namawiali go, żeby został i walczył razem z nimi albo żeby pracował dla nich jako szpieg. Mówili mu, że będzie teraz poszukiwanym człowiekiem, ściganym przez KGB, że jego nazwisko i twarz są ogólnie znane. Odpowiedział im, że doskonale to wie i że ma własne sprawy. I teraz był tutaj, na farmie. Gdyby przeszedł krótki zadrzewiony odcinek, mógłby zobaczyć dom, wiedział to, lecz trwał w przysiadzie przy dzikim dereniu. Pamiętał, że przez bardzo długi czas krzew ten w ogóle nie zakwitał, przynajmniej nigdy tego nie zauważył.

Wywiad doniósł, że Karamazow opuścił bazę KGB i była z nim piękna ciemnowłosa kobieta. Inny raport mówił o tym, że jeden z agentów rosnącej amerykańskiej siatki wywiadowczej prawdopodobnie widział Karamazowa poza obszarem bezpośrednio sąsiadującym z Teksasem i zachodnią Luizjaną. Dostęp do bieżących informacji był bardzo ograniczony. Nawet jeśli docierały, to w sposób nieusystematyzowany, wrywkowo, nierzadko wzajemnie sprzeczne.

Rourke zostawił Rubensteina z jednym motorem i całym zaopatrzeniem jakieś 50 mil na południowy zachód od schronu. Gdyby zdecydował się ciągnąć rannego ze sobą, to straciłby kolejne dwanaście godzin. Paul nalegał, by tak zrobił, zapewniając, że do powrotu Johna nic mu się nie stanie. Rourke zostawił go ze steyr-mannlicherem SSG na wysokiej skale, z której w razie potrzeby mógł się ostrzeliwać, i wyruszył w kierunku farmy.



Przez całą drogę, jaką pokonał pieszo po ukryciu harleya jakieś dwie mile dalej, przeklinał siebie w duchu. Próbował wyobrazić sobie każdy możliwy scenariusz zdarzeń. W końcu przyjął wersję, że Sarah, Michaela i Ann nie ma już na farmie. Prawdopodobne jednak, że zostawili ślad wskazujący, dokąd się udali. Istniał też scenariusz, który od Nocy Wojny konsekwentnie odrzucał – znajdował w nim na farmie ich ciała.

Był zdecydowany odszukać ich, jeśli tylko żyli. W schronie było zaopatrzenie na kilka lat, wystarczająca dla jego potrzeb ilość amunicji, znajdowała się elektrownia wodna, którą sam skonstruował wykorzystując podziemny strumień jako źródło mocy. Brakowało mu dotychczas jednej rzeczy – benzyny, lecz teraz miał także to. W drodze rewanzu prezydent Chambers pokazał mu mapę, którą Rourke po obejrzeniu spalił. Potrafił ją odtworzyć z pamięci. Były na niej zaznaczone strategiczne rezerwy paliwa, rozrzucone po całym południowym wschodzie. Przy stosunkowo niewielkich potrzebach było to wręcz niewyczerpane źródło zaopatrzenia.

Rubenstein nadal obstawał przy podróży na południe Florydy, by przekonać się, czy jego rodzice jakimś cudem przeżyli wojnę. Doktor przypuszczał, że rozstaną się już niedługo. Żywił jednak nadzieję, że Paul wróci stamtąd. Miał tylko kilku przyjaciół w życiu, a Rubenstein był prawdopodobnie z nich ostatnim, możliwe, że jedynym, jaki przeżył. Rourke przypuszczał też, że mógłby zaliczyć do ich grona rosyjską dziewczynę, Natalię – w ciemności powtórzył jej imię tak, że tylko on jeden mógł je słyszeć – i nikogo więcej.

Po rozstaniu z Chambersem, John użył tego samego dwusilnikowego samolotu do przekroczenia Mississipi, zabierając ze sobą wciąż słabego Paula. To, co zastali po drugiej stronie, budziło przygnębienie. Tętniące niegdyś życiem miasta, były teraz starte z powierzchni ziemi, zmieniło się nawet samo koryto rzeki. Z powietrza nie było widać żadnych oznak życia, a rośliny, które pozostały, wydawały się być martwe, bądź umierające. Kapitan Reed wyposażył samolot w urządzenie podobne do licznika Geigera, które było połączone z sensorem na zewnątrz maszyny. Poziom promieniowania – jeśli tylko urządzenie działało prawidłowo – był niewiarygodnie wysoki.

Rourke wylądował na granicy Georgii – tam, gdzie dawniej była granica – poniżej Chattanooga. Miasto tak naprawdę nie istniało. Większość budynków stała, ale ludzi już nie było.

To efekt eksplozji bomby neutronowej – pomyślał John.

Ostatecznie, kiedy cygaro w kąciku ust wypaliło się do cna, podniósł się i ponownie ruszył naprzód przez las, lekko pochylony, z pociskiem czekającym w komorze CAR-15, z przygotowanymi do strzału obydwoma detonikami w uprząży Alessi, z pythonem w skórzanej kaburze na prawym biodrze. Nie miał żadnych bagaży z wyjątkiem manierki, jednego pakietu suszonej żywności i latarki.

Dotarł do ostatniego rzędu drzew i zatrzymał się. Przed nim zamajaczył szkielec budynku, niby bielejące kości jakiegoś martwego stworzenia. Ściany spłonęły i dom jako taki przestał istnieć. Rourke wyprostował się. Ruszył do przodu nasłuchując wycia psów. Była pełnia księżyca i nieskazitelnie czyste niebo, najmniejszej chmurki, a gwiazdy jak miliony klejnotów świeciły na aksamitnym kobiercu nieba.

Stał w miejscu, gdzie była weranda. Michael lubił wspinać się na poręcz i John zawsze chłopcu powtarzał, by uważał na siebie. Annie wjechała kiedyś swoim trzykołowym rowerkiem prosto w balustradę i wyłamała kilka drewnianych słupków. Pamiętał Sarah, jak stała w drzwiach tamtego ranka, po jego powrocie. Weszli do środka, napili się kawy, rozmawiali... Pokazała mu ilustracje do jej ostatniej książki, a potem poszli na górę i kochali się. Ten pokój przepadł – i łóżko, i weranda... prawdopodobnie nawet filiżanka do kawy, pomyślał.

Stajnia ciągle stała. Ogień, który strawił dom, prawdopodobnie nie rozprzestrzenił się. Ruszył w jej kierunku, lecz po chwili zawrócił w stronę domu szukając śladów pocisków. Obszedł go dookoła odkrywając dwie rzeczy. Po pierwsze to, że dom eksplodował od wewnątrz, po drugie – wypalony i poskręcany wrak trójkołowego rowerka Annie.

Rourke usiadł na ziemi i zapatrzył się w gwiazdy, ponownie zastanawiając się, czy są tam gdzieś miejsca, w których żyją istoty nazywające siebie inteligentnymi i zdecydowane chronić życie, a nie bezmyślnie je niszczyć. Obejrzał się na szczątki domu za sobą i zdecydował, że nie ma. Ruszył w kierunku stajni, ale zatrzymał się słysząc za plecami jakieś dźwięki.

Obrócił się i przyklęknął na prawe kolano, celując z CAR-15. Zbliżało się do niego czterech zdziczałych mężczyzn, nieogolonych, z długimi włosami, w podartych ubraniach. Jeden trzymał pałkę, inny nóż długi prawie jak miecz, trzeci kawał skały, a czwarty pistolet. Krzyczeli coś, czego John nie mógł zrozumieć. Wystrzelił do nich ścinając na ziemię tego z kamieniem i tego z pałką. Następnie strzelił do mężczyzny wywijającego nożem, lecz spudłował i dzikus chyżo skoczył ku niemu. Doktor przewrócił się na plecy, wyszarpnął prawą dłońią jeden z detoników, gdyż CAR-15 upadł na ziemię jakiś jard od niego. Kiedy mężczyzna z nożem przypuścił kolejny atak, wypalił do niego raz za razem.

Pozostał czwarty bandzior, facet z pistoletem, więc John tkwiąc w przysiadzie badał wzrokiem ciemność. Nagle usłyszał wrzask jakby konającego zwierzęcia. Rzucił się na ziemię, przekoziółkował i uklęknął trzymając detonika obydwoma dłońmi. Wypalił, gdy czwarty mężczyzna natarł na niego. Napastnik zatoczył się i runął plecami na ziemię. John podniósł się i podszedł do niego. Okazało się, że bandyta był prawie jeszcze chłopcem. Broda na jego twarzy była długa, lecz rzadka, skóra pod grzywą włosów usiana była całą masą trądzikopodobnych krost. Rourke schylił się po pistolet. Coś mu przypominał. Był stary, europejski, tak powgniatany i zardzewiały, że w tej chwili nie potrafił go zidentyfikować. Był źle wyważony, John skierował lufę w ziemię i pociągnął za spust. Rozległ się suchy trzask. Mężczyzna wypuścił broń z ręki i zapatrzył się w ciemność.

Po chwili schował do kabury swój pistolet i odszukał na ziemi karabin. Nie ma sensu grzebać umarłych, pomyślał. Jeśli chciałby to robić, to przez cały czas od wybuchu wojny nie zajmowałby się niczym innym. Mechanicznie załadował do detoników i CAR-15 nowe magazynki, zerkając ciągle kątem oka na szkielet domu. Miał już odchodzić, gdy przypomniał sobie, że przed napaścią szedł w kierunku stajni. Otworzył drzwi. Gdzieś w ciemności poderwała się do lotu sowa – dźwięk wydawany przez skrzydła wskazywał na coś większego od nietoperza. Rourke zapalił jedną z latarek, które ukradli wraz z Rubensteinem tej pierwszej nocy w Albuquerque.

Przyjrzał się podłodze stajni. Ruszył w kierunku boksów, lecz przypomniał sobie, że powinien poświecić latarką za siebie. Zobaczył jakiś refleks światła i podszedł do wrót stajni. Otworzył je na oścież, na światło gwiazd i księżyca.

Była to plastikowa torba śniadaniowa, jakich używała do pakowania kanapek dla niego, gdy wczesnym rankiem wychodził polować na jelenie. W środku coś było. John zerwał ją z gwoźdźca. Był to jakiś czek z wypisanymi w poprzek pierwszymi literami słowa – nieważny. Rozpoznał pismo Sarah. Obrócił go i w świetle latarki przeczytał:

John, najukochańszy, miałeś rację. Nie wiem, czy jeszcze żyjesz. Powtarzam sobie i dzieciom, że tak. Z nami wszystko w porządku. W nocy zdechły kurczęta, ale nie wydaje mi się, żeby z powodu promieniowania. Nikt nie jest chory. Przyjechali Jenkinsowie i pojedziemy z nimi w góry. Znajdziesz nas niedaleko schronu. Powtarzam sobie, że nas znajdziesz. Może zabierze to wiele czasu, ale nie stracimy nadziei. Nie trać i Ty. Dzieci kochają Cię. Annie była grzeczna. Michael jest już bardziej

małym mężczyzną, niż myśleliśmy. Pojawili się jacyś złodzieje i Michael ocalił mi życie. Nikt nie jest ranny. Spiesz się. Twoja Sarah.

Na dole, większymi literami, napisanymi w pośpiechu, pomyślał Rourke, było napisane:

Kocham cię, John.

Rourke oparł się plecami o wrota i przeczytał całą wiadomość jeszcze raz, a potem jeszcze raz.

Nie kontrolował czasu, a kiedy ostatecznie spojrzął w niebo, księżyc znajdował się już znacznie wyżej.

Pieczętowiec złożył zapisany w połowie czek i schował do portfela. Spojrzął w gwiazdy i wyszeptał:

– Dzięki.

John Rourke przewiesił CAR-15 przez prawe ramię i ruszył, oddalając się od stajni. Minął szczytki budynku i zagłębił się w lesie. Zatrzymał się i jeszcze raz obejrzał za siebie. Zapalił cygaro i odwrócił się, nie spoglądając już więcej w stronę domu.